TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Polska-Ukraina: historia niszczy przyszłość

Bliskie spotkania ze Spielbergiem

Ponura przeszłość uzdrowiska w Rabce

Jak kochać ten mundial

Teologia i trąbki: parafialne orkiestry

STRONY SPECJALNE: Śląska Industriada

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 10 – 16 czerwca 2026 | nr 24 (4014)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Stereotypy i uprzedzenia. Tak polska literatura widzi świat

STR. 10-14

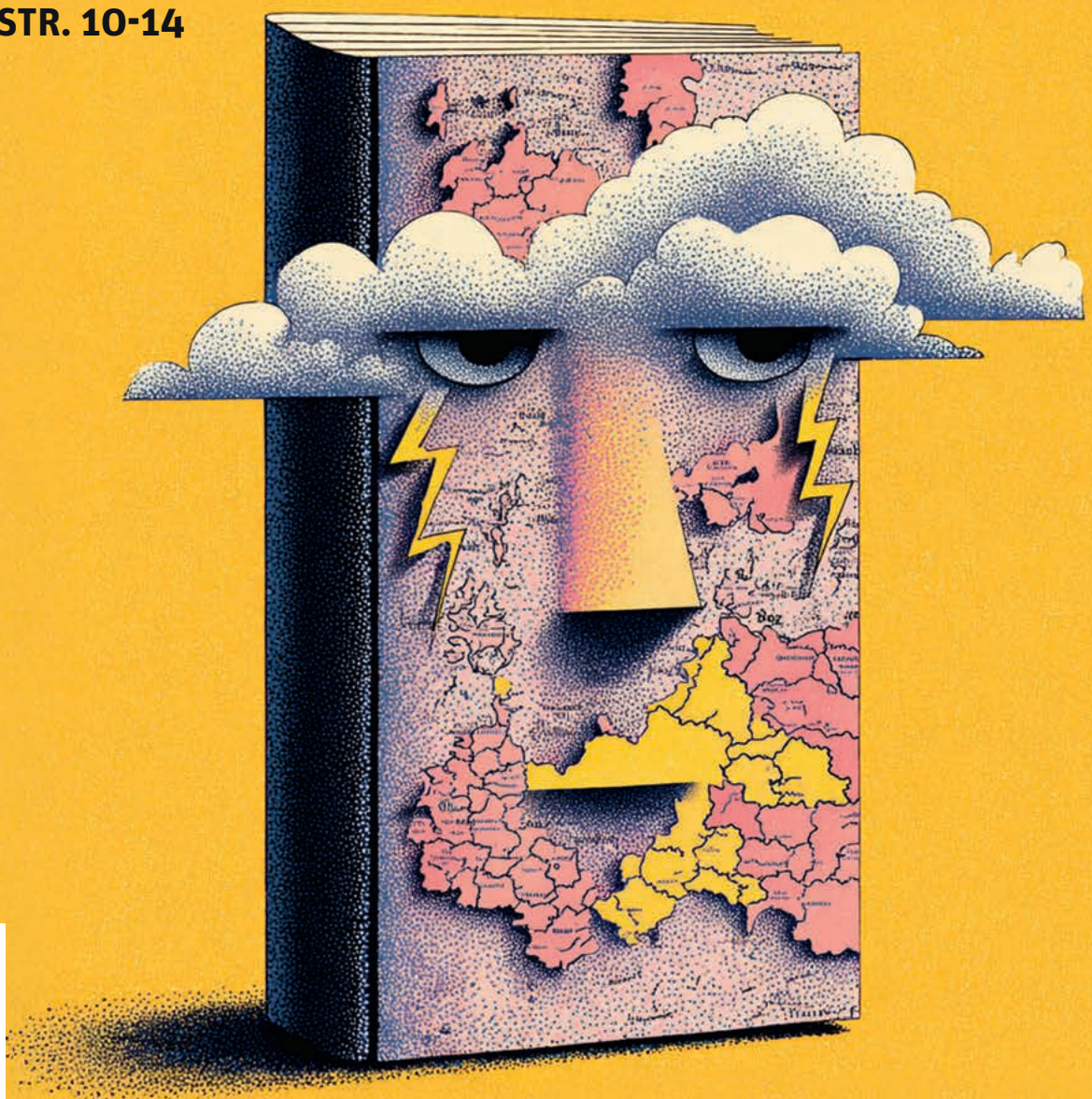

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Albatros travel

Albatros 40 lat

Dzień dobry Wietnam!

Poznaj tętniące życiem miasto Ho Chi Minh (dawny Sajgon), tunele Cu Chi, Deltę rzeki Mekong, a następnie przez 5 dni odpoczywaj na plaży w Mui Ne.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Ho Chi Minh. **Dz. 2** Przylot do Ho Chi Minh. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Ho Chi Minh. Dzień wolny. **Dz. 5** Ho Chi Minh City i Vinh Long w delcie rzeki Mekong. **Dz. 6** Vinh Long. Wizyta na lokalnym targu i warsztaty kulinarne oraz wycieczka łodzią do wioski garncarzy. **Dz. 7** Delta rzeki Mekong. Wyprawa łodzią po sieci kanałów. **Dz. 8** Z Vinh Long do Mui Ne. **Dz. 9–12** Mui Ne. Indywidualny wypoczynek na plaży. **Dz. 13** Przejazd autokarem z Mui Ne do Ho Chi Minh. Wylot z Ho Chi Minh do Warszawy. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 29/12 2026, 01/02 2027 | od 9.998,-



Stambuł i Kapadocja

– od cesarskich pałaców po skalne miasta

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. **Dz. 4** Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. **Dz. 5** Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. **Dz. 6** Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. **Dz. 7** Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 11/09, 18/10 2026 od 7.498,-

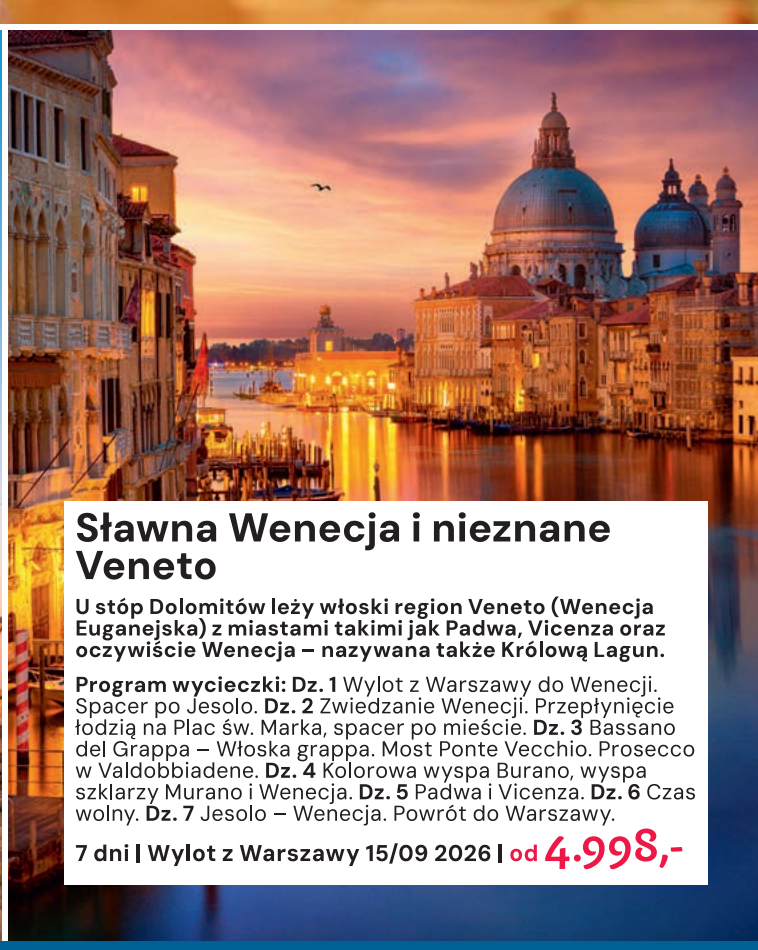

Sławna Wenecja i nieznane Veneto

U stóp Dolomitów leży włoski region Veneto (Wenecja Euganejska) z miastami takimi jak Padwa, Vicenza oraz oczywiście Wenecja – nazywana także Królową Lagun.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. **Dz. 2** Zwiedzanie Wenecji. Przepłynięcie łodzią na Plac św. Marka, spacer po mieście. **Dz. 3** Bassano del Grappa – Włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Prosecco w Valdobbiadene. **Dz. 4** Kolorowa wyspa Burano, wyspa szklarzy Murano i Wenecja. **Dz. 5** Padwa i Vicenza. **Dz. 6** Czas wolny. **Dz. 7** Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 15/09 2026 | od 4.998,-

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP10**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MAREK RABIJ

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kwestia kontroli
JACEK STAWISKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Cena nadziei
PATRYK SŁOWIK: *Po kolejnej zbiórce Łatwoganga odżyły pytania o polski model finansowania najkosztowniejszych terapii*

20 Jak melodia w głowie



ANETA CZAPLA-PACIORKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA ROZMAWIA Z ANETĄ CHMIELIŃSKĄ *o odkrywaniu najbliższej okolicy*

■ ■ REPORTAŻ

26 Trauma-Zdrój
BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Nieznana historia Rabki, słynnego uzdrowiska, z którego kilka pokoleń polskich dzieci wywiozło doświadczenie krzywdy*

■ ■ ŚWIAT

32 Wołyń'43, historia i polityka
GRZEGORZ MOTYKA: *W stosunkach polsko-ukraińskich będzie niestety tylko gorzej*

35 Zełenski celowo wywołał furię Polaków
WOJCIECH KONOŃCZUK

37 Karnawał przemocy
SZYMON ŁUCYK: *Zamieszki w Paryżu pokazały skalę problemu ulicznej przemocy we Francji*

38 Niechciani w kraju dobrobytu
AGNIESZKA KAMIŃSKA: *Szwajcarska prawica chce wpisać do konstytucji limit liczby mieszkańców*

40 Omańskie lustro
IGOR KUŚMIERSKI: *Atak USA i Izraela na Iran wystawił na próbę model neutralności, który obrał Oman*

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Biblioteki mitów

MONIKA OCHĘDOWSKA ROZMAWIA Z MONIKĄ WOLTING:
Jeśli już interesujemy się którymś z sąsiadów, to nasze emocje są raczej negatywne. Szczególnie nie lubimy Niemców. W polskiej literaturze Niemcy to kraj maszerujący w hełmach, naznaczony nazistowską przeszłością i bezosobową efektywnością.



■ STRONY SPECJALNE ■

24
RAZEM MOŻEMY WIĘCEJ
Relacja z pierwszego Zlotu Powszechnego

55
LUDZIE I MASZYNY
Śląska Industriada 2026

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
23 OLGA DRENDA
54 WOJCIECH BONOWICZ
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MAREK RABIJ

■ ■ WIARA

44 Chrześcijanin trąbi
EDWARD AUGUSTYN: *Przy ponad 800 parafiach w Polsce działają amatorskie orkiestry dęte*

48 Zen dla wszystkich
MACIEJ BIELAWSKI: *To zen sprawił, że mistyka naprawdę trafiła pod strzechy*

50 Hiszpania na rozdrożu
PAULINA GUZIK: *Leon XIV jedzie do kraju silnie spolaryzowanego i rządzonego przez lewicę*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

60 Zanim wyrosło zboże
ŁUKASZ KWIATEK: *Kto zamieszkiwał Europę, zanim pojawili się tutaj ludzie anatomicznie współcześni?*

■ ■ KULTURA

66 Pan Niesamowity

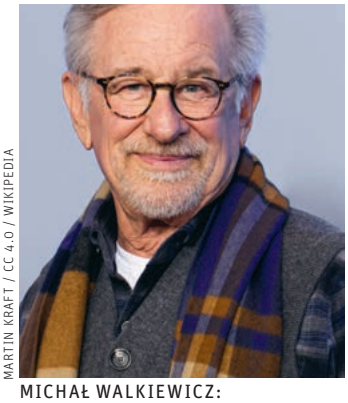

MARTIN KRAFT / CC 4.0 / WIKIPEDIA

MICHAŁ WALKIEWICZ: *Z twarzy bohaterów Stevena Spielberga można odczytać najważniejsze tematy jego kina*

70 Człowiek, który ciągle chodzi
ANNA GOC *o wystawie fotografii Józefa Makala*

74 Faraon ekranu
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Orły republiki" Tarika Saleha*

75 Węzeł
LEKTOR *o książce „Zagadka Gogol" Sylwii Frołow*

■ ■ ZMYSŁY

78 Piękno i pycha
ROZMOWA Z JONATHANEM WILSONEM: *Czy można obejrzeć tegoroczny mundial i zachować miłość do piłki nożnej? Pytamy jednego z najlepszych brytyjskich historyków futbolu*

KS. ADAM

Boniecki: *W sprawie ważnych książek*

Nie wiem, nie potrafię powiedzieć, która książka była, jeśli nie decydująca, to w każdym razie najważniejsza w moim życiu – najważniejsza dla mnie, dla tego, kim jestem albo przynajmniej kim chciałem być.

Może za dużo ich jest? Plików z moimi tekstami o różnych książkach mam w komputerze kilkadziesiąt. Prowadziłem w magazynie literackim „Tygodnika” rubrykę pod nazwą „Lektury pobożne” – omawiałem w niej książki religijne, ale (wbrew tytułowi) niekoniecznie nabożne. Pamiętam, że starałem się unikać zbyt trudnych, ale też zbyt łatwych czy niezbyt mądrych. Pamiętam też, że kiedy redakcja zdecydowała, żebym przestał, była to ulga: zdjęcie obowiązku szukania odpowiednich tytułów, czytania ich, pisania o nich... Wolę jednak czytać dla siebie.

Łatwo się domyślić, że czytałem w życiu dużo. Tak dużo, że teraz, kiedy się zastanawiam, jaki tytuł wyróżnić z tego stosu lektur – mam z tym problem. Może są zresztą i takie książki, których autorów znałem i to właśnie spotkanie z nimi, a nie z ich publikacjami, miało na mnie ogromny wpływ? Z wdzięcznością myślę np. o książkach „mojego” biskupa, Jana Pietraszki. Jego kazania, odczytywane potem wielokrotnie, otworzyły mi głowę i pewnie wpłynęły na to, jaki jestem dziś.

Ale od momentu, gdy redakcja zasugerowała mi temat tego tekstu, wracał uporczywie do głowy jeden



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MAREK

Rabij: *Romek i Staszek*

W świetnym tekście prof. Grzegorza Motyki, którym otwieramy w tym numerze dział Świat, pada nazwisko, przy którym zatrzymuję się za każdym razem, gdy je usłyszę. Roman Szuchewycz. Jedna z czołowych figur ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, a potem również głównodowodzący Ukraińskiej Powstańczej Armii, czyli UPA.

Przyszedł na świat w 1907 r. w Krakowcu. Niespełna kilometr w linii prostej dzieliło to senne galicyjskie miasteczko od wsi Pyszówka, w której dziewięć lat wcześniej urodził się mój dziadek Stanisław. Obaj na pewno nieraz minęli się w uliczkach Krakowca. Może nawet rozmawiali. A jeśli tak – to co takiego zaszło między młodym Romkiem a Staszkiem, że kilkadziesiąt lat później los zetknął ich pośrednio w inny sposób?

W nocy z 6 na 7 kwietnia 1944 r. Pyszówkę zrównali z ziemią ukraińscy nacjonaliści. Na miejscu zginęło 63 mieszkańców. Tablica pamiątkowa ku ich czci znajduje się dziś 650 km na zachód w dolnośląskich Gaworzycach,

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 31

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

temat, jedna książka. To wyznanie ojca Aimé Duvala, „Dziecko i księżyc". O. Duval był jezuitą, ale przede wszystkim autorem bardzo wielu piosenek, będących znakomitymi, moim zdaniem, wykładniami Ewangelii. Byłem na jego koncertach, zamieniłem z nim kilka słów, podpisał mi płytę, robił na mnie wielkie wrażenie.

Tak, ojciec Duval był prawdziwą gwiazdą, podróżował po Francji i innych krajach, a na jego koncerty przychodziły tłumy. Nie tylko śpiewał, ale i mówił: dużo i w sposób niezwykle angażujący słuchaczy, o Jezusie, o Bogu, o niebie, o życiu i śmierci. Zabrałem raz na jego koncert moją Mamę. Wyszła wzruszona. Powiedziała: „To były najlepsze rekolekcje w moim życiu".

A potem ukazała się jego książka, coś jakby spowiedź. Monolog, nagrany w samochodzie, podczas podróży do ludzi, których zgorszył czy obraził. Opowieść o alkoholizmie: o uzależnieniu, chorobie, bardzo szczera, ale przekraczająca ten wymiar, bo choć nigdy nie miałem problemów z alkoholem, to monolog ojca Duvala uważałem za coś znacznie ważniejszego niż element terapii AA.

Nie mam tej książki tu, gdzie teraz mieszkam, i choć napisałem wstęp do jej polskiego wydania, nie pamiętam już, co tam napisałem. Wiem jednak, że kiedy myślę o książkach, które wywarły na mnie wpływ, to monolog ojca Duvala uporczywie wraca mi na pamięć. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

umieszczona w cmentarnym murze, z którego jeszcze za PRL skuto poniemieckie tablice nagrobne. Jej fundatorzy, potomkowie garstki ocalałych z rzezi, tuż obok ufundowali na szczęście drugą, po polsku i niemiecku. Pamięci tych, którzy zamieszkiwali wieś do 1945 r.

Ilekroć myślę o Szuchewyczu, zastanawiając się, czy mógł osobiście wydać rozkaz wymordowania dawnych sąsiadów, wracają też rodzinne opowieści o tamtej nocy. Wieczorem do domu dziadka miał zapukać inny Ukrainiec i ostrzec, żeby na noc nie zostawali w domu, bo nad ranem przyjdą po nich z siekierami. To samo znalazłem we wspomnieniach ocalałej mieszkanki Pyszówki. Znamienne, że ani ona, ani mój dziadek nie zapamiętali nazwiska tego człowieka.

W relacjach ofiar ich krzywda zawsze będzie wychodzić na pierwszy plan i zwyczajnie nie wypada tłumaczyć im, że jej pielęgnowanie do niczego nie prowadzi. Gorzej, gdy to samo dotyka społeczeństwa. Polską literaturą, jak mówi **MAJA WOLTING** w okładkowej rozmowie z Moniką Ochędowską, rządzą dziś stereotypy i uprzedzenia. Ukraina i Polska – ostrzega z kolei **GRZEGORZ MOTYKA** – popełniają w istocie ten sam katastrofalny błąd. Robią wszystko, żeby Romek i Staszek znów przestali ze sobą rozmawiać. ©℗

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

FILIP SPRINGER
Ogólne plany zabudowy uchwaliło tylko sto gmin w Polsce. Pozostałe mają na to czas do końca sierpnia. Jeśli nie zdążą, grozi nam inwestycyjny paraliż.

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
Dlaczego młodzi dorośli coraz częściej i coraz dłużej mieszkają z rodzicami?

SYLWIA CZUBKOWSKA
Chińskie produkcje filmowe podbijają świat. Czy czeka nas wielka zmiana w kinie?

STRONY SPECJALNE O HISTORII:
70. rocznica Poznańskiego Czerwca 1956.
Jakie było znaczenie pierwszego masowego buntu w PRL-u?



AUTOR NIEZNANY / WIKIPEDIA

Manifestacja na ul. Armii Czerwonej (obecnie Święty Marcin), czerwiec 1956 r.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

1–8 CZERWCA 2026

POLSKA–UKRAINA-KRYZYS. Po nadaniu przez Wołodymyra Zełenskiego jednej z jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA" Karol Nawrocki wystąpił do kapituły Orderu Orła Białego o odebranie odznaczenia prezydentowi Ukrainy. W tej kwestii polscy przywódcy są niemal jednomyślni: decyzja prezydenta Ukrainy (jak powiedział prezydent RP) dostarcza „najlepszego materiału i wiele tlenu rosyjskiej propagandzie". ■■■ **PRZEMYSŁAW CZARNEK** domaga się dymisji rządu w związku z wypowiedzią wiceministra nauki Karola Szeptyckiego, który nazwał członków UPA „trochę takimi ukraińskimi żołnierzami niezłomnymi". ■■■ **NA WOŁYNIU** odbędą się kolejne ekshumacje: Ukraina wydała zgodę na podjęcie prac nad szczątkami polskich ofiar w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej. ■■■ **WOŁODYMYR ZEŁENSKI** zaproponował Władimirowi Putinowi bezpośrednie spotkanie w celu zakończenia wojny. Rosyjski przywódca odrzucił ofertę, mówiąc, że wojna skończy się „bez cienia wątpliwości" dopiero wtedy, gdy Rosja „osiągnie cele, które sobie założyła". ■■■ **UKRAIŃSKIE DRONY** tymczasem osiągają cele na terenie Rosji, m.in. bazę paliwową w obwodzie krasnodarskim, bazę Floty Bałtyckiej w Kronsztadzie oraz terminal naftowy w Petersburgu, który zapłonął w dniu rozpoczęcia w mieście Forum Ekonomicznego z udziałem Putina. ■■■ **IZBA REPREZENTANTÓW USA** przyjęła ustawę nakazującą nowe sankcje na Rosję i przekazanie 8 mld dol. wsparcia wojskowego dla Ukrainy. Do wejścia dokumentu w życie daleko – potrzebne jest poparcie Senatu i podpis prezydenta Trumpa – ale warto zwrócić uwagę, że wśród 227 głosujących „za" kongresmenów było 19 Republikanów; o dalszym wsparciu Ukrainy rozmawiali w Londynie premier Starmer, kanclerz Merz, prezydent Macron i prezydent Zełenski. ■■■ **NA BLISKIM WSCHODZIE** minęło sto dni wojny; od kilkudziesięciu dni Donald Trump deklaruje, że jest bliski porozumienia z Iranem, który ponoć zgodził się na rezygnację z planu budowy broni atomowej. Osiągnięcie porozumienia komplikują izraelskie ataki na „centra dowodzenia Hezbollahu" w Bejrucie, na co Iran odpowiada rakietami balistycznymi. ■■■ **PAPIESKA MSZA** w Madrycie zgromadziła ok. 1,2 mln osób; kolejne dziesiątki tysięcy wiernych zgromadziły się na trasie przejazdu Leona XIV, który rozpoczął pielgrzymkę do Hiszpanii. ■■■ **MAJA CHWALIŃSKA** przegrała w finale Rolanda Garrosa z Mirrą Andriejewą – ale cały występ Polki w wielkoszlemowym turnieju był historycznym sukcesem. W trakcie imprezy nierozstawiona Chwalińska musiała przejść przez rozpoczynające się trzy tygodnie wcześniej kwalifikacje, a dzięki grze na paryskich kortach awansowała o 93 pozycje w światowym rankingu tenisistek. ■■■ **POLSKA MŁODZIEŻ** od kilku dni musi jeździć w kaskach na rowerach i e-hulajnogach. Kolejnym elementem zadbania o jej głowę ma być zakaz korzystania z telefonów komórkowych w szkołach, który (jeśli stosowną ustawę podpisze prezydent) ma wejść w życie 1 września. ©℗



ARMANDO BABANI / MATRIX / IMAGO / EAST NEWS

KWESTIA KONTROLI

POWYŻEJ:
Migranci zostają przywiezieni do portu w Shëngjin w Albanii, dokąd Włochy skierowały 49 osób do ośrodków recepcyjnych w ramach umowy między Włochami a Albanią o prowadzeniu procedur azylowych poza UE, 28 stycznia 2025 r.

Ograniczenie nielegalnej imigracji to warunek prowadzenia sensownej polityki imigracyjnej przez Europę – takiej, która zapewni jej stabilność społeczną oraz pozwoli pozyskiwać talenty ze świata i pomagać ludziom naprawdę potrzebującym.

JACEK STAWISKI

Odzyskać kontrolę, w domyśle kontrolę głównie nad granicami zewnętrznymi Wielkiej Brytanii i nad tym, kto może, a kto nie może wjechać na Wyspy. Dokładnie 10 lat temu, w czerwcu 2016 r., pod takim zawołaniem niewielka, ale jednak większość Brytyjczyków opowiedziała się za wyjściem ich kraju z Unii Europejskiej.

Imigracja – głównie z państw Unii, ale nie tylko – była naczelną sprawą, która zmotywowała 51,9 proc. uczestników brytyjskiego referendum do głosowania przeciwko obecności w Unii.



Masowa imigracja: paliwo dla radykałów

EUROPA ▪ **Masowa i niekontrolowana imigracja to najważniejsze paliwo ideologiczne dla skrajnej, radykalnej, często ekstremistycznej prawicy. Dlatego tradycyjne partie centroprawicowe i te bardziej konserwatywne porozumiały się w Parlamencie Europejskim.**

Wdrożenie radykalnych metod deportacyjnych jest kontrowersyjne dla lewicy, partii ekologicznych i organizacji pozarządowych. Ich wątpliwości czy sprzeciw nie zatrzymają jednak procesu uszczelniania granic Unii.

Proces ten to jedyna sensowna gwarancja, że, po pierwsze, przetrwa strefa Schengen (tj. obszar bez kontroli paszportowych w ramach Unii plus Norwegia, Islandia i Szwajcaria). Oraz, po drugie, że dawka paliwa ideologicznego dla ugrupowań skrajnej prawicy, które dominują w sondażach w szeregu państw, zostanie przynajmniej częściowo ograniczona.

RETURN HUBS | Dziś hasło to wraca, ale tym razem jest wypowiadane przez przywódców Unii Europejskiej: komisarz do spraw wewnętrznych i imigracji Magnus Brunner (z Austrii) mówi o „odzyskiwaniu kontroli przez Unię Europejską nad tym, kto może wjechać do Unii".

Komisarz Brunner odnosi się w ten sposób do wstępnego porozumienia, jakie państwa Unii zawarły z większością Parlamentu Europejskiego w sprawie stworzenia tzw. centrów powrotu (*return hubs*). Porozumienie wspierane jest w parlamencie przez Europejską Partię Ludową oraz inne formacje prawicowe i radykalnie prawicowe. Niechętne mu są partie centrolewicowe i Zieloni. Porozumienie musi zatwierdzić jeszcze formalnie Rada Unii i Parlament, ale to wydaje się przesądzone, ponieważ stoi za nim większość państw i większość europosłów.

PROBLEM Z DEPORTACJĄ | Rządy państw Unii zgodziły się więc, aby poza jej granicami, np. w Afryce albo w Azji Środkowej, powstały ośrodki dla osób, które nie otrzymały w żadnym państwie unijnym azylu politycznego albo utraciły prawo pobytu w jednym z państw członkowskich. Faktycznie będą to ośrodki deportacyjne, gdyż z Europy te osoby będą musiały być odsyłane.

To właśnie brak skutecznych ogólnoeuropejskich mechanizmów deportacyjnych i przeciągające się procedury, a także fakt, że osoby, którym odmówiono prawa pobytu i azylu w Unii, często nie mogą być kierowane bezpośrednio do krajów, skąd przybyły, sprawiały, że dwie trzecie osób, które miały być objęte deportacją, i tak zostawało w jakimś kraju Unii.

Za kilkanaście miesięcy ma się to zmienić – na innych kontynentach Unia, a zwłaszcza te jej kraje, które jak Niemcy, Holandia, Austria czy Grecja są od dawna pod silną presją migracyjną, zamierzają zbudować owe *return hubs* i tam kierować osoby, które nie mają prawa do azylu w Europie.

MNIEJ AZYLANTÓW | Ograniczenie imigracji do Europy zresztą już się dokonuje, ale póki co jest niewidoczne dla wyborców. Panuje przekonanie – podtrzymywane skutecznie przez skrajną prawicę, korzystającą z możliwości, jakie dają im tzw. media społecznościowe – że kraje Unii i Unia jako wspólnota już dawno utraciły kontrolę nad swoimi granicami, i że rządzące formacje nie potrafią się uporać z tym zjawiskiem.

Przykładem Niemcy: w RFN wnioski o azyl składa dziś najmniej osób od roku 2012. To ledwie kilka tysięcy miesięcznie (maj: ok. 5,5 tys.; kwiecień: ok. 6,1 tys.). Jednak i tak antyimigracyjna i ksenofobiczna Alternatywa dla Niemiec ma najwyższe poparcie sondażowe na szczeblu federalnym, a w niektórych wschodnich landach zmierza po samodzielną większość w parlamentach landowych.

Tradycyjna chadecja CDU/CSU ma słabe notowania w sondażach i dlatego rząd kanclerza Friedricha Merza będzie prowadzić zapewne coraz bardziej ostrą politykę zmierzającą do ograniczenia imigracji. Elementem tego jest podtrzymywanie przez Niemcy kontroli na granicach, mimo stanowiska Komisji Europejskiej i protestów sąsiednich państw.

PIERWSZY WARUNEK | Sprawy wewnętrzne i imigracja należą w Unii do ważnych prerogatyw państw narodowych. Jednocześnie samo choćby funkcjonowanie wspólnego rynku wymusza wprowadzanie ogólnoeuropejskich rozwiązań dotyczących przemieszczania się po, do i z Unii. Przykładem powołanie do życia wspomnianej strefy Schengen: najpierw tworzyły ją państwa, dopiero potem nadzór nad strefą przejęła Komisja Europejska.

Kontrola i zarządzanie imigracją muszą być wypadkową działań państw i działań na szczeblu całej Wspólnoty. To nie jest łatwe, biorąc pod uwagę choćby ociężałość unijnych uzgodnień i wdrażania decyzji. Dodatkową trudność sprawia niecierpliwość wyborców, którzy domagają się od swoich liderów szybkich rezultatów.

Ostatnie uzgodnienia dają nadzieję, że kraje unijne dostaną skuteczne narzędzia walki z nielegalną imigracją. Jej ograniczenie to pierwszy warunek prowadzenia sensownej i długofalowej polityki imigracyjnej przez Europę, która zapewni stabilność społeczną oraz pozwoli pozyskiwać talenty ze świata, a także udzielać schronienia ludziom naprawdę tego potrzebującym (jak Afganki: represje fanatycznego rządu talibów wobec kobiet sprawiły, że właściwie automatycznie przysługuje im azyl w krajach Unii).

ZASADY SZACUNKU | Przeciwdziałanie nielegalnej imigracji pod presją populizmu i radykalizmu to także test dla centrowych i umiarkowanych sił politycznych i społecznych w państwach Unii, czy potrafią utrzymać elementarne zasady szacunku dla każdego, kto chciałby się w Europie osiedlić. Także ci, którym odmawia się prawa do takiego zamieszkania i z mocy prawa będą deportowani, zasługują na szacunek i takie traktowanie, które nie naruszy ich godności. Europa może pokazać zarówno skuteczność, jak i wierność swoim zasadom. ©℗



Co z brytyjską policją?

PATRYCJA BUKALSKA

Sprawa śmierci 18-letniego Henry'ego Nowaka to tragedia dla jego bliskich i poważny test wiarygodności państwa. Wielka Brytania wrze.

Nastoletni student został zamordowany w grudniu 2025 r. Zmarł po tym, jak pięciokrotnie ugodził go nożem 23-letni Vickrum Digwa. Na początku czerwca Digwa został skazany na dożywocie (o przedterminowe zwolnienie może starać się nie wcześniej niż po 21 latach). Jednak to nie sam proces wywołał społeczne i polityczne poruszenie, ale upublicznione teraz nagranie z policyjnej kamery, dokumentujące interwencję policji.

Wezwał ją brat Digwy, twierdząc bezpodstawnie, że to Vickrum – będący Sikhem i noszący turban – jest ofiarą ataku na tle rasistowskim. Policjanci nie zweryfikowali tego – uznali leżącego na chodniku Nowaka za napastnika, brutalnie skuli i odczytali mu jego prawa. Na jego wielokrotne skargi, że nie może oddychać i został ugodzony nożem, policjant odparł lekceważąco: „Nie sądzę, kolego". Dopiero gdy chłopak stracił przytomność, zaczęto go reanimować.

Nagranie wywołało powszechne oburzenie, wobec policji kierowane są zarzuty stosowania podwójnych standardów w sytuacjach dotyczących mniejszości etnicznych i religijnych. W Southampton, gdzie doszło do zabójstwa, uczestnicy protestu zwołanego przez skrajną prawicę starli się z policją.

O sprawie wypowiadają się nie tylko politycy wszystkich brytyjskich partii; głos zabrał też wiceprezydent USA: J.D. Vance skrytykował brytyjskie władze i „europejskie elity". Choć kwestię migracji, na którą wskazywał Vance, do tej sprawy raczej trudno odnieść, skoro napastnik urodził się i wychował w Wielkiej Brytanii.

Próbując uspokoić nastroje, premier Keir Starmer i inni członkowie rządu przywołują słowa ojca Henry'ego, który prosił, by nie wykorzystywać śmierci syna dla pogłębiania podziałów i szerzenia nienawiści. Powiedział on też jednak, że syn istotnie został potraktowany inaczej niż napastnik, który w przeciwieństwie do rannego nastolatka nigdy nie został skuty kajdankami, oraz że prosi o transparentne dochodzenie dotyczące działań policji.

To właśnie kwestia działania policji wydaje się tu istotniejsza niż polityczny szum. W tym odpowiedzi na pytania, czy policjanci zostali zmanipulowani przez Digwę i jego rodzinę (czeka ją teraz proces), czy jednak na ich obraz sytuacji wpłynęło specyficzne rozumienie zaleceń w zakresie różnorodności i integracji. A także, czy ich działania mogły pogorszyć stan rannego. Od tego, czy prowadzone już i zapowiadane dochodzenia dostarczą wiarygodnych wyjaśnień, zależeć będzie odbudowanie społecznego zaufania – do policji i państwa. ©℗



LAB MO / SOPA IMAGES / / SHUTTERSTOCK / EST NEWS

Protest przed komisariatem policji w Southampton, 2 czerwca 2026 r.



Parafia obroni

ARTUR SPORNIAK

W sytuacji zagrożenia organizacje społeczne, które mają rozbudowane struktury, mogą okazać się bardzo przydatne – wystarczy je odpowiednio przygotować. Idealnie do tego nadają się parafie, których jest w Polsce aż 10 352, swoim zasięgiem obejmują terytorium całego kraju, a w ich funkcjonowanie zaangażowanych jest wiele osób.

Te zalety dostrzegli organizatorzy pierwszych Parafialnych Grup Obrony Cywilnej. Od stycznia działają one w Warszawie już w 12 parafiach, m.in. na Woli i w Białołęce (pierwsza powstała w parafii św. Jana Pawła II na Bemowie). Celem grup jest zdobycie praktycznej wiedzy, stąd organizowane są szkolenia dla osób zaangażowanych i dla chętnych parafian. Docelowo w parafiach powinny powstać grupy zadaniowe: zmotoryzowane, medyczne, wsparcia psychologicznego czy opiekuńczo-wychowawcze. Najważniejsze jest stworzenie środowiska, które ma do siebie zaufanie i będzie wiedzieć, co robić.

Organizatorzy spotkali się już z metropolitą warszawskim abp. Adrianem Galbasem i biskupem pomocniczym Piotrem Jareckim oraz z biskupem polowym Wiesławem Lechowiczem. Mają obiecane, że w szkolenia włączy się warszawska Caritas. Chcą propagować ideę Parafialnych Grup Obrony Cywilnej na całą Polskę. Czy będą mieć wsparcie biskupów? Polska Agencja Prasowa, pisząc o PGOC, zacytowała przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Tadeusza Wojdę, który stwierdził, że podobnie jak władze państwowe i samorządowe, także Kościół katolicki ma plan działania na wypadek sytuacji kryzysowych.

Zapytaliśmy biuro prasowe KEP o szczegóły tego planu. Okazuje się, że na forum konferencji Episkopatu biskupi nie podjęli jeszcze żadnych wiążących decyzji dotyczących zaangażowania Kościoła w obronę cywilną. Natomiast „od kilku miesięcy trwają konsultacje między KEP a właściwymi instytucjami państwowymi w sprawie różnych aspektów obrony cywilnej i pomocy humanitarnej na wypadek sytuacji kryzysowych, m.in. ochrony zabytków oraz organizacji pomocy osobom poszkodowanym przez klęski żywiołowe i katastrofy".

Biuro prasowe KEP zauważyło też, że inicjatywy związane ze wzmacnianiem procedur bezpieczeństwa w parafiach mają charakter oddolny i lokalny. KEP ich nie monitoruje i nie ma na ich temat zbiorczych danych. Warto jednak pamiętać, by biskupi wsparli pomysł Parafialnych Grup Obrony Cywilnej z oczywistego powodu – bezpieczeństwo kraju jest też bezpieczeństwem Kościoła. ©℗

Maja Chwalińska: dlaczego pokochaliśmy tę historię



CHRISTOPHE ENA / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Maja Chwalińska podczas finału turnieju Rolanda Garrosa. Paryż, 6 czerwca 2026 r.

TENIS ▪ Maja Chwalińska nie wygrała wielkoszlemowego Roland Garros 2026, ale historia, którą napisała w Paryżu, porwała nas bez reszty. Opowiadamy ją sobie jak piękną baśń: wzrusza nas, kiedy po przeciwnościach losu, walce z chorobą, przychodzi wielki sukces. Czaruje tenis, ujmuje pracowitość i skromność.

Maja Chwalińska jest pierwszą kwalifikantką, która dotarła do finału Rolanda Garrosa. Gdy wychodziła na swój mecz finałowy, wciąż była na miejscu 114. w rankingu WTA. Tuż po finale została 21. tenisistką na świecie.

Wychowała się w Dąbrowie Górniczej. Tata pracował jako elektryk w kopalni, mama jest recepcjonistką w ośrodku sportowym. W tenisa zaczęła grać w zasadzie przez przypadek, dzięki akcji Talentiada. Mała i drobna, często słyszała, że nie nadaje się do tego sportu.

W tej baśni talent będzie przeplatał się z ciężką pracą i konsekwencją. Mamy tu długie, przerywane kontuzjami, operacjami i bólem, pukanie do drzwi tenisowej setki rankingu WTA. Setki, od której zaczynają się możliwości startu w dużych turniejach i życia z tenisa, bo przychodzi stabilizacja finansowa i kontrakty sponsorskie.

Zmagań logistycznych i finansowych będzie w tej baśni dużo. Chwalińska podkreśla, że zawsze mogła liczyć na duże wsparcie swojego klubu tenisowego Advantage Bielsko-Biała; do tego dochodzili prywatni sponsorzy oraz pomoc z Polskiego Związku Tenisowego. W rozmowie z Sarą Kalisz dla Sport.pl mówiła: „Grzechem byłoby więc narzekanie na cokolwiek". Podobne zdanie powtórzyła w jednej z pomeczowych rozmów w Paryżu, kiedy żartowała, że musi jakoś zorganizować pieniądze na przedłużenie hotelowej rezerwacji.

Są jednak w tej baśni trudy znacznie większe, bo Maja Chwalińska od lat opowiada otwarcie o walce z depresją. Dziś podkreśla, że bardzo trudne rzeczy są za nią, ale wie, że nie jest to walka wygrana na zawsze, i jest uważna na to, jak się czuje. Taki głos 24-letniej zawodniczki, wzmocniony dziś jej spektakularnym sukcesem, niesie społeczne korzyści nie do policzenia.

Długo w tej baśni czekaliśmy na moment, kiedy spotkają się forma fizyczna, spokój w głowie i świetny tenis. A Maja Chwalińska gra tenis, jakiego mało teraz w kobiecych rozgrywkach, w których wirtuozerię przygniotła siła. Wielu mówi, że gra tenis prawdziwy: finezyjny, taktyczny, z całym bukietem czarujących tenisowych zagrań. A Maja Chwalińska ma w sobie wszystko, by dalej rozkochiwać Polaków w sobie i w tenisie.

©℗ EWELINA BURDA

Pełna wersja artykułu dostępna na: tyg-pow.pl/maja

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

BIBLIOTEKI MITÓW

MONIKA WOLTING, BADACZKA:

Literatura działa jak sejsmograf. Możliwe staje się nie tylko wskazanie potencjalnych zagrożeń, ale i zaprojektowanie działań naprawczych – kontropowieści.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Jak Pani zespół bada literaturę?

MONIKA WOLTING: Analizujemy teksty literackie jako wskaźniki nastrojów społecznych.

Stworzyliście metodę, dzięki której literaturę da się czytać jako „mapę regionów kryzysowych". Analizowaliście sytuację w Algierii, Azerbejdżanie oraz na Bałkanach na podstawie publikowanych tam książek. Badaliście też konflikt między Tajwanem a Chinami. Z Waszej pracy korzystało Ministerstwo Obrony Niemiec, Unia Europejska, NATO. Udowodniliście, że w literaturze – z dużym wyprzedzeniem – można wychwycić sygnały zapowiadające zarówno lokalne, jak i międzynarodowe konflikty.

W fabułach, dialogach i obrazach literackich istnieją wzory tworzące matryce potencjalnych napięć i polaryzacji. Bywają one aktywizowane i instrumentalizowanie w praktykach dezinformacyjnych. A to z kolei ma wpływ na rozwój konfliktów.

Literatura działa jak sejsmograf, a nasze badania można porównać do siatki, która pozwala mierzyć drgania i odpowiednio szybko reagować na pierwsze sygnały nadchodzącego „trzęsienia ziemi". Możliwe staje się nie tylko wskazanie potencjalnych zagrożeń, ale i zaprojektowanie działań naprawczych – kontropowieści, które staną na drodze resentymentów.

Czytacie, słuchacie audiobooków, a następnie notujecie informacje, które przekładają się na system punktacji ryzyka. Bierzecie pod uwagę techniki narracyjne, przypadki cenzury, reakcje mediów na książki, nagrody literackie. Jak wygląda przykładowy arkusz badawczy?

Chce pani zobaczyć? Bardzo proszę. Najpierw zapisujemy bardzo podstawowe dane: imię i nazwisko autora bądź autorki, tytuł, rok wydania, wydawnictwo. Istotny jest poziom recenzowania, ilość wzmianek w mediach. Potem tematyka, pokrótce. Wypisujemy również cytaty, czyli to, co mówią bohaterowie. Notujemy opinie narratora. Wreszcie: badacz zaznacza, jakie emocje pojawiają się w książce.

Jest też analiza stosunków międzynarodowych.

Tak, chodzi o opinie dotyczące konkretnej narodowości albo regionu, a także

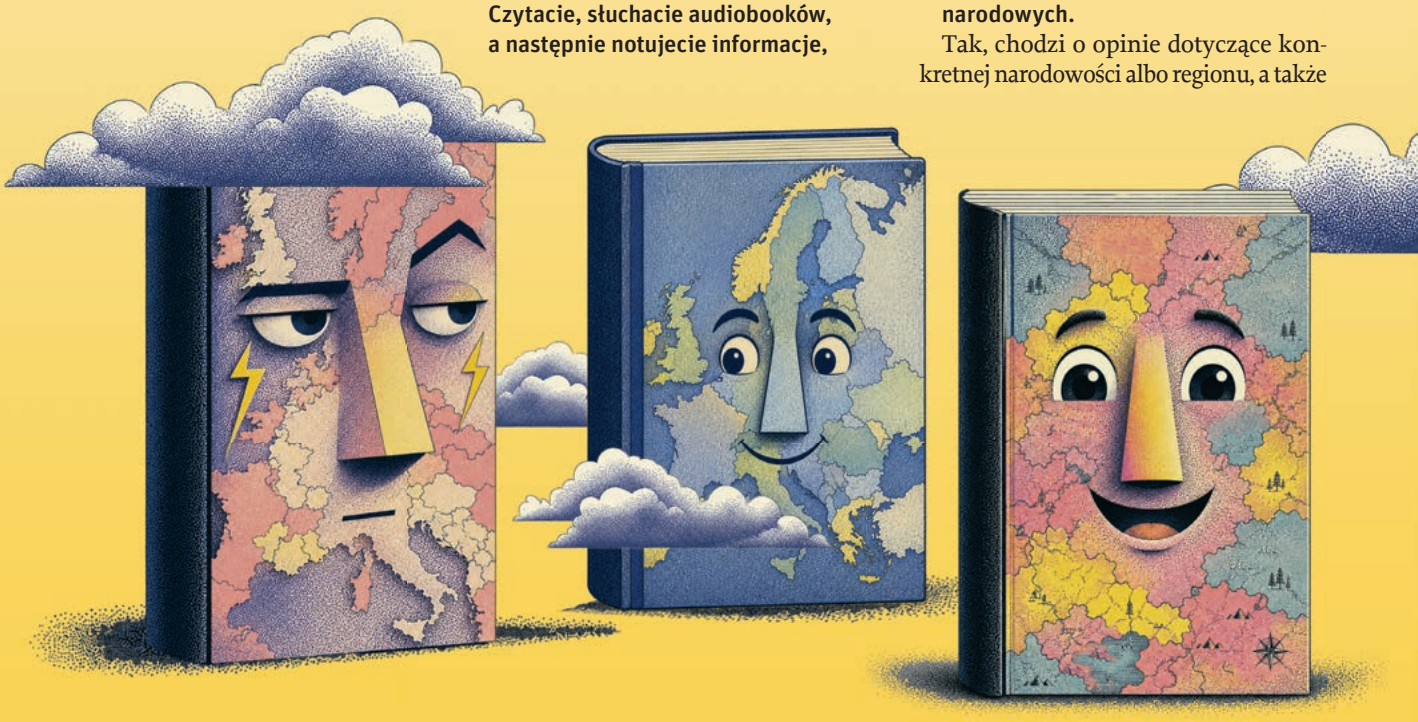

kontekst, w jakim się one pojawiają. Obrazy wrogów, wątki wykluczenia, fantazje o zemście, gotowość do wejścia w konflikt albo rozpoczęcia wojny.

Arkusz z danymi pozwala na porównawcze widzenie tych zbiorów, ułatwia także przekład materiału literackiego na język ryzyka komunikacyjnego.

Czego dotyczyły Wasze ostatnie badania?

Zajmowaliśmy się tym, czy się lubimy: my, Polacy. Jak przedstawiamy w literaturze polską wieś, miasta, jak mówimy o sobie i naszych sąsiadach.

O ile na początku badań byliśmy zachwyceni tym, co robimy, pod koniec prac nastroje zespołu siadły – wnioski okazały się deprymujące.

Dlaczego?

Z badań wynika, że nie interesujemy się przesadnie żadnym z sąsiadów. A jeśli już się nimi zajmujemy, to nasze emocje są raczej negatywne. Szczególnie nie lubimy Niemców. W polskiej literaturze Niemcy to kraj maszerujący w hełmach, naznaczony nazistowską przeszłością i zimną, bezosobową efektywnością.

W powieści Manueli Gretkowskiej „Miłość po polsku" (2010) Niemcy to społeczeństwo, które „w równym kroku z hełmami maszeruje, inaczej nie potrafią". W „Saturninie" Jakuba Małeckiego (2020) rodzice wypowiadają zdanie: „patrz, jak ładnie Niemca zjada" – gdy dziecko je musli przysłane z Niemiec. Nawet w tekstach, których główna tematyka dotyczy zupełnie innych spraw, Niemcy pojawiają się jako negatywny punkt odniesienia.

Szczególnie dramatyczny obraz wyłania się z literatury dotyczącej Śląska i Pomorza – „Ziem Odzyskanych". Tutaj Niemcy są obecni poprzez swoją nieobecność: w pozostawionych domach, lasach, w których „działy się złe rzeczy", w opowieściach o klątwie, którą mieli rzucić na te ziemie, odchodząc. „Jak Niemcy stąd odchodzili, to te ziemie przeklęli" – pisze Katarzyna Zyskowska w powieści „Nocami krzyczą sarny" (2023). Ale to poczucie grozy i nieokreślonego lęku wobec Niemców pojawiało się już u Olgi Tokarczuk w „Domu dziennym, domu nocnym" (1998). Przez ostatnie ćwierć wieku niewiele się zmieniło.

I jakie to ma dla nas znaczenie?

Jeśli dominującym obrazem Niemiec w polskiej świadomości pozostaną negatywne stereotypy utrwalane przez literaturę, trudno będzie nam budować głębszą współpracę i zaufanie. Słowem: to, jak opowiadamy sobie nawzajem nasze historie, może zadecydować o przyszłości naszych relacji.

Rozumiem, że między innymi dlatego tak łatwo zakwestionować dziś sojusz militarny Polski i Niemiec. Zauważyliście jakieś wyjątki od tej reguły?

Grzegorz Kozera w „Królikach Pana Boga" (2015), Ewa Cielesz w powieści „Ćma" (2018), której akcja toczy się w gierkowskiej Polsce, a także Sławek Gortych, w niezwykle popularnych obecnie kryminałach, rozwijają współczucie dla niemieckich ofiar wojny. Daniel Odija i Zbigniew Rokita pokazują Niemców jako część regionalnej mozaiki, nie wrogów. Kluczowe pytanie brzmi: które narracje staną się dominujące. Z pewnością brakuje bohaterów, którzy próbowaliby pośredniczyć między polską a niemiecką społecznością.

A można mówić o naszej historii bez utrwalania jej jako wyznacznika tożsamości?

Tak, obserwujemy to w polsko-niemieckiej literaturze migracyjnej. Obraz Niemiec jest tu zupełnie inny niż w polskiej prozie. Niemieccy pisarze polskiego pochodzenia, tacy jak Emilia Smechowski, Alexandra Tobor, Artur Becker, Mariusz Hoffmann czy Matthias Nawrat przedstawiają Niemcy jako skomplikowaną przestrzeń doświadczeń.

W ich książkach Niemcy to miejsce nadziei i rozczarowań, kraj surowych reguł, ale też przestrzeń sporych możliwości. Literatura emigracyjna nie ukrywa trudności i nieprzyjemności, które spotykają Polaków za Odrą: dyskryminacji (napisy „Polen raus" przed sklepami), przymusowej zmiany imion (Arkadiusz staje się Arkadiusem), presji na asymilację. Ale pokazuje złożoność doświadczenia, łączy ironię, melancholię i nadzieję.

Właśnie ukazała się w Niemczech bardzo ciekawa, szeroko komentowana książka Martina Piekara „Vom Fällen eines Stammbaums" („O ścinaniu drzewa genealogicznego"). Autor urodził się i mieszka w Bad Soden w Hesji. Jego matka otrzymała w Niemczech pod koniec lat 80. azyl polityczny. ↦

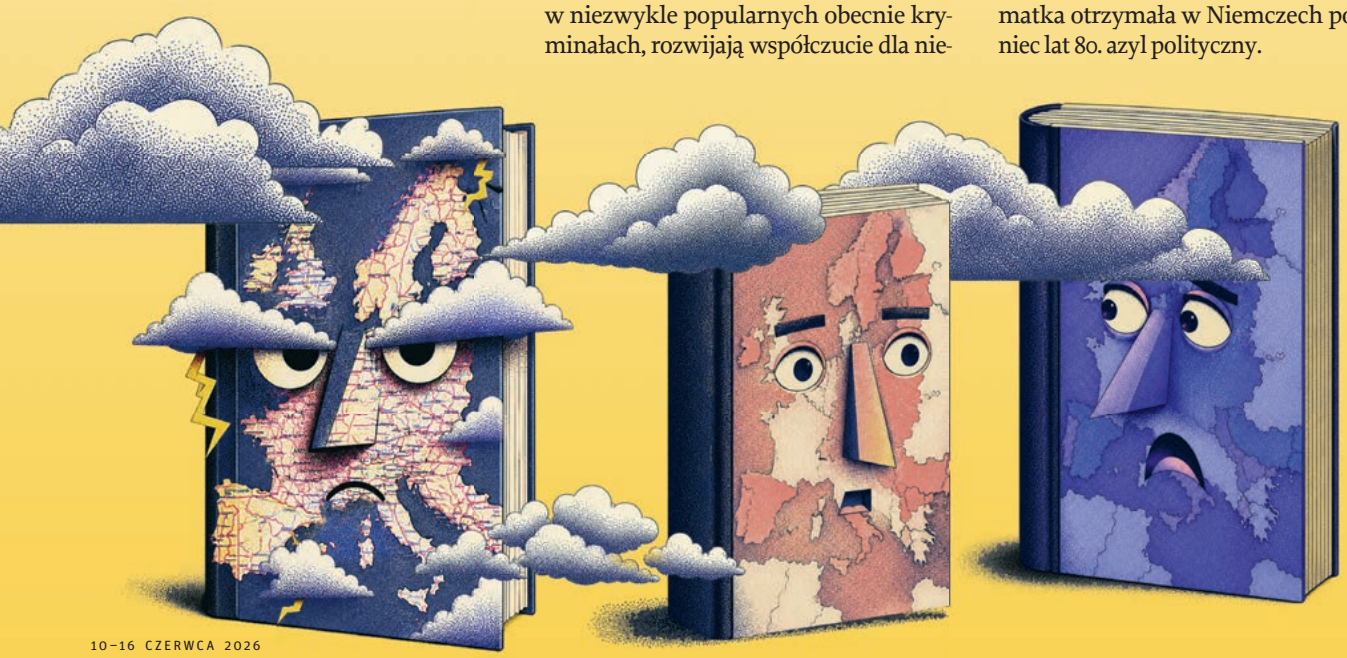

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ **Piekar w jednym z wywiadów mówi tak: „Polska ma coś, co mnie niesamowicie zachwyca i za każdym razem pozwala doładować akumulatory. Chętnie pokazuję Polskę przyjaciołom". Po przeczytaniu tej wypowiedzi pomyślałam, że niemiecki pisarz wie o nas więcej niż rodzimi twórcy. Bo my – jak pokazują badania – jesteśmy z siebie dumni. Polscy pisarze zdają się jednak tego zadowolenia nie dostrzegać. Skąd ta rozbieżność?**

Myślę, że kluczem jest tu paradoks bliskości: im bliżej czegoś jesteśmy, tym trudniej nam to zobaczyć w całości. Piekar patrzy na Polskę oczami kogoś, kto ją odkrywa – z czułością, ale też z dystansem, który pozwala dostrzec to, co my traktujemy jako oczywiste albo wstydliwe.

I właśnie to jest sedno interkulturowości – nie chodzi o to, by wymazać różnice albo udawać, że ich nie ma. Chodzi o to, że spojrzenie z progu, z miejsca pomiędzy, bywa bardziej przenikliwe niż spojrzenie z centrum. Piekar zajmuje właśnie tę pozycję „pomiędzy", która daje mu dostęp do obu kultur jednocześnie, bez konieczności wyboru, bez ciężaru jednej narracji narodowej.

W badaniach nad literaturą migracyjną widzimy to wyraźnie: pisarze funkcjonujący na styku dwóch języków i dwóch tradycji często opisują rzeczy, których rodzimi twórcy po prostu nie zauważają. Dlatego literatura interkulturowa jest dla nas tak cenna – nie dlatego, że jest obiektywna. Ale dlatego, że defamiliaryzuje: sprawia, że to, co znane, staje się warte opisania.

Wróćmy na mapę Europy. Jaki jest literacki obraz naszych pozostałych sąsiadów?

Pojawiło się w ostatnich latach w naszej literaturze trochę Ukraińców – przedstawiani są dość pozytywnie (np. przez Annę Cieplak czy Ingę Iwasiów), ale też kolonialnie: dobrze pracują, są grzeczni. Nie zmienia to faktu, że wciąż obecny jest w naszych książkach także negatywny obraz Ukraińców – banderowców (np. w powieści Marty Hermanowicz).

Zebrany przez nas materiał odsłania pewną ambiwalencję: Ukraińcy wciąż balansują między statusem „naszych" i „obcych". A my nie możemy się zdecydować, czy chcemy być solidarni, czy powinniśmy ich traktować z wyższościowym dystansem: pokazuje to proza Jakuba Żulczyka, głównie powieść „Informacja zwrotna" (2021). To konflikt między pamięcią krzywdy a ekonomią codzienności.

Ale dominującym obrazem jest Ukrainiec jako pracownik migracyjny.

Tak, Ukraińcy pojawiają się na równi z Hindusami jako osoby, które wykonują mało prestiżowe zawody, kiepsko się asymilują (nie znają języka) i godzą na upokorzenia, bo nie mają sprawczości i siły, by się komukolwiek postawić. To obraz pozbawiony emocjonalnego zaangażowania, momentami deprecjonujący. Redukcja Ukraińców do roli wyłącznie ekonomicznej to dla nas forma dystansu, chroniącego przed koniecznością uznania pełnej ich podmiotowości. Nie ma tu nienawiści, ale i nie ma szacunku – jest obojętność wynikająca z poczucia wyższości.

To niebezpieczne?

Z perspektywy ryzyka dezinformacyjnego taka obojętność tworzy podatny grunt dla narracji mobilizującej resentyment: wystarczy drobny epizod, by uruchomić lawinę krążących w obiegu mitów.

Zdaje się, że wykorzystał ją niedawno Wołodymyr Zełenski, nadając imię „Bohaterów UPA" jednemu z oddziałów Sił Zbrojnych Ukrainy. Jego decyzja momentalnie wywołała w Polsce falę gniewu – o to właśnie prezydentowi chodziło.

Do budowania trwałej solidarności z Ukraińcami nie wystarczy nam współczucie. Empatia jest warunkowa. Co stanie się, gdy sytuacja geopolityczna się zmieni i nie będziemy już występować wobec Ukrainy z pozycji siły?

A co w takim razie z Rosjanami?

Rosja to przede wszystkim najeźdźca i okupant. Literatura nieustannie wraca do doświadczeń II wojny światowej, konstruując obraz „nieokiełznanej hordy", której celem jest gwałcenie, mordowanie i grabież. Szczególnie wyraziste są powieści bezpośrednio nawiązujące do starć z Armią Czerwoną lub wywózek na Sybir – ten motyw znajdziemy między innymi w głośnych powieściach Ishbel Szatrawskiej czy wspomnianej już Marty Hermanowicz.

Rosja jest też przestrzenią zagrożenia, porównuje się ją do sił natury. W prozie Szczepana Twardocha to „powódź" albo „lawina". Ta metaforyka pozbawia agresora ludzkiego wymiaru, czyniąc go żywiołem niszczącym wszystko na swojej drodze. Jacek Dukaj w „Lodzie" (2007) inscenizuje to jako uniwersum „wiecznej zimy", gdzie imperialna władza zastygła po prostu w strukturę świata.

Czesi?

Czechów w zasadzie znamy za sprawą Mariusza Szczygła. Dobrą robotę wykonuje teraz Sławek Gortych, który dostrzegł naszych południowych sąsiadów i całkiem interesująco ich przedstawia.

Kto jest nam najbliższy?

Zaskoczę panią: Portugalczycy. Na krańcach Europy dopiero odnajdujemy coś zarazem znajomego i inspirująco odmiennego. Może chodzi o równowagę między swojskością a egzotyką? W książkach takich jak „Portugalka" Izy Słabuszewskiej-Krauze (2017) czy „Lizbona. Miasto, które przytula" duetu Stacewicz-Paixão i Wawrzkowicz-Nasternak (2019) obecna jest niemal romantyczna fascynacja Portugalią i jej mieszkańcami.

Polska literatura podkreśla duchowe pokrewieństwo z Portugalczykami – ich nostalgiczną postawę wobec historii, silne przywiązanie do tradycji oraz zdolność do życia z melancholią. Jednocześnie uwidacznia kontrast między „północnym" doświadczeniem Polaków a „południowym" rytmem życia w Portugalii. Towarzyszy temu zdumienie otwartością i naturalnym luzem Portugalczyków – cechami, które z polskiego punktu widzenia mogą wydawać się pociągające.

A jaki jest ogólnie nasz stosunek wobec Europy?

Wstaliśmy z kolan, jesteśmy bardziej pewni siebie, ale też zamknięci na impulsy, które idą ze świata. Nie tworzymy europejskiej wspólnoty, stajemy się raczej kontynentalnymi nomadami.

Ale taki jest chyba w ogóle obraz współczesnej Europy – przestaliśmy się ekscytować sąsiadami. Przejeżdżamy przez Europę jadąc do Włoch albo Hiszpanii, a jak jesteśmy na miejscu, liczy się plaża, jedzenie i wino. Tak jak Wrocław nie interesuje się za mocno Poznaniem, tak samo przestał interesować się Berlinem.

Dane z bibliotek pokazują, że Kaszubi chcą czytać przede

wszystkim o Kaszubach, a Ślązacy o Ślązakach.

Rozumiem tę potrzebę – zakorzenienie, lokalna tożsamość, poczucie, że ktoś wreszcie opowiada o moim miejscu, języku, historii. Identyfikujemy się coraz mocniej z tym, co najbliższe i najbardziej swojskie. Ale to jest też symptom czegoś niepokojącego: kurczenia się horyzontu. W literaturze widać to bardzo wyraźnie. Unia Europejska pojawia się w niej głównie jako instytucja – biurokratyczna, odległa, kojarzona z funduszami albo regulacjami. Rzadko jako wspólnota wartości, jeszcze rzadziej jako przestrzeń autentycznych relacji. Zjednoczona Europa nie stała się dla polskich pisarzy tematem, który elektryzuje. Jakby integracja dokonała się na poziomie infrastruktury – autostrad, lotnisk, przelewów bankowych – ale nie wyobraźni.

Wydaje nam się, że siebie już doskonale znamy, tymczasem wciąż posługujemy się stereotypami. I to jest może największy paradoks: im bardziej jesteśmy pewni siebie, tym mniej jesteśmy ciekawi. A ciekawość – wobec sąsiada, inności, wobec tego, co za granicą – jest pierwszym warunkiem prawdziwej wspólnoty.

Badali Państwo, jak to, co czytamy, przekłada się na naszą podatność na dezinformację.

Z analizy ponad czterystu tekstów wyłania się obraz społeczeństwa, które posiada gotowe „biblioteki mitów" – skompresowane formuły emocjonalne, czekające na reaktywację. Dezinformacja nie musi tworzyć tych wzorców od podstaw. Ona jedynie je włącza. I tu tkwi sedno problemu: aż 78 proc. analizowanych przez nas tekstów koduje obrazy wroga i wykluczenia, a 85 proc. zawiera to, co nazywamy ciężarem mitycznej przeszłości. To jest materiał łatwopalny.

Szczególnie niepokoi nas to, co roboczo nazywamy triadą dezinformacyjną: lęk, wstyd i gniew. Te trzy emocje działają synergicznie. Lęk szuka prostego wyjaśnienia, gniew szuka winnego, wstyd – narracji o czystości i autentyczności, które go uśmierzą. Dezinformacja dostarcza wszystkiego naraz. I literatura to doskonale dokumentuje: bohaterowie polskiej prozy żyją w permanentnym stanie alarmu, nie potrafią komunikować się nawet z najbliższymi, a emigracja jawi im się jako jedyne wyjście – bo brakuje przestrzeni, w której konflikty mogłyby być negocjowane.



MATERIAŁY PRASOWE

PROF. MONIKA WOLTING pracuje w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmuje się estetyką i polityką, literaturą zaangażowaną, transkulturową i migracyjną, bada teksty literatury niemieckiej i polskiej.

To ostatnie jest dla mnie najważniejszym wnioskiem z całych badań. Zaledwie 34 proc. analizowanych tekstów zawiera pozytywne wzorce autonomii i mediacji. Literatura nie modeluje tego, jak rozmawiać z kimś, kto myśli inaczej. Jak negocjować. Jak nie eskalować. Ta pustka jest potem wypełniana przez binarne narracje: albo totalna zgoda, albo totalna wojna.

Nasza podatność na dezinformację wynika również z tego, że nie czytamy krytycznie. Nic dziwnego: ani w szkołach, ani na uniwersytecie nie uczymy krytycznego czytania literatury. Bierzemy pod uwagę wyłącznie to, co „autor miał na myśli".

Egzaminy końcowe z języka polskiego nie punktują krytycznego myślenia, sprawdzają wyłącznie pamięciową wiedzę na temat świata przedstawionego.

Zwracamy uwagę na to, co jest w treści lektur, a nie to, co literatura z nami robi. Gdybyśmy czytali krytycznie, bylibyśmy mniej podatni na stereotypy. Zadawalibyśmy sobie pytanie: dlaczego tak właśnie bohater o kimś pomyślał. Wiedzielibyśmy, że opinia wyrażona na stronach powieści to tylko charakterystyka konkretnej figury, a naszym zadaniem jest krytyczne do niej podejście. Teksty opowiadają nam o tym, jak ludzie widzą świat. Ale my, jako czytelnicy, musimy mieć krytyczne podejście do tej wizji świata.

Jak ustalili Państwo cezurę czasową dla swoich badań?

Zdecydowaliśmy, że badamy książki z ostatnich 10–15 lat. Ale założyliśmy, że możemy brać pod uwagę wszystko, co ukazało się po roku 2000. Ta data akurat jest istotna, bo z końcem lat 90. przestaliśmy wierzyć, że świat liberalny może wygrać batalię o demokrację. To była wyraźna cezura dla całej Europy, czy szerzej: całego zachodniego świata. W latach 90. nasza literatura zdradzała jeszcze euforię wobec Zachodu. Z początkiem nowego milenium całkowicie zniknęła.

Czemu ta zmiana przyszła z początkiem wieku?

Nasze emocje nieodwracalnie zmieniły atak na World Trade Center oraz wojna w Afganistanie. Wydawało się, że to wszystko dzieje się bardzo daleko i dotyczy nas tylko o tyle, że wysyłamy tam naszych żołnierzy, ale to jednak była wojna, która nas dotknęła. Mamy tego w naszej literaturze stosunkowo mało, jest kilka tekstów, w których Afganistan się pojawia, głównie reportaży (Grzegorz Kaliciak „Afganistan. Odpowiedzieć ogniem", 2016) . Tyle że potem wszystko potoczyło się bardzo szybko, wojna zaczęła się do nas zbliżać, a dziś Afgańczycy stoją na granicy z Białorusią.

Po dekadzie szaleństwa straciliśmy ufność wobec Zachodu, wrócił długo pielęgnowany przez PRL strach przed obcym. Od tego momentu nasz niepokój się pogłębia. Fakt, że mamy ograniczone zaufanie do Unii Europejskiej, z tego poniekąd wynika.

A przez te dwadzieścia lat o Unii, jak już Pani wspomniała, pisaliśmy stereotypowo. Z najnowszego sondażu robionego dla Wirtualnej Polski wynika, że co trzeci Polak nie widzi w członkostwie ani plusów, ani minusów.

Gdy literatura dotyka kwestii europejskich, dzieje się to poprzez pryzmat emigracji zarobkowej. Europa – konkretnie Wielka Brytania, głównie przed brexitem – to przestrzeń rozrywająca polskie rodziny. Wolność przemieszczania się w UE oznacza tu nie tyle szansę na rozwój, ile rozpad więzi społecznych i rodzinnych. Europa jako ziemia obiecana okazuje się mirażem, który nie przynosi spodziewanego szczęścia. Integracja nie rozwiązuje fundamentalnych problemów – ani tożsamościowych, ani egzystencjalnych. ↦

W badaniach zajmowali się też Państwo tym, co gryzie Polki i Polaków.

Przede wszystkim zaobserwowaliśmy bardzo silny konflikt generacyjny, który przekłada się na konflikt miasto–wieś. Bohaterom naszych książek trudno wrócić do rodzinnego domu z dużego miasta.

Wydawało się, że trwający od dekady tzw. zwrot ludowy, który spopularyzował w literaturze temat wsi, odwrócił wektor niechęci.

Ale proszę zobaczyć, jak krytyczny jest obraz wsi w tej literaturze. Przecież nikt z nas nie chciałby żyć wśród „Chłopek", którymi się tak zaczytujemy. Interesujemy się wsią, ponieważ próbujemy zrozumieć, dlaczego mamy z nią tak duży problem. Książki utwierdzają nas w krytycznym obrazie tego świata, ponieważ zawierają obraz bardzo przemocowy: mężczyźni stosują przemoc wobec kobiet, rodzice wobec dzieci, a Kościół to już w ogóle wobec wszystkich.

Im bardziej chcemy ten temat zgłębić, tym bardziej odległość miasta od wsi w naszej literaturze się powiększa. Tracimy dobre wspomnienia. Albo inaczej: przypominamy sobie, jak to naprawdę było na tych wakacjach u babci. I że niekoniecznie sielsko.

Tracimy złudzenia dotyczące własnej przeszłości?

Sądzę, że my w ogóle nie przerobiliśmy w literaturze czasów PRL-u oraz czasów transformacji. W latach 90. wychodziliśmy już w przyszłość zafascynowani tym, co może nas spotkać, a potem bardzo szybko weszliśmy w okres nostalgii za PRL-em, która przyszła razem z mediami społecznościowymi. A przecież był to czas okrutnej przemocy: rodzinnej i państwowej.

Literacko tego uczciwie nie przerobiliśmy. Nie zadaliśmy sobie pytań, które powinniśmy sobie zadać. Jak to było z tą służbą bezpieczeństwa? Kto do niej należał? Kto kogo śledził? Kto na kogo nadawał? W dzisiejszych powieściach o tamtym czasie nie ma strachu, lęku. A przecież on wciąż w nas jest.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Narodowe Centrum Kultury opublikowało właśnie raport o 4 czerwca. Wynika z niego, że rocznica pierwszych częściowo wolnych wyborów nie ma dla nas większego znaczenia. Transformacja ustrojowa postrzegana jest dziś jako zmiana nieuchronna, coś, co musiało się wydarzyć. Nie widzimy w tym procesie, co niepokojące, własnej sprawczości.

W Niemczech ukazały się niedawno ważne książki Anne Rabe i Jenny Erpenbeck – obie są rozliczeniem z okresem Niemiec czasów zjednoczenia. Autorkom udało się pokazać międzypokoleniową traumę, która siedzi w niemieckim społeczeństwie.

Po tym, jak Rabe napisała swoją książką, straciła kontakt z rodzicami. W Niemczech nie jest to aż tak dziwne, tutaj święta Bożego Narodzenia można spędzać z przyjaciółmi albo w ogóle ich nie obchodzić. W Polsce trudniej jest nie mieć kontaktu z rodzicami. Jesteśmy trochę innym społeczeństwem, mamy silne więzi rodzinne i po to spotykamy się wciąż na wigilii, żeby nawet z wujkiem esbekiem podzielić się opłatkiem.

A jeśli dostrzeżemy własną sprawczość, jeśli zaangażujemy się emocjonalnie, będziemy musieli się na wujka obrazić.

I tu właśnie dotykamy sedna. To nie jest tylko kwestia literackiego niedoboru – to jest kwestia struktury emocjonalnej, którą nasza literatura doskonale dokumentuje, ale rzadko próbuje przepracować. Z naszych badań wynika, jak wspomniałam, że 85 proc. analizowanych tekstów zawiera to, co nazywamy ciężarem mitycznej przeszłości – ale ten ciężar jest skompresowany w zamkniętych formułach, nie rozkładamy go na konkretne wybory, twarze. Wiemy, że było źle. Nie wiemy, kto był zły.

Silne więzi rodzinne, które słusznie uważamy za jeden z naszych największych zasobów, stają się w tym kontekście mechanizmem obronnym. Tyle że my wybaczamy, zanim zapytamy. Godzimy się, zanim zrozumiemy. I w ten sposób lęk, który powinien być nazwany, wciąż w nas siedzi – nieuświadomiony, ale gotowy do reaktywacji przez narrację dezinformacyjną, która powie nam: „masz rację, jest się czego bać, a winni są tam".

Niemieckie pisarki – Rabe, Erpenbeck – zapłaciły za swoją literacką odwagę cenę osobistą i rodzinną. My tej próby jeszcze nie przeszliśmy. Być może dlatego, że nie mamy jeszcze literatury, która by nas do niej zaprosiła. Brakuje książek, które potrafiłyby powiedzieć: można kochać wujka albo dziadka i jednocześnie zapytać, co robił w PRL-u. Można być przy wigilijnym stole i nie udawać, że historia się nie wydarzyła.

Mediacja – między miłością a prawdą, między wiernością rodzinie a wiernością pamięci – to jest właśnie ten typ narracji, którego w polskiej literaturze dramatycznie brakuje. I którego brak, jak pokazują nasze badania, wypełnia dezinformacja.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

JAK ODZYSKAĆ RÓWNOWAGĘ W ŚWIECIE EKRANÓW?

Telefon sprawdzamy często jeszcze przed wstaniem z łóżka. Powiadomienia wyznaczają rytm dnia, a ekran stał się pierwszym oknem na świat: pogodę, wiadomości, pracę, rozmowy z bliskimi. Technologia weszła w nasze życie tak płynnie, że zwykle przestajemy ją zauważać. Dopiero gdy internet znika na kilka godzin albo bateria rozładowuje się w najmniej odpowiednim momencie, odkrywamy, jak bardzo przywykliśmy do ciągłej obecności online.

ŚWIAT, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE WYŁĄCZA

Trudno dziś wyobrazić sobie codzienność bez internetu. Dzięki niemu pracujemy, uczymy się, załatwiamy sprawy urzędowe, robimy zakupy i utrzymujemy kontakt z rodziną. Kompetencje cyfrowe są potrzebne niemal każdemu, niezależnie od wieku czy zawodu. Coraz częściej pojawia się jednak także inne pytanie: czy w świecie, który nigdy się nie wyłącza, umiemy jeszcze naprawdę odpoczywać?

UŻYWAĆ, LECZ NIE NADUŻYWAĆ

Cyfrowa dojrzałość nie polega wyłącznie na sprawnym korzystaniu z aplikacji. To także umiejętność świadomego korzystania z technologii, tak by była narzędziem, a nie czymś, co przejmuje naszą uwagę przez cały dzień. Łacińska sentencja „uti, non abuti", czyli „używać, lecz nie nadużywać", wyjątkowo dobrze opisuje wyzwania współczesności.

Podobny ton wybrzmiewa również w opublikowanej niedawno encyklice papieża Leona XIV „Magnifica humanitas", poświęconej sztucznej inteligencji i relacji człowieka z technologią. Papież przypomina w niej, że rozwój cyfrowy sam w sobie nie jest zagrożeniem, o ile człowiek zachowuje zdolność świadomego wyboru, odpoczynku i budowania relacji poza światem ekranów. Technologia ma służyć ludziom, a nie organizować całe ich życie.

Nie chodzi więc o odrzucenie świata online. Internet daje ogromne możliwości i dla wielu osób pozostaje przestrzenią pracy, nauki oraz rozwoju. Problem zaczyna się wtedy, gdy cyfrowa obecność staje się nieprzerwanym tłem codzienności. Coraz trudniej o chwilę skupienia, rozmowę bez zerkania na telefon czy zwykły odpoczynek bez potrzeby sprawdzania kolejnych informacji.

WAKACJE OFFLINE?

Szczególnie dobrze widać to przed wakacjami. Z jednej strony planujemy odpoczynek, z drugiej zabieramy ze sobą pracę, powiadomienia i niekończący się strumień treści. Nawet wolny czas coraz częściej przeżywamy przez ekran: fotografujemy, publikujemy, odpisujemy, sprawdzamy. Jakby sam moment nie był już wystarczający bez jego cyfrowego potwierdzenia.

Jeszcze kilkanaście lat temu, chcąc sprawdzić pogodę, po prostu wyglądało się przez okno albo zerkało na termometr za szybą. Dziś często pierwszym odruchem jest otwarcie aplikacji albo sprawdzenie powiadomień w telefonie. To drobna zmiana, niemal niezauważalna, ale dobrze pokazuje, jak bardzo cyfrowy świat wszedł w nasze codzienne nawyki. Być może cyfrowa higiena zaczyna się właśnie od takich małych gestów: chwili ciszy po przebudzeniu, spaceru bez telefonu w dłoni albo symbolicznego „otwarcia okna" zamiast kolejnej karty w przeglądarce.

Tymczasem cyfrowa higiena nie oznacza całkowitego odłączenia się od technologii. Chodzi raczej o odzyskanie proporcji. O umiejętność zauważenia momentu, w którym ekran przestaje być wygodnym narzędziem, a zaczyna odbierać uwagę, sen, relacje czy spokój. Dla jednych będzie to wyłączenie powiadomień po pracy, dla innych odkładanie telefonu podczas spotkań z bliskimi albo świadome ograniczanie czasu spędzanego w mediach społecznościowych.

Coraz więcej osób odkrywa dziś, że odpoczynek nie zawsze wymaga wyjazdu daleko od domu. Czasem wystarczy kilka godzin bez nieustannego przewijania treści, spacer bez telefonu w dłoni albo rozmowa, której nie przerywają kolejne komunikaty. To właśnie w takich momentach odzyskujemy uwagę i poczucie obecności.

KOMPETENCJE PRZYSZŁOŚCI

Dzieci uczą się cyfrowego świata nie z podręczników, lecz przede wszystkim od otaczających je ludzi. Widzą, jak korzystamy z telefonu przy stole, jak reagujemy na powiadomienia, czy potrafimy odłożyć urządzenie i poświęcić uwagę drugiemu człowiekowi. Dlatego jedną z najważniejszych kompetencji cyfrowych przyszłości będzie nie tylko umiejętność korzystania z technologii, ale także umiejętność świadomego niekorzystania z niej wtedy, gdy wymaga tego sytuacja.

Istotniejszą rolę odgrywają dziś miejsca, które pomagają oswajać technologię w spokojny i świadomy sposób. Kluby Rozwoju Cyfrowego pokazują, że edukacja cyfrowa może być czymś więcej niż nauką obsługi komputera czy telefonu. To także przestrzeń rozmowy o codziennych doświadczeniach związanych z internetem, bezpieczeństwem, informacją i relacjami. Bez pośpiechu, oceniania i presji.

Dla wielu osób takie miejsca stają się ważnym punktem kontaktu ze światem cyfrowym. Pozwalają zdobywać kompetencje we własnym tempie, zadawać pytania bez obawy przed oceną i uczyć się praktycznych rzeczy, które naprawdę przydają się w codziennym życiu. To szczególnie ważne dziś, gdy technologia zmienia się szybciej niż nasze przyzwyczajenia.

Bo technologia sama w sobie nie jest ani dobra, ani zła. Wszystko zależy od tego, czy potrafimy korzystać z niej świadomie. Internet może ułatwiać życie, budować relacje i otwierać dostęp do wiedzy. Ale równie ważne pozostaje to, by zostawić miejsce na ciszę, odpoczynek i zwykłą obecność drugiego człowieka. Może właśnie tego najbardziej potrzebujemy dzisiaj: nie ucieczki od technologii, lecz odzyskania nad nią kontroli.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | KRC Kluby Rozwoju Cyfrowego



CENA NADZIEI

Czy Polska powinna finansować drogie leki, które najprawdopodobniej nie działają, ale nikt tego wystarczająco dobrze nie sprawdził? Pytanie odżyło po nowej zbiórce Łatwoganga.

PATRYK SŁOWIK



MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Łatwogang dojechał na rowerze z Zakopanego do Gdańska, nagłaśniając w ten sposób zbiórkę dla chorego Maksa. Podczas trasy zebrał brakujące 12 mln zł. Kontynuował drogę, zbierając na inne chore dzieci. Gdańsk, 24 maja 2026 r.

Niemal 20 mln zł w kilka dni. Tyle zebrał Piotr Hancke, znany w internecie jako Łatwogang, na troje chorych dzieci. To jego kolejna zbiórka po słynnej akcji na rzecz Cancer Fighters i kolejny wielki sukces: samego Łatwoganga, jak i nas wszystkich. Jako społeczeństwo udowodniliśmy, że nie jest nam obojętna ludzka krzywda i że jesteśmy szczodrzy, gdy widzimy dziecko w potrzebie.

Hancke po zebraniu pieniędzy wystąpił z apelem do polityków, prezydenta Karola Nawrockiego i premiera Donalda Tuska. Łatwogang chciałby, aby lek na dystrofię mięśniową Duchenne'a był refundowany. Tak, by nie trzeba było już organizować kolejnych zbiórek i by rodzice chorych dzieci nie byli stawiani w sytuacji, w której muszą zebrać po kilkanaście milionów złotych, aby zawalczyć o życie swej latorośli. Samo leczenie kosztuje bowiem ok. 12 mln zł, a licząc z dodatkowymi kosztami, w tym transportem i pobytem w USA – niemal 15 mln.

Kancelaria Prezydenta do apelu już się odniosła. Mówiąc najkrócej: poparła, ale przerzuciła ciężar decyzji na Kancelarię Premiera.

– Szczodrość ludzka zasługuje na szacunek, ale nawet w połączeniu z naturalną ludzką potrzebą ratowania swoich najbliższych nie może zwyciężyć nad logicznymi podstawami do finansowania danego leku przez państwo – studzi zapał Maciej Miłkowski, były wiceminister zdrowia odpowiedzialny za politykę lekową w rządach Mateusza Morawieckiego i Donalda Tuska, obecnie odpowiadający za finanse w Wojskowym Instytucie Medycznym. I dodaje, że – jak brutalnie by to nie zabrzmiało – nie ma sensu finansować terapii nieskutecznych lub w najlepszym razie o wątpliwej skuteczności.

– Tego chciałyby koncerny farmaceutyczne, ale zadaniem państwa jest nie ulec – uważa Miłkowski.

Choroba, która zamyka w klatce

Dystrofia mięśniowa Duchenne'a to rzadko występująca choroba genetyczna, która wywołuje u dzieci zanik mięśni. Dotyka głównie chłopców. Szacuje się, że w Polsce jest ok. 400 chorych – ale żadnego oficjalnego rejestru nie ma.

Choroba ta – jak opowiadają rodzice dzieci z dystrofią – przypomina klatkę, która regularnie się pomniejsza. W środku klatki jest mały więzień. Zaczyna się od drobnych opóźnień w rozwoju ruchowym, potem następują problemy z chodzeniem, z poruszaniem się w ogóle. Choroba atakuje serce, płuca. Ogółem: szybko wyniszcza małego człowieka. Osoby z DMD są głęboko niepełnosprawne, wymagają całodobowej opieki, a perspektywa w toku życia zmienia się wyłącznie ze złej na jeszcze gorszą.

Rodzice obserwują więc, jak ich dzieci powoli, miesiąc po miesiącu, rok po roku, zbliżają się do śmierci. Ta nadchodzi zazwyczaj po 30. roku życia.

Nic zatem dziwnego, że koncerny farmaceutyczne próbują wynaleźć lek na DMD. Kilka lat temu wydawało się, że doszło do przełomu. Miał nim być produkt o nazwie Elevidys. W 2020 r. uznano go za tzw. lek sierocy, czyli stosowany w chorobach rzadkich. Dopuszczono go do stosowania m.in. w USA i Japonii.

24 lipca 2025 r. Europejska Agencja Leków (EMA) jednak obwieściła światu: ten lek nie działa. Europejski regulator odmówił dopuszczenia Elevidysu do obrotu. Mówiąc prościej: na terenie UE produkt ten nie powinien być stosowany.

W zasadzie placebo

Firmy farmaceutyczne, gdy chcą dopuszczenia ich produktu do obrotu, muszą przedstawić rezultaty przeprowadzonych badań. Producent leku na DMD przedstawił badanie z udziałem 125 dzieci w wieku od 4 do 7 lat z dystrofią mięśniową Duchenne'a, które były w stanie chodzić. Otrzymały one pojedynczy wlew Elevidysu albo placebo (substancja obojętna, pozorująca leczenie). Głównym kryterium oceny skuteczności preparatu był wpływ na zdolność poruszania się w ciągu 12 miesięcy, oceniany za pomocą standardowej skali o nazwie North Star Ambulatory Assessment (NSAA). Zakres skali wynosi od 0 do 34 punktów, a im wyższy wynik, tym wyższa zdolność poruszania się.

W badaniu nie wykazano, aby produkt Elevidys miał wpływ na zdolność poruszania się po 12 miesiącach. Pewną poprawę wyników w skali NSAA zaobserwowano bowiem nie tylko u pacjentów, którzy otrzymywali produkt Elevidys, ale i u tych przyjmujących placebo (zazwyczaj jest to tabletka z glukozą). „Różnica w zmianie wyników w skali NSAA między dwiema grupami wyniosła 0,65 w 34-stopniowej skali i nie była istotna statystycznie, co oznacza, że mogła wynikać z przypadku" – czytamy ↦

↦ w dokumentacji Europejskiej Agencji Leków na temat Elevidysu.

– Europejska Agencja Leków nie odmawia dopuszczenia leku do obrotu bez powodu. Elevidys, czyli obecnie stosowany lek na DMD, został wnikliwie sprawdzony. I okazuje się, że nie daje oczekiwanych efektów terapeutycznych. Mówiąc prościej: nie leczy i daje bardzo dużo działań niepożądanych – objaśnia Maciej Miłkowski.

Negatywne stanowisko wydało także Polskie Towarzystwo Neurologów Dziecięcych.

Na to nałożyły się informacje z USA. Kilkoro dzieci po przyjęciu leku zmarło, co zdaniem tamtejszej agencji leków – FDA – miało związek z terapią. FDA nie wycofała jednak medykamentu z obrotu, lecz zmieniła jego wskazanie. Może być stosowany wyłącznie u chodzących pacjentów od czwartego roku życia. Zgony wystąpiły bowiem u osób niemogących się poruszać, z bardzo rozwiniętą dystrofią mięśniową.

Kto ma płacić za niepewność

Pytam dr Marię Liburę, przewodniczącą Zespołu ds. studiów strategicznych przy Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie i wiceprezeskę Polskiego Towarzystwa Komunikacji Medycznej, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony mamy przecież rodziny bez dobrego wyjścia. Z ich punktu widzenia jest prosta alternatywa: albo lek, który być może działa, a być może nie, albo powolna śmierć najbliższej osoby. Z drugiej strony – czy państwo powinno refundować kosztowną terapię, która jest niesprawdzona?

– W emocjach zbiórkowych umyka fundamentalne pytanie: czy podawanie dziecku leku o nieudowodnionej skuteczności, po którym odnotowano ciężkie działania niepożądane, a nawet zgony, broni się etycznie? Fakt, że choroba jest śmiertelna, nie oznacza jeszcze, że wolno nam zaakceptować dowolną interwencję wobec chorego – przekonuje Libura. Jej zdaniem, jeśli prawdopodobieństwo korzyści jest na granicy błędu statystycznego, jak wskazuje EMA, a ryzyko cierpienia realne, pojawia się pytanie, czy podanie takiego leku jest w najlepszym interesie dziecka.

– Co więcej – kontynuuje ekspertka – tradycyjnie osoby uczestniczące w badaniach klinicznych godziły się ponosić ryzyko w imię dobra przyszłych pacjentów, ale nie oczekiwano od nich, że dodatkowo będą za ten gest poświęcenia płacić miliony z własnej kieszeni lub ze zbiórek publicznych. W przypadku dzieci dochodzi dodatkowa komplikacja, bo nie one decydują o swoim losie.

> Elevidys został wnikliwie sprawdzony przez Europejską Agencję Leków – okazało się, że nie przynosi efektów terapeutycznych. Mówiąc prościej: **nie leczy i daje dużo skutków ubocznych.**

– Wszyscy pochwalamy hojność obywateli i rozumiemy desperację rodziców szukających promyka nadziei. Chęć pomocy drugiemu człowiekowi zasługuje na szacunek. Teraz jednak rodziny i darczyńcy zbierają ogromne, liczone w milionach kwoty na terapię, której skuteczność pozostaje mocno niepewna – zauważa dr Libura.

I stawia pytanie: kto powinien ponosić koszt i ryzyko tej niepewności? Chore dziecko, jego rodzina i darczyńcy czy producent terapii?

– Medycyna oparta na dowodach powstała właśnie po to, by ciężar udowodnienia skuteczności i bezpieczeństwa spoczywał na producencie, zanim terapia trafi na rynek. W przeciwnym razie ryzykujemy sytuację, w której to nadzieja staje się produktem – sama odpowiada.

Nie możemy tylko czekać

Ale jest też podejście rodziców chorych dzieci. Alicja Orlik, mama chorego na DMD Adasia, udzieliła kilka dni temu wywiadu branżowemu portalowi RynekZdrowia.pl. Powiedziała: „Ja wiem, jaka przyszłość czeka mojego synka bez terapii genowej. Mogę więc siedzieć i czekać na to, co nieuchronne. A mogę spróbować czegoś, co daje szansę to zmienić".

Orlik zauważa, że zapewne nikt na świecie nie wie więcej o DMD i lekach, które mogłyby pomóc, niż rodzice chorych dzieci. I ma dwie wątpliwości.

Po pierwsze, dlaczego tak łatwo przyjmujemy, że Europa ma rację, a reszta świata się myli? Przecież nie tylko amerykańska FDA zatwierdziła lek, ale także np. Japonia, która nawet go refunduje.

Po drugie, zdaniem mamy Adasia to nie lek jest nieskuteczny, tylko metody, jakimi mierzy się jego skuteczność. Europejska Agencja Leków odniosła się bowiem do poprawy sytuacji pacjenta i jej nie dostrzegła. Ale równie istotne przecież jest sprawdzenie, czy u pacjentów po zastosowaniu terapii nie zatrzymuje się postęp choroby w porównaniu z przyjmującymi placebo. Inaczej mówiąc: trzeba sprawdzić nie tylko to, czy lek „cofa" chorobę, lecz także to, czy buduje obronny mur.

Maria Libura również dostrzega, że podejście europejskie jest inne od amerykańskiego i japońskiego. Ale jej zdaniem po prostu Europa mocno stosuje się do tradycyjnej medycyny, opartej na dowodach. A USA i Japonia częściej „rozpoznają bojem" schorzenia, na które nie ma jeszcze skutecznej terapii.

Trzy modele nadziei

Sposób działania państw w przypadku leków na choroby rzadkie może przyjąć trzy postaci. Wariant maksimum to dopuszczenie leku do obrotu i jego refundowanie. Wówczas koszty stosowania terapii, najczęściej drogich, bierze na swoje barki państwo. Tak właśnie Japonia robi z Elevidysem.

Wariant pośredni to dopuszczenie do obrotu, ale brak refundacji terapii. Oznacza to, że chorzy (i ich bliscy) muszą zebrać środki na leczenie sami, ale można je przeprowadzić w kraju. To przypadek USA.

I wreszcie: lek w ogóle nie jest dopuszczony do obrotu w danym państwie. W takim wariancie chętni na leczenie muszą i zebrać pieniądze, i pojechać do kraju, w którym terapia jest dopuszczalna. To, w odniesieniu do Elevidysu, podejście Polski i całej Unii.

Apel Łatwoganga i poparcie postulatu przez Kancelarię Prezydenta nic nie zmieni.

– Nie ma nawet formalnej możliwości refundowania leku na dystrofię mięśniową Duchenne'a. Na szczęście. Istnieją przepisy europejskie, które temu zapobiegają. A w Polsce są urzędnicy, którzy mają za zadanie posługiwać się wiedzą opartą na faktach, a nie na myśleniu życzenio-

wym czy to pacjentów, czy firm farmaceutycznych – twierdzi Maciej Miłkowski.

Aby w Polsce refundacja leku na DMD była możliwa, potrzebna jest zmiana rekomendacji przez Europejską Agencję Leków.

Z informacji „Tygodnika" pochodzących ze źródeł w europejskiej agencji wynika, że prawdopodobieństwo zmiany stanowiska w najbliższym czasie jest „bardzo niskie". Unijny regulator stara się bowiem od lat być głuchy na wszelkie kwestie pozamedyczne, choćby oparte były o realne cierpienie obywateli.

– Po prostu agencja musi dostać poprawione badania od producenta. Bardziej przekonujące, na większej próbie, z wyraźnym zaznaczeniem, czy lek „tylko" hamuje postęp choroby, czy również cofa jej skutki – słyszymy.

Rozkładanie racji

W dyskusji o leczeniu dystrofii mięśniowej Duchenne'a najłatwiej byłoby opowiedzieć prostą historię o dwóch stronach sporu.

W pierwszym świecie mamy zimnych, schowanych za tabelami urzędników, niewrażliwych na dramat rodziców, którzy każdego dnia patrzą na słabnące dziecko. Drugi świat to właśnie zdesperowani rodzice i internetowi dobroczyńcy, którzy pod wpływem emocji chcą wymusić na państwie – zazwyczaj z dobrej woli i realnej chęci pomocy – finansowanie nieudowodnionej terapii.

Jednocześnie przecież rodzice dzieci z DMD nie są naiwni. Nie są też zakładnikami reklamy. Zwykle wiedzą o chorobie więcej niż niejeden lekarz, bo choroba stała się osią ich życia. Czytają publikacje, śledzą decyzje regulatorów, rozmawiają z rodzinami z innych państw, porównują wyniki, szukają lekarzy, którzy nie powiedzą im tylko: „proszę się z tym pogodzić".

Wiedzą, że sytuacja jest beznadziejna, i wiedzą, że to nie jest tak, iż lek na pewno zadziała. Po prostu to ich jedyna nadzieja.

Co więcej, nie można przecież wykluczyć wariantu, w którym dotychczasowe badania nad Elevidysem były metodologicznie poprawne, ale realny efekt terapii jest trochę lepszy, niż z tych badań wyszło (zdarza się to przy badaniu produktów leczniczych w obie strony – czasem lek działa trochę lepiej, niż wynika z pierwszych badań, a czasem trochę gorzej). Nie można – i dosłownie nikt tego nie wyklucza – wykluczyć wariantu, w którym zastosowanie leku u konkretnej osoby spowolni rozwój choroby o kilka, kilkanaście, być może kilkadziesiąt miesięcy. Z punktu widzenia rodzin chorych – to już bardzo dużo.

Docieramy jednak do kluczowego pytania. Czy polskie państwo powinno finansować terapię niesprawdzoną, która najprawdopodobniej nie pomoże?

Maciej Miłkowski mówi, że w swojej odpowiedzi może iść dalej: przyjąć na chwilę, że lek pomaga i że to wiemy.

– Bo nawet gdybyśmy przyjęli, że lek na DMD jest skuteczny, należałoby zastanowić się, czy powinien być refundowany. Koszty kilkunastu milionów złotych na jednego pacjenta ekstremalnie przekraczają granice możliwości finansowych państwa. Budżet jest ograniczony, nie da się sfinansować wszystkiego zawsze. A przecież wszyscy pacjenci potrzebują zarówno leczenia, jak naukowo określonego skutecznego i sprawiedliwego dostępu do leczenia – uważa były wiceminister.

Cena samotności

Nic więc nie da się zrobić? Może warto posłuchać rodziców dzieci chorych na DMD, którzy od ponad dwóch lat apelują o lepsze zajmowanie się chorymi.

– Powinny być ośrodki w całym kraju. Nie ośrodki w sensie takim, że mamy stawiać nowe budynki. Chodzi o to, żeby wskazać personel, który się tym zajmie w danym regionie, nazwać go odpowiednio, zaplanować regularne badania, bo tutaj jest wymagana opieka wielospecjalistyczna. Potrzebny jest nie tylko neurolog, ale też kardiolog, endokrynolog, rehabilitant, fizjoterapeuta, dietetyk, potrzebni są ludzie od wad postawy, którzy powiedzą, jak mamy te nóżki prostować, ćwiczyć – apeluje Alicja Orlik do decydentów w rozmowie z RynkiemZdrowia.pl.

Na to polskie państwo powinno być stać. A sporu o skuteczność opieki nad chorymi przez neurologów i kardiologów oraz rehabilitacji – nie ma.

Kancelarie Prezydenta i Premiera mogą więc wspólnie zrobić coś dobrego: zadbać o to, by rodziny dotknięte dystrofią mięśniową Duchenne'a nie były pozostawione same sobie. Jeśli bowiem państwo nie może dziś kupić rodzicom nadziei za kilkanaście milionów złotych, powinno przynajmniej przestać doliczać do tej choroby cenę samotności.

© PATRYK SŁOWIK

Autor jest redaktorem naczelnym Zero.pl

REKLAMA





ANETA CHMIELIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Szlak Konwaliowy w Przemęckim Parku Krajobrazowym

Jak melodia w głowie

ANETA CHMIELIŃSKA, PEDAGOŻKA LEŚNA:

NATURA | Dopiero w Stanach zaczęłam myśleć o Polsce nie jak o czymś oczywistym, ale jak o kraju, który ma własny krajobraz, własne historie i charakter. Zyskałam perspektywę, której wcześniej mi brakowało.

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: Jest ciepłe majowe popołudnie, jemy rogale pod poznańskim Ratuszem. Jutro wypływasz kajakiem na Szlak Konwaliowy, który położony jest w okolicach Poznania. Pochodzę z Wielkopolski, ale nie miałam pojęcia, że są tu takie atrakcje.

ANETA CHMIELIŃSKA: Pewnie cię zaskoczę, ale ja sama stosunkowo niedawno odkryłam piękno i uroki Polski, więc daleko mi do oceniania tego, kto ile o niej wie (*śmiech*). Właśnie po to powstała moja książka, po to są te wszystkie opowieści. Chciałam, by coraz więcej osób zakochiwało się w Polsce. „Dzikoprzewodnik" to laurka ode mnie dla niej.

Kiedy Ty zapałałaś do niej uczuciem?

W moim przypadku miłość do Polski przyszła z czasem, musiałam do niej dojrzeć i dorosnąć. Paradoksalnie na zabój zakochałam się w Polsce dopiero wtedy, gdy z niej wyjechałam. Ruszyłam z plecakiem do Stanów Zjednoczonych i przez cztery miesiące wędrowałam szlakiem Pacific Crest Trail (jeden z najsłynniejszych długodystansowych szlaków pieszych na świecie – red.). Po drodze poznałam wielu wędrowców i przekonałam się, że Amerykanie są bardzo dumni ze swojego kraju, ciągle o nim opowiadają, chwalą się nim, darzą wielkim uczuciem. Na szlaku spotykałam też piechurów, którzy dopytywali o to, co ciekawego można zobaczyć w moim kraju. I wtedy bardzo intensywnie zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Co z tego wyniknęło?

Doszłam do wniosku, że czasem trzeba wyjechać bardzo daleko, żeby naprawdę zobaczyć miejsce, z którego się pochodzi. Dopiero będąc w Stanach, zaczęłam myśleć o Polsce nie jak o czymś oczywistym, ale jak o kraju, który ma własny krajobraz, własne historie i własny charakter. Zyskałam perspektywę, której wcześniej mi brakowało.

Mam wrażenie, że z miłością do własnego kraju jest trochę jak z opuszczaniem domu rodzinnego. Na początku człowiek chce się grubą kreską odciąć od tego, co zna. Ciągnie go w świat,

do nowości. Potrzeba czasu i różnych doświadczeń, żeby poukładać sobie wszystkie wątki i relacje, i finalnie uznać, że tu – w moim kraju – jest mi dobrze. Że jest tu pięknie, że czuję się tu swojsko, u siebie. I absolutnie nie chodzi mi o idealizowanie Polski, tylko o dostrzeżenie rzeczy, które wcześniej były przezroczyste lub zupełnie nieistotne.

Co było przezroczyste dla Ciebie?

Zapach polskiej ziemi. Ostatnio byłam oglądać mofety – wulkaniczne wyziewy w Tyliczu. Gdy wracałam do pensjonatu, w którym miałam nocować, słońce już zachodziło, w kościelnej wieży zaczęły bić dzwony, a w powietrzu czuć było wilgoć i ziemię. Bardzo mnie to wzruszyło, bo przypomniałam sobie, że ziemia w Polsce pachnie inaczej niż ta, po której wędrowałam w Stanach. Inaczej się ugina, ma inny kolor. Przed wyjazdem nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że można za tym tęsknić i się tym zachwycać.

Kolejną taką rzeczą był smak polskich warzyw i owoców. Gdy po powrocie z wyprawy pojechałam do babci mojego męża na podlaską wieś i zjadłam tam pysznego, swojskiego pomidora, to myślałam, że oszaleję ze szczęścia. Wszyscy dookoła myśleli, że upadłam na głowę, bo to przecież tylko zwykły pomidor. No nie! (*śmiech*)

Gdy pierwszy raz sięgnęłam po „Dzikoprzewodnik", książkę, w której zabierasz czytelników w 50 wypraw po Polsce, z automatu przyszło mi do głowy oklepane powiedzenie: „cudze chwalicie, swego nie znacie". Chciałaś pokazać, że mamy się czym pochwalić?

Trochę tak. Witold Gombrowicz pisał o tym, że my, Polacy, wciąż mamy w sobie pewien kompleks wobec Zachodu i poczucie, że musimy do czegoś doskoczyć, że stale musimy do czegoś dążyć. A z takim podejściem trudno jest doceniać to, co mamy, bo ciągle wydaje się nam, że jesteśmy niewystarczający. Tymczasem w Polsce mamy naprawdę wiele: zachwycającą naturę, która jest absolutnie unikatowa, mamy masę opcji na wspaniałe wyprawy i wycieczki, które są na wyciągnięcie ręki. Polska to nie tylko największe turystyczne miasta, takie jak Kraków, Warszawa czy Gdańsk, to nie tylko morze i góry. Kryje się tu dużo więcej skarbów czekających na odkrycie.

Właśnie na tych skarbach skupiasz się w „Dzikoprzewodniku", który jest zaprzeczeniem klasycznego turystycznego przewodnika. Nie ma w nim listy miejsc, które koniecznie trzeba odhaczyć – zamiast tego jest czuła narracja i ciepłe, pełne ciekawostek gawędy o naturze, idealne do czytania na głos podczas wypraw.

Bo dla mnie podróżowanie to doświadczanie danego miejsca, to historie, które za nim stoją. Tymczasem mam poczucie, że dziś wiele rzeczy – w tym wyjazdy – konsumujemy tak, jakbyśmy mieli jabłko, które tylko nadgryzamy i zostawiamy. Po chwili biegniemy dalej, do następnego jabłka. I tak w kółko.

Masz na myśli to, że nie wykorzystujemy w pełni potencjału podróżowania?

Dokładnie tak. Są badania, które wskazują, że najwięcej dopaminy nasz mózg produkuje nie na samym wyjeździe, tylko podczas oczekiwania i planowania. Kiedy snujemy wizje o tym, jak to będzie, poznajemy historię danego miejsca, robimy listę dań, które tam spróbujemy. Gdy podróżujemy w pośpiechu i pędzie, tylko nadgryzamy to jabłko – a to marnotrawstwo, bo bardzo często sporo za nie zapłaciliśmy.

Czyli podróż zaczyna się tak naprawdę dużo wcześniej niż w chwili wyjazdu?

Zdecydowanie. I co najlepsze – może trwać znacznie dłużej niż sama wycieczka. Bo będąc już na miejscu, warto wchodzić głębiej w poznane wcześniej historie, szukać kolejnych wątków i odkrywać nowe konteksty. Po powrocie można przejrzeć zdjęcia, wywołać je, zrobić z nich album, można gotować potrawy, których spróbowało się w danym miejscu. I nagle doświadczenie, które było tylko kilkudniowym wyjazdem, staje się czymś, co ubogaca nasze życie przez tygodnie lub nawet miesiące.

A masz jakieś wskazówki, które mogą pomóc obudzić zachwyt nad miejscami, które odwiedzamy?

Nieustannie zadawać sobie pytania o to, dlaczego dane miejsce jest takie, jakie jest, i o to, co decyduje o jego wyjątkowości. I niestrudzenie szukać na nie odpowiedzi – najpierw rozmawiając z mieszkającymi tam ludźmi, bo oni z pewnością znają historie, których nie ma nigdzie indziej, a później w internecie lub w książkach. Myślę, że ta ciekawość – miejsca i drugiego człowieka – jest dziś absolutnie kluczowa i warto ją w sobie pielęgnować, szczególnie że żyjemy w czasach intensywnego rozwoju technologii, która coraz częściej przejmuje rolę opowiadacza historii.

Historia i historie są nieodłącznymi elementami podróżowania?

One dają kontekst, punkt zaczepienia i są stelażem dla ciekawości – zarówno w podróżach po Polsce, jak i po świecie. Na przykład Góry Świętokrzyskie – na pierwszy rzut oka wydają się bardzo niepozorne. Można je przejść długodystansowym, stukilometrowym szlakiem, co jest do zrobienia w jakieś trzy dni. A zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego one są takie niskie?

Niespecjalnie.

Dlatego, że to jedne z najstarszych gór Europy. Na stoiskach z pamiątkami przy szlakach można znaleźć krzemienie pasiaste, bo to jedyne miejsce na świecie, w którym występują. One tam są dlatego, że kiedyś – jakieś 150 milionów lat temu – całe Góry Świętokrzyskie były zalane ciepłym, jurajskim morzem, a krzemienie są pozostałością tego, co się osadziło na dnie. I my dziś, w 2026 roku, możemy to wziąć do ręki. Czy to nie jest niesamowite?

Jest, bo pozwala zupełnie inaczej spojrzeć na wędrowanie po tych górach.

Właśnie o tym mówię – nagle niepozorne Góry Świętokrzyskie okazują się fascynującą opowieścią, sięgającą milionów lat wstecz. To budzi respekt.

A od czego powinniśmy zacząć, jeśli chcemy podróżować bardziej świadomie i uważnie?

Przede wszystkim polecałabym zacząć od siebie. Zanim sięgniemy po przewodniki, Instagram czy strony internetowe, warto zadać sobie pytanie: co ja właściwie lubię? Jak lubię spędzać ↦

↦ czas? Czy są miejsca, które od dawna chcę zobaczyć? Można podejść też do sprawy jak do kreatywnego wyzwania – na przykład zastanowić się, czy jest jakieś województwo, w którym jeszcze mnie nie było?

Mam poczucie, że dziś często pozwalamy, by o naszych podróżach decydowały za nas algorytmy albo trendy.

Coś w tym jest. Tymczasem dużo ciekawiej jest zacząć od własnych zainteresowań. Jeśli lubimy kajaki, szukajmy miejsc związanych z wodą. Jeśli fascynuje nas astronomia, podążajmy tym tropem. Jeżeli najlepiej odpoczywamy na rowerze lub podczas wędrówek, niech to będzie punkt wyjścia. Właśnie dlatego w „Dzikoprzewodniku" stworzyłam alternatywny spis treści, który prowadzi czytelnika nie przez regiony Polski, ale przez zainteresowania. Chciałam pokazać, że podróż można zacząć od własnej ciekawości, pasji lub zajawki.

Pierwsze skrzypce w „Dzikoprzewodniku" gra rodzima natura, którą serwujesz w postaci kuszących mikroprzygód: wyprawy po minerały, wyprawy do wodospadu świetlików, lodospadów w kamieniołomie, wyprawy po rosiczki, wędrówki szlakiem wygasłych wulkanów – to brzmi jak wyliczenie atrakcji z dalekiej krainy, tymczasem znajdziemy je u nas.

Dokładnie. Skupiłam się na naturze, bo tak jak wspomniałam na samym początku – jest ona w Polsce absolutnie zachwycająca i jedyna w swoim rodzaju. Bardzo zależało mi również na tym, by wyprawy i opowieści pozwoliły czytelnikom na budowanie więzi z przyrodą – bo jeżeli kochamy dane miejsce, to czujemy za nie odpowiedzialność, chcemy o nie dbać, chronić je.

Dlaczego dziś tak bardzo potrzebujemy natury?

Ona działa na nas kojąco i uzdrawiająco, bo przecież przez większość naszej historii żyliśmy blisko przyrody i biologicznie jesteśmy do niej przystosowani. Mam jednak wrażenie, że często nie doceniamy tego, co mamy na wyciągnięcie ręki, bo wydaje nam się, że dopiero gdy za coś zapłacimy, jest to wartościowe.



ANETA CZAPLA-PACIORKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

ANETA CHMIELIŃSKA jest pedagożką leśną, autorką podkastu „Dzikoprzygody" oraz kilku książek, w tym wydanego w kwietniu „Dzikoprzewodnika po Polsce" (Wydawnictwo Nieśpieszne), który zabiera nas w nieszablonową podróż po kraju, odkrywa tajemnice natury, jednocześnie proponując odmienny sposób postrzegania miejsc, które wszyscy pozornie znamy. Od lat popularyzuje wiedzę o przyrodzie.

A ponieważ kontakt z naturą często nic nie kosztuje, traktujemy go raczej jak coś mało ekscytującego.

Podróżowanie, które pokazujesz w swojej książce, jest nieśpieszne i uważne.

Chciałam pokazać, że wspólne wojaże – nieważne, dalekie czy bliskie – mogą być czasem, który przeżywamy w pełni, razem ze współtowarzyszami. To trochę w opozycji do sposobu, w jaki często dziś podróżujemy. Odhaczamy kolejne atrakcje, pozornie wspólnie je „konsumujemy" i przeżywamy, ale to tak, jakbyśmy siedzieli obok siebie w kinie – niby jesteśmy blisko, niby spędzamy razem czas, ale jesteśmy obok siebie, a nie razem.

No właśnie – a przecież wakacje i wyjazdy są wspólnie spędzanym czasem. On jest równie ważny co szlak, który przemierzamy, albo miejsce, które zwiedzamy.

Myślę, że jest nawet ważniejszy, bo w wyjazdach bardzo często chodzi przecież o relacje. Wspólne odkrywanie świata zbliża do siebie, niezależnie od wieku. Kiedy razem czymś się zaciekawiamy, szukamy odpowiedzi i próbujemy zrozumieć, dlaczego coś jest takie, a nie inne, tworzymy wspólne doświadczenia i wspomnienia. Takim trafem nagle okazuje się, że wspólne oglądanie gwiazd w Bieszczadach połączyło nas bardziej niż wczasy na drugim końcu świata. O to w tym chodzi.

Zatoczmy koło i wróćmy do początku naszej rozmowy: gdyby dziś wędrowiec ze szlaku Pacific Crest Trail poprosił Cię o oprowadzenie po Polsce, to co byś mu pokazała?

Na pewno zabrałabym go na kilkudniowy spływ Czarną Hańczą, na wędrówkę Głównym Szlakiem Beskidzkim, by mógł się zrelaksować, a przy okazji poznać kulturę schronisk górskich. Kto wie, może po drodze spotkalibyśmy człowieka, który na szlaku śpiewa piosenki turystyczne? Pokazałabym mu polskie morze i przepiękny szlak latarni morskich, a na wiosnę zabrałabym go na drezyny rowerowe w okolicach Grójca, żeby przy okazji na własne oczy mógł zobaczyć nasze kwitnące sady. Zadbałabym również o to, by przed wyjazdem z Polski zjadł dużą porcję szarlotki.

A gdybyś miała mu w kilku słowach opowiedzieć o tym, jaka jest Polska?

Ale wyzwanie! To tak, jakbyś mnie poprosiła o to, żebym w kilku słowach opisała miłość swojego życia.

Spróbujesz?

Ludzie są tutaj ciepli, gospodarni i bardzo gościnni, uwielbiają, kiedy się do nich przyjeżdża. Przyroda jest taka, że można się w niej zakochać bez pamięci, można w niej naprawdę odpocząć i znaleźć ukojenie. To kraj jak melodia w głowie, która nie chce z niej wyjść. I wydaje mi się, że gdy raz się do Polski przyjedzie, to chce się do niej wracać.

© Rozmawiała MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

OLGA

Drenda:
Złomowanie (i) robota



Zobaczyłam badania, według których aż jedna trzecia Polaków uważa, że praca, którą wykonują, jest niepotrzebna. Jeśli to prawda, być może jest to najważniejsza informacja o tym, jak dzisiaj żyjemy i jakie niewidzialne prądy wpływają po cichu na to, co się z nami dzieje. Strasznie jest czuć się zbędnym, jeszcze gorzej zostać tak zaklasyfikowanym przez kogoś. W dawnych społeczeństwach, w których nie istniały emerytury, ludzie starali się pracować czy choćby inscenizować pracę do najpóźniejszych lat życia, zamiatać już pozamiatane podwórko, byle tylko nie zostać uznanym za balast przez pozostałych.

Zasłużony polski socjolog Stefan Czarnowski napisał prawie sto lat temu zbyt słabo znaną dziś książkę o niezapomnianym tytule: „Ludzie zbędni w służbie przemocy", o ludziach nie z własnej winy wyrzuconych na społeczny śmietnik, a potem używanych cynicznie jako narzędzie. O wiele bliżej naszych czasów etnolog Tomasz Rakowski poświęcił poruszającą książkę ludziom, z którymi rozmawiał i wspólnie pracował – zdegradowanej kadrze zamkniętych zakładów przemysłowych – którzy wykazywali się ogromną pracowitością, choć świat dookoła nie chciał tego uznać.

Sam fakt wykonywania pracy poczucia nieprzydatności nie usuwa. W głośnej książce Davida Graebera o pracy bez sensu ankietowani przyznają, że ich stanowiska to wata: dają im zarobek, a nawet prestiż, ale równie dobrze mogłyby nie istnieć. Jednak zbędny może poczuć się też człowiek jak najbardziej samowystarczalny, pracujący, zaangażowany i pomocny.

Nie da się wytyczyć granic pracy „potrzebnej". Gdyby ktoś chciał wykonać ćwiczenie z ekstremalnej redukcji do naprawdę podstawowych potrzeb, to musielibyśmy uznać, że praca większości z nas jest nadmiarowa. Zapewne wielu z nas czuje się przywiązanych do mądrego wiersza Juliana Tuwima „Wszyscy dla wszystkich" („Murarz domy buduje, krawiec szyje ubrania, ale gdzieżby co uszył, gdyby nie miał mieszkania?") i bardzo chcemy wierzyć, że dla każdego zajęcia jest miejsce pod wielkim dachem nieba. Ale jak mówiła niegdyś kampania pewnej sieci sklepów, są pragnienia i potrzeby, i gdyby ktoś się uparł, to do pudełka z potrzebami trafiłoby kilka-kilkanaście branż, bez których codzienne życie naprawdę by się zapadło, np. energetyka, ochrona zdrowia, rolnictwo czy wywóz śmieci. A setki zawodów, w których pracujemy, usług, które świadczymy, które nierzadko dają nam radość lub ulgę, czy to jako klientom, czy jako pracownikom, to już pragnienia – rzeczy dobre i pożyteczne, ale nie niezbędne. Powiedzmy: branża urody, ciastkarstwa albo projektowania gadżetów – wszystkie podnoszą jakość życia i czynią je lepszym, lecz bez nich da się żyć, choć z pewnością przykrzej i smutniej. Oczywiście w tej kategorii znajduje się także pisanie felietonów. Choć skądinąd wiem, że cenią je Państwo i lubią, i za wszystkie te wyrazy dziękuję – to co najwyżej warstwa słodkiego dżemiku na konkretnym razowcu życia.



OLGA DRENDA

Nawet tak mały robocik budzi podejrzenia

We współczesnym świecie, który nie jest przecież małą wioską, gdzie wszyscy wzajemnie muszą na sobie polegać jak u Tuwima – przydatność tego, co robimy, jest kwestią ulotnej umowy. Ludzie przekonują o swojej pożyteczności, wymyślają dla siebie użytek albo doceniają to jakoś inni. Nawet gdy swojej pracy nie znosimy i nazywamy ją robotą – nie w znaczeniu „dobrej roboty" jak u Kotarbińskiego, tylko niewdzięcznego wysiłku – lepiej jest wierzyć, że nie jest ona całkiem bez sensu.

Nikt jednak nie może do końca czuć się bezpieczny. Częste dzisiaj terroryzowanie ludzi wizją *permanent underclass*, czyli „ludzi zdegradowanych na dobre" wskutek zamiarów powszechnej automatyzacji szerzonych przez megalomańskie firmy, uderza w poczucie stabilności wszystkich, także w tych podstawowych branżach. To sprawia, że mogą pojawiać się punktowe wybuchy agresji, służące wskazaniu tego, kto ma być zbędniejszy, w myśl aforyzmu Stanisława Jerzego Leca, że „przedostatni Mohikanin zabija często ostatniego Mohikanina, by nim zostać". Przez chwilę można wtedy poczuć się spokojniejszym.

Niektórzy jakby wyczuli intuicyjnie, że nastąpi oderwanie pracy od pieniądza, i rozpoczęli ewakuację różnymi wyjściami awaryjnymi, stawiając na zarobek bez zatrudnienia – dochód pasywny, a czasami nawet hazard. Nasycenie infosfery zachętami do podejmowania takich prób mówi coś o świecie, w którym żyjemy. Dopiero okaże się, jakie skutki będzie mieć taki podział społeczeństwa według linii „ma – nie ma". Prawdopodobnie niewesoły. Ale podejrzewam też, że wcale nie jest nierealistyczne, iż w rubryce „zawód marzeń" często będą pojawiać się nieuwzględniane jeszcze kategorie: haker oraz starszy specjalista ds. złomowania robotów. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



JAKUB STARZYK XS

Uczestnicy i goście pierwszego Zlotu Powszechnego w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Kraków, 29 maja 2026 r.

RAZEM MOŻEMY WIĘCEJ

29 maja odbył się pierwszy Zlot Powszechny. Dzień pełen rozmów, spotkań i dobrej energii. Dla redakcji „Tygodnika Powszechnego" był to przede wszystkim wyczekiwany moment kontaktu z Czytelnikami i Czytelniczkami. A dla naszych odbiorców czas na spotkania z ulubionymi Autorami i Autorkami.

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

W piątek, 29 maja, w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha odbył się pierwszy Zlot Powszechny – spotkanie, na które redakcja „Tygodnika Powszechnego" czekała z nieukrywaną ciekawością. Chcieliśmy zobaczyć naszych czytelników, porozmawiać z nimi i posłuchać, co ich porusza, co ich zajmuje i jak czytają świat razem z nami. Od pierwszych chwil w sali dało się wyczuć, że ludzie naprawdę chcą tu być.

Manggha zapełniła się czytelnikami, autorami, redaktorami i przyjaciółmi pisma. Szybko stało się jasne, że nie chodzi tylko o serię paneli i rozmów, ale o bezpośredni kontakt, który w codziennej pracy redakcji zdarza się zbyt rzadko. Spotkanie otworzyli Jacek Stawiski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego", oraz Ewelina Burda, zastępczyni redaktora naczelnego, którzy powitali uczestników i zaprosili ich do wspólnego spędzenia dnia.

Program Zlotu był ułożony tak, by dać miejsce zarówno rozmowom o sprawach poważnych, jak i bardziej osobistym refleksjom. W pierwszym panelu, „Trzej Naczelni Tygodnika Powszechnego" ks. Adam Boniecki, Piotr Mucharski i Jacek Stawiski spotkali się na jednej scenie w rozmowie prowadzonej przez Ewelinę Burdę. Był to rodzaj rozmowy charakterystyczny dla „Tygodnika": uważnej na świat, odpornej na uproszczenia, niechętnej gotowym odpowiedziom.

Następnie Bogdan de Barbaro w rozmowie z Katarzyną Kubisiowską przyglądał się tematowi losu i psychoterapii, pytając, na ile człowiek rzeczywiście kształtuje własne życie. Rozmowa odsłaniała kulisy pracy psychiatry i terapeuty – nieoczywiste, miejscami zaskakujące

Po krótkiej przerwie scenę przejęły Eliza Kącka i Monika Ochędowska, dzieląc się refleksjami o sztuce słuchania jako źródle cotygodniowych felietonów w „Tygodniku". Przypomniały, że w publicystyce liczy się

zlot POWSZECHNY



Zastępczyni redaktora naczelnego Ewelina Burda oraz redaktor naczelny Jacek Stawiski otwierają Zlot Powszechny.



Trzej naczelni „Tygodnika Powszechnego” Jacek Stawiski, ks. Adam Boniecki i Piotr Mucharski w rozmowie z Eweliną Burdą.



Koncert Grzegorza Turnaua.



Spotkanie panelowe „Los a psychoterapia” z Katarzyną Kubisiowską i prof. Bogdanem de Barbaro.

nie tylko trafny komentarz, ale też umiejętność zatrzymania się nad tym, co ledwo słyszalne.

W kolejnej rozmowie Marcin Napiórkowski i Marek Rabij rozkładali na części mity, państwowość oraz marzenie o „normalnym kraju” – pokazując, jak zbiorowe opowieści decydują o tym, czym jest wspólnota.

Po przerwie Anita Piotrowska w rozmowie z Eweliną Burdą mówiła o filmie jako narzędziu rozumienia świata. Tę część debaty zamknęli Tomasz Stawiszyński i Michał Okoński rozmową o chaosie, chrześcijaństwie i dysonansie, z filozofią zakorzenioną w codziennych pytaniach.

Finałem dnia był koncert Grzegorza Turnaua. Artysta z humorem opowiadał o swoich wieloletnich związkach z „Tygodnikiem”, wplatając wspomnienia między kolejne utwory. Zgromadzeni na sali śmiali się, słuchali i wyraźnie chcieli, żeby chwila ta trwała. Po dniu rozmów muzyka zrobiła swoje – rozluźniła, zebrała i domknęła imprezę. ©℗

ORGANIZATOR:

TYGODNIK POWSZECHNY

Dla redakcji „Tygodnika Powszechnego” ten dzień był ważny z prostego powodu: usłyszeliśmy i poznaliśmy na żywo naszych Czytelników i Czytelniczki. To rzadkie, a bardzo potrzebne. Myślimy już o kolejnych spotkaniach: będziemy o nich informować na bieżąco. Bądźcie z nami!

PARTNERZY WYDARZENIA:

Albatros travel

WODOCIĄGI Miasta Krakowa
125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

HERBEWO CITY S.A.

ERGO HESTIA

FINE WINE

REPORTAŻ

TRAUMA-ZDRÓJ

TEKST: BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ILUSTRACJA: MAGDA WOLNA

Rabka: słynne uzdrowisko, propagandowa duma peerelowskiej służby zdrowia. I wspomnienie dziecięcej krzywdy, która dopiero teraz zyskuje głos.

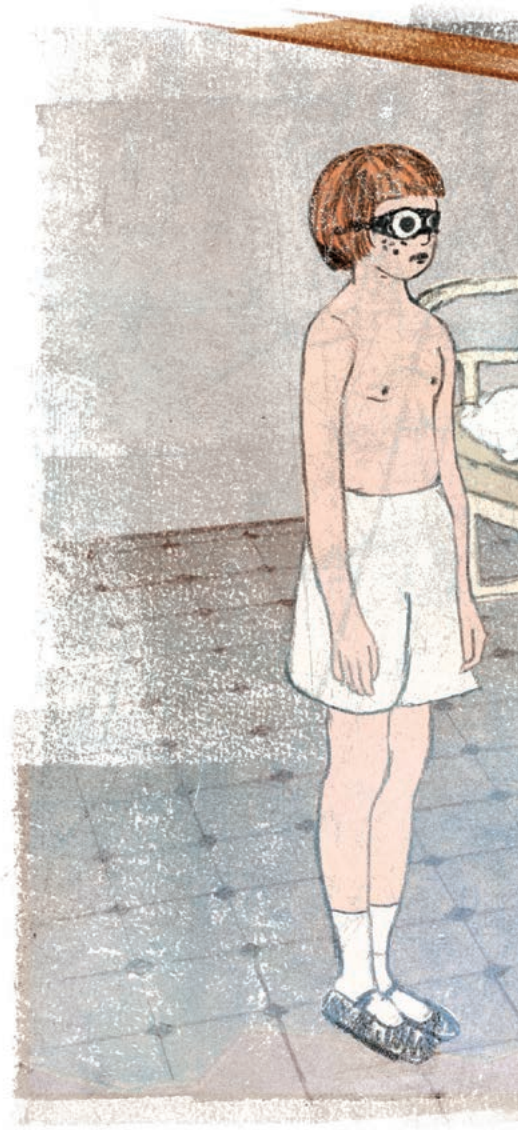

Krzysztof z Bielska, po czterdziestce: – Od pierwszej do trzeciej klasy się nie odzywałem. Po prostu, siedziałem w ławce i nic nie mówiłem.

Katarzyna, o dwa lata starsza siostra Krzysztofa: – Nawet gdy pani sprawdzała obecność, Krzyś nie był w stanie powiedzieć: „Jestem".

Krzysztof: – Po alkoholu stawałem się rozmowny. Np. gdy byłem w Londynie, potrafiłem odzywać się nawet po angielsku. Do dzisiaj gdy zabieram głos, serce zaczyna bić jak dzwon.

Katarzyna: – Boję się medyków i medycyny. Jak mam iść do lekarza, jestem cała chora. W ogóle boję się ludzi dorosłych. Kiedy się z nimi konfrontuję, czuję się, jakbym nadal była małym dzieckiem. Takim, któremu odebrano głos.

Książka

Kwiecień 2024 r., nakładem wydawnictwa Czarne ukazuje się „Miasto Dzieci Świata" Beaty Chomątowskiej. Choć opisuje losy miejscowości od połowy XIX w., a tylko kilka rozdziałów odnosi się do PRL-owskich sanatoriów, już same hasła „Rabka" i „miasto dzieci" wystarczają, by skupić uwagę byłych kuracjuszy. Część z nich kontaktuje się z autorką, część opisuje swoje przeżycia publicznie, w dyskusjach internetowych.

Od wydania książki minęły dwa lata, ale wciąż odzywają się kolejni. Piszą: „dotąd nikomu o tym nie mówiłem", „siedzi to we mnie do dziś". Autorka dostała kilkadziesiąt takich wiadomości, komentarzy w sieci są setki. Trafiają się dobre wspomnienia, ale jest ich mniejszość. Książka i komentarze budzą też gwałtowne reakcje w Rabce-Zdroju. Pojawiają się sugestie, że powstała w celu zdyskredytowania miasta, a dawni pacjenci „przesadzają".

Skala tej reakcji jest na tyle duża, że zdecydowaliśmy się wrócić do tematu. Na potrzeby tekstu spotkaliśmy się z ośmiorgiem osób. Większość przebywała w sanatorium dziecięcym im. Wincentego Pstrowskiego (później Śląskim Centrum Rehabilitacyjno-Uzdrowiskowym im. Adama Szebesty), tekst skupia się więc na tym ośrodku. Choć złe wspomnienia dotyczą również kilku innych.

Dom

19 grudnia 1949 r., dzień wcześniej były urodziny Stalina. „Sanatorium to społeczeństwo śląskie oddaje dzieciom w pierwszą rocznicę zjednoczenia partyj robotniczych" – można przeczytać w zaproszeniu na uroczyste otwarcie obiektu.

Sfinansowany ze składek mieszkańców Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego „Pałac Zdrowia", w którym do połowy lat 60. będą się leczyć głównie mali gruźlicy, a później astmatycy, docelowo pomieści kilkaset łóżek dla dzieci od 2. do 14. roku życia. Gmach olśniewa nowoczesnością: marmurowe schody, poręcze na różnych wysokościach dostosowanych do wieku dzieci, wielkie akwarium pełne rybek, podłogi wyłożone linolitem.

Ale wspomnienia odbiegają od idyllicznych obrazków. Pierwsza zapamiętana scena to zwykle wymiana odzieży, jakiej w „Pstrowskim" poddaje się każde dziecko. – Ubranka były w różnym stanie: zepsute, przetarte – zapamiętał z lat 80. Michał Bagiński z Krakowa. – Jak ruszyłeś ręką, pękało w szwach. Trzeba było to ukrywać, bo wybuchała awantura: „Wszystko przez ciebie, matka będzie płacić!". A u mnie w domu się nie przelewało, więc się tym przejmowałem.

Joanna, pacjentka „Pstrowskiego" z lat 70., do dziś pamięta nieświeży zapach znoszonych ubrań. Maja (pobyt w 1988 r.) wspomina, że świeże przysługiwały tylko przez pierwszy tydzień, gdy pozowały do zdjęć. Później były już przypadkowe, zwykle za duże lub za małe.

Roman ze Śląska (imię zmienione), który w latach 1967-75 był kilkukrotnie w „Pstrow-

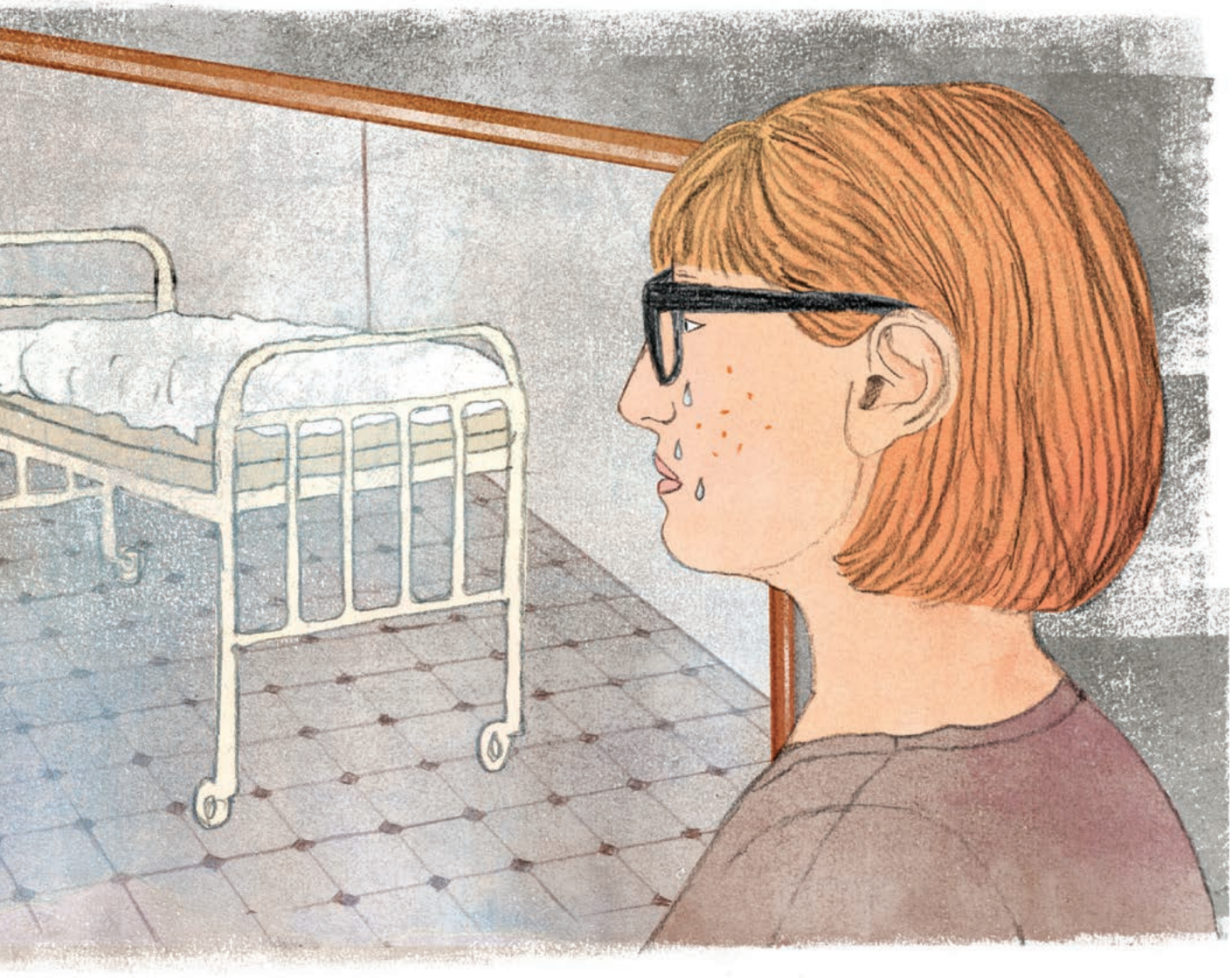

skim", wspominając pierwsze chwile w uzdrowisku, spazmatycznie się rozpłacze. Gdy opanuje emocje, podzieli się wspomnieniem wkroczenia w zupełnie inny świat: – Miałem gen małego śląskiego twardziela. Zdarte kolana i łokcie przechodziły bez płaczu. Ale tu było inaczej: wysiadam z autokaru i nic nie jest jak zawsze. Masz kilka lat, a nikt cię nie odprowadza, nikt do ciebie nic nie mówi, nikt cię nie przytula. Ta atmosfera całkowitego opuszczenia obowiązywała przez cały pobyt.

Krzysztof z Bielska: – Miałem trzy latka, nikt mi nie powiedział, po co tam jestem. Ja po prostu byłem przekonany, że to jakiś dom dziecka, i że zostałem porzucony. Zwłaszcza że ordynatorka poradziła mamie i tacie, by w czasie odwiedzin mi się nie pokazywali, „bo tak będzie lepiej".

Pamięć

Czy dorośli, którzy często na samą nazwę „Rabka-Zdrój" reagują nerwowo, mogą pamiętać wiernie przeżycia sprzed 20, 30, 40 lat? Niektóre osoby broniące „dobrego imienia Rabki" stawiają im zarzut kolorowania, czy wręcz konfabulacji.

Jak mówi psycholożka Sabina Sadecka, specjalizująca się w terapii traumy, u dziecka pamięć deklaratywna zaczyna pojawiać się około 2.-3. roku życia. – Oprócz niej istnieje jednak pamięć somatyczna, której zapisy tworzą się już w życiu płodowym – mówi Sadecka. – W praktyce terapeutycznej spotkałam osoby, które w bardzo młodym wieku były w sanatoriach i szpitalach. Ich ciało i psychika sygnalizowały, że wydarzyło się tam coś bardzo niedobrego, choć konkretnych zdarzeń nie pamiętały.

Psychoterapeutka zaznacza, że mamy tendencję do mocniejszego kodowania złych wspomnień, identyfikowanych jako zagrażające. – Inną cechą jest modyfikacja wspomnień, gdy coś wyjmujemy z naszego „magazynu pamięci". Stąd szczegóły mogą się nie zgadzać, ale strukturę zdarzenia zapamiętujemy dobrze.

Sypialnia

To pierwsze pomieszczenie, z jakim musieli się oswajać. Sypialń w „Pstrowskim" było 36, po tuzin na piętrze, z ośmioma łóżkami w każdej. Ta część sanatorium tworzyła swoisty panoptykon – sypialnie były przedzielone szklanymi ścianami, by pielęgniarki i wychowawczynie mogły z dyżurek kontrolować dzieci.

Michał Bagiński: – W nocy było szabrowanie szafek, np. mnie starsi chłopcy ukradli wspaniałą resorówkę. Zrobiłem wycieczkę po cudzych szafkach, znalazłem. Ale wtedy przyszli ci starsi, bym oddał, bo jest ich. Przemocy fizycznej od wychowawców nie doświadczyłem, ale od dzieciaków już tak. To ktoś szarpnął, to popchnął, to postraszył – wspomina.

Ale po chwili dodaje przykład zachowania, które da się zaliczyć jako przemoc ↦

↦ także ze strony wychowawców: – Chodzi mi o tzw. samoloty w łóżkach – opowiada. – Przychodziła salowa, mówiła, że łóżko niepościelone. I wszystko rozwalała.

Sanatoryjny dryl sprawił, że u wielu byłych pacjentów pojawiają się skojarzenia z więzieniem, poprawczakiem lub nawet z obozem koncentracyjnym.

Tabu medycznej traumy

Złe rabczańskie wspomnienia dają się podzielić na trzy kategorie. Pierwsze to przeżycia ogólnosystemowe, charakterystyczne dla tego typu placówek w całej Polsce, a nawet w całym bloku wschodnim: rutynowe procedury, standaryzacja wyglądu i wyposażenia, skoszarowanie, masowość.

Ale nie wszystko można zrzucić na system. Na przykład o kłopotach z pozyskiwaniem wykwalifikowanej kadry można przeczytać w raportach kontrolnych, kierowanych do władz uzdrowiska już z końcem lat 40. XX w.

Sabina Sadecka nie ma wątpliwości, że w przypadku byłych pacjentów sanatoriów określenie „trauma" jest uzasadnione. – Podczas szkoleń, a także w gabinetach często pojawia się wątek traumy medycznej, związanej z zagrożeniem zdrowia, polegającej na przetrzymywaniu w placówkach leczniczych dłużej, niż psychika może to unieść, często wbrew woli pacjenta. Wiąże się z nią ważny czynnik obciążający – poczucie osamotnienia. Pacjenci po pobytach w sanatoriach reagują atakami paniki np. na widok igieł, ale też miewają urazy związane z konkretnymi zapachami, potrawami czy nawet specyficznym rodzajem oświetlenia.

Zdaniem Sadeckiej, trauma medyczna wciąż stanowi u nas tabu. – Wiąże się z nią nie tylko lęk czy złość, ale przede wszystkim silna emocja wstrętu, którą pacjenci kierują przeciwko sobie, zwłaszcza własnemu ciału. To dlatego, że trauma sanatoryjna mocno rujnuje granice, zewnętrzne i wewnętrzne.

Umywalnia

Zlokalizowane na każdej kondygnacji, naprzeciw sypialni, z kranami na różnej wysokości, by dzieci mogły same je odkręcać, i natryskami wyposażonymi w automatyczne mieszadła gorącej i zimnej wody.

To zdanie, tu akurat padające z ust pana Krzysztofa z Bielska, usłyszymy nieraz: – Zbiorowe kąpiele, jak w obozie. Wszystkie dzieci gołe, jedna pani myje gąbką, druga spłukuje wężem.

– Będąc w Rabce, miałam osiem lat, więc zaczynałam się już wstydzić – wspomina pani Katarzyna. – A wszyscy naokoło byli nago, włącznie z nastolatkami! Była tam dziewczyna i chłopak z niepełnosprawnościami, oboje dojrzali płciowo. Czułyśmy się upokorzone i odarte z intymności. Myli nas taśmowo, jakby ktoś spłukiwał maszyny w fabryce.

– Nie zapomnę, jak jedna z wychowawczyń publicznie ośmieszyła dziecko, które nie miało już czystej bielizny, mimo że jego własna zalegała w magazynie – wspomina Magdalena Grzywacz-Szymoniak, 42-latka, która jako dziecko była na początku lat 90. w innym niż „Pstrowski" rabczańskim sanatorium. – Podchodząc do mojej koleżanki, powiedziała: „Fuj, ale masz brudne majtki! Pewnie pupę też!". Chciała ośmieszyć tę dziewczynkę, na szczęście nikt się nie śmiał.

Wspólne kąpiele w obecności obcych dorosłych bez podziału na płeć, często w niezmienionej wodzie (najmłodsi bali się, że się utopią w zbyt głębokich wannach); konieczność załatwiania się przy otwartych drzwiach; pobieranie przez pielęgniarki wymazów z odbytu w obecności innych podopiecznych i zmiany bielizny raz na tydzień – takie praktyki pamięta wielu innych byłych pacjentów.

Wyparta przemoc

To motyw częsty: nasi bohaterowie wpierw zastrzegają, że nie pamiętają przejawów agresji czy przemocy, by później przytoczyć sceny, które pod przemoc podpadają. Tak jakby pierwszej kwalifikacji owych scen dokonywali jako dzieci tamtej epoki – gdy przejawy pastwienia się uchodziły za normalne.

Roman ze Śląska zapamiętał salową: – Mogła być po trzydziestce, i do dziś jest dla mnie wzorcem kogoś złego. Kazała dzieciom podczas zbiórki występować przed szereg. Mówiła dziecku, że jest „posraną świnią", że jest „niewiele warte", „mama i tata się do ciebie nie przyznają". Stałem w tym dwuszeregu bliski posikania się. Sparaliżowany strachem.

Magdalena pamięta opiekunkę, która w nocy nie pozwalała iść się wysikać. Podobne sceny, tyle że z jeszcze innego rabczańskiego sanatorium, zapamiętał Tomasz Zawadzki, 60-latek z Wieliczki, który wspomina, że zdarzyło mu się przez to nieraz zsikać do łóżka, co wywoływało śmiech dzieci. Wieliczanin opowiada również o nocnych ucieczkach pod kołdrę starszego brata, czasami zakończonych brutalną komendą salowej: „Tam jest twoje łóżko!".

Zawadzki dorzuca też opowieść o sanitariuszu, „sadyście absolutnym". – Obcinał paznokcie, kalecząc dzieci. A obcinał wszystkim. Na początku uważał, później ciął, jak popadło. Gdy były jego imieniny, dzieci śpiewały mu „Sto lat".

Krzysztof zapamiętał jak przez mgłę scenę. – Ja płaczę, a jedna z pań ciągnie mnie po korytarzu za nogę, strasząc zastrzykiem – mówi, zastrzegając, że nie jest pewien, czy tej sceny nie dopowiada mu po latach wyobraźnia.

Chyba jednak nie, skoro takie samo zdarzenie opisuje jego siostra: – Urywek, jak kadr z filmu. Idę korytarzem, a pielęgniarka ciągnie mojego zapłakanego brata. Nie podeszłam, bałam się.

Z kolei Michał Bagiński opisuje przechwytywanie korespondencji do rodziców, a nawet ingerencję w ich treść: – Kartki pisałem co trzy, cztery dni. Przynosiłem do pielęgniarek pieniądze, one miały kupować znaczki i wysyłać. Tylko że z kilkunastu korespondencji dotarły dwie, z czego jedna zawierała... dopiski. Tam, gdzie skarżyłem się na warunki, ktoś dodał: „To nieprawda, wszystko jest w porządku".

Zapamiętany przez naszych rozmówców katalog narzędzi przemocy jest szeroki. Ośmieszanie chłopców przez wiązanie im kokardek we włosach („do dziś mam flashbacki; wtedy 5 lat, rok 84" – pisze użytkownik z forum e-dziecko). Wyzywanie i bicie, czym popadnie, w tym kluczami, przez pielęgniarki. Upokarzanie „niegrzecznych" – np. poprzez stanie pod ścianą ze ściągniętymi spodniami na oczach grupy. Klęczenie albo stanie za karę nawet przez pół nocy na bosaka w ciemnym, zimnym korytarzu. Polewanie zimną wodą ze szlaucha. Zamykanie w piwnicach, gdzie biegały szczury.

Do wielu osób tamte przeżycia wracają w postaci nocnych koszmarów. Pobyt w rabczańskich sanatoriach łączy pod tym względem kilka pokoleń Polaków.

Jadalnia

Ściany pokryte dermą, „w oświetlonych, okrągłych wnękach dekoracje wykonane przez krakowskich plastyków: lalki lu-

dowe i postacie z bajek" („Miasto Dzieci Świata").

I tyle, jeśli idzie o sam opis nowoczesności jadalni w „Pstrowskim". Bo znowu: we wspomnieniach byłych kuracjuszy ta sala stanie się jedną z głównych aren przemocy.

– Sam zostałem zmuszony do zjedzenia własnych wymiocin – zapamięta Roman ze Śląska. – Nie było zlituj: pierwsza łyżka weszła, druga też, ale trzecia już nie, więc to, co się wypluło albo zwymiotowało, było mieszane z zawartością talerza, i trzeba to było zjeść.

Magdalena zapamiętała szantaże. – Wychowawczyni groziła, że jak nie zjemy, to nas zostawi na drugi turnus, dodatkowe dwa miesiące! – wspomina kobieta. – A mój kończył się tuż przed Wielkanocą. Raz wszystkie dzieci wyszły ze stołówki, a ta kobieta stała nade mną godzinę, pastwiąc się. Krzyczała, zmuszała do jedzenia, groziła, że nie wrócę do domu na święta. Płakałam, dostałam spazmów, miałam gorączkę. Wtedy kazała mi iść do izolatki: „Jesteś chora na różyczkę".

Krzysztof i Katarzyna pamiętają stołówkę w „Pstrowskim".

Siostra: – Gdy zjadło się jabłko i pokazało ogryzek, dostawało się coś słodkiego. Mój brat nie lubił jabłek, więc jadłam jego owoc, żeby dostał wafelka.

Brat: – Stołówka to też miejsce, w którym nagle pojawiła się moja siostra. Jem obiad, a w drzwiach ona! Schowałem się pod stół, to była reakcja typu: „O kurde, ją też zostawili". Mimo trzech lat, zapamiętałem ten moment ni to współczucia, ni to wstydu, że to ja zostałem porzucony pierwszy.

Siostra: – To ordynatorka zaproponowała rodzicom, by przysłali dla Krzysia towarzystwo. Mimo że wcześniej ta sama kobieta powiedziała mamie i tacie, by go nie odwiedzali „dla jego dobra". Oczywiście chodziło o wygodę personelu. Łatwiej było dziecko złamać, żeby się stało apatyczne, niż mieć kłopoty. Ordynatorka powiedziała mamie: „Lepiej, żeby on zapomniał, że ma rodziców". To było jak wywoływanie celowo choroby sierocej. Odebranie człowieczeństwa.

Figura przywiązania

Sabina Sadecka: – Dziecko, by się zdrowo rozwijać, potrzebuje figury przywiązania. W sanatorium, gdzie nie ma rodziców, będzie szukać jej w otoczeniu. Gdy nie może



MAGDA WOLNA

KRZYSZTOF:

Miałem trzy latka, nikt mi nie powiedział, po co tam jestem. Byłem przekonany, że to jakiś dom dziecka, i że zostałem porzucony.

znaleźć namiastki więzi, zaczyna się przywiązywać nawet do osoby, która jest zagrażająca. Tak mały człowiek nie potrafi przyznać, że personel zachowuje się źle. Próbując nadać znaczenie temu, co go spotyka, tłumaczy sobie, że to z nim coś musi być nie tak. Co nakłada się na inne traumatyczne przeżycia – odosobnienia, skoszarowania, zabiegów medycznych.

Efektem, dodaje psycholożka, jest skumulowana trauma, która potrafi zrujnować życie na długo. – Zwłaszcza gdy ktoś miał też w domu złe doświadczenia – mówi Sadecka. – Ludzie, którzy jej doświadczyli, potrafią pozostawać latami w zamrożeniu, chronicznej dysocjacji, albo – dla odmiany – świetnie funkcjonować na zewnątrz: uporządkowani, ambitni, zaś w domowym zaciszu bezradni, pozbawieni kontaktu z własnym ciałem i potrzebami, szukający ulgi w nałogach. Dlatego tak ważną rolę w opowieściach byłych pacjentów pełnią pojedyncze osoby, które choć trochę przełamały ten schemat, okazały uwagę, empatię.

Izolatka

Miejsce dość przypadkowych, jak zapamiętali kuracjusze, „zsyłek". Kolejna przestrzeń przemocy – i rówieśniczej, i ze strony dorosłych.

Magdalena: – Pamiętam, jak leżałam tam z trzema chłopcami, jednym mniejszym i dwoma starszymi. Starsi masturbowali się na naszych oczach.

Katarzyna: – Po wyjściu z izolatki dostawaliśmy termometr. Codziennie rano sprawdzałam, czy mnie i bratu nie podskoczyła temperatura, bo bałam się, że ktoś z nas trafi tam znowu. Raz Krzysiowi skoczyło ponad czerwoną kreskę, więc zaczęłam panicznie ten termometr strzepywać. Rozbiłam go o metalową barierkę łóżka. Pielęgniarka się zdenerwowała, Krzyś miał ponowny pomiar gorączki, no i w końcu w tej izolatce wylądował.

Takie czasy

To zdanie nasi rozmówcy usłyszą od lat 60., 70. i 80. wielokrotnie. Od znajomych, rodziców, od komentariatu na forach. „Takie były czasy" – tę sentencję usłyszymy i my w czasie rozmów o Rabce. Czym to zdanie właściwie jest?

W poszukiwaniu odpowiedzi chcieliśmy porozmawiać z tzw. drugą stroną. Nawet jeśli większość ówczesnych dyrektorów, ordynatorów, wychowawców już nie żyje albo nie da się – na podstawie wspomnień często kilkuletnich dzieci – ustalić ich danych, liczyliśmy na komentarz ze strony władz miasta, prawnych spadkobierców „Pstrowskiego", czy też byłych przełożonych wychowawców.

Odmówił burmistrz Rabki-Zdrój. Odmówiły władze dawnego „Pstrowskiego". Na prośbę o spotkanie rzecznik prasowy instytucji napisał, że władze spółki odpowiedzą na pytania mailowo. Zapytaliśmy więc: czy spółka chce coś przekazać skrzywdzonym? Odpowiedź nie nadeszła.

Jedyną osobą, która chciała się z nami spotkać i porozmawiać, był Marek Szarawarski, były nauczyciel i dyrektor szkoły przy sanatorium „Pstrowskiego", a więc także przełożony wychowawców, którzy opiekowali się dziećmi na sanatoryjnych oddziałach. Pracował w szkole od pierwszej połowy lat 70., od połowy lat 80. był zastępcą dyrektora, a od 1992 r. do emerytury (dwie dekady później) szefował placówce.

Pytamy, czy dochodziły doń sygnały złego traktowania dzieci. – Zdarzały się jednostkowe przypadki. Np. wychowawca ↦

↦ uderzył wychowanka, bo nie było innego sposobu, aby obronić słabsze dziecko bite przez agresora – mówi Szarawarski. – Dzięki anonimowym ankietom wypełnianym przez uczniów-pacjentów otrzymaliśmy też zapis o mniej więcej takiej treści: „Od nauczyciela czuć było alkohol". Dyscyplinująca rozmowa rozwiązała sprawę, taki wypadek się nie powtórzył.

Szarawarski dodaje, że usłyszał również na początku lat 70. o próbach molestowania wychowanka. – Zgłosił to jeden z rodziców. Nauczyciel został zwolniony i już nigdy nie pracował z dziećmi – opowiada były dyrektor. A gdy pytamy o zgłoszenie do organów ścigania odpowiada, że ojciec ucznia uznał zwolnienie pedagoga z pracy za wystarczające (w tamtych czasach nie istniał nakaz zgłaszania takich czynów organom ścigania). – Chcę też powiedzieć o sukcesie wychowawczyni, która w długim, trudnym procesie przyczyniła się do uratowania dziewczynki-pacjentki i wyrwania jej z łap ojczyma pedofila – dodaje.

Szarawarski przyznaje, że w „Pstrowskim" pracowała niewystarczająca liczebnie, niewykwalifikowana kadra – ale zaraz dodaje, że chodzi mu o lata 50. i 60. – Wszystkie placówki leczące dzieci i młodzież w tamtym czasie miały problem braku odpowiedniej i odpowiedzialnej kadry pedagogicznej – mówi. – Myślę, że słynna lecznica w szwajcarskim Davos również. Za moich czasów mieliśmy już kadry nie tylko z tutejszego liceum pedagogicznego, ale też po studiach. W latach 80. w Rabce otwarto akademię dla pedagogów, a na początku XXI w. w szkole przy Śląskim Centrum studia podyplomowe z pedagogiki leczniczej – dodaje Szarawarski.

Ale pytanie, jak to możliwe, że podlegający mu wychowawcy akceptowali zmuszanie siłą do jedzenia, publiczne upokarzanie czy zakazy sikania, ucina: – Podlegający mi wychowawcy nie przebywali z dziećmi non-stop. Pracowali z grupami wychowawczymi pięć godzin dziennie.

Czy ma coś do powiedzenia ludziom, którzy czują się skrzywdzeni? – Wierzę, że takie mogą być ich odczucia – mówi. – To smutne, że tak długo przeżywają traumę. Nasze uzdrowisko od 100 lat przyjmuje pacjentów. W omawianym okresie przebywało tu około 200 tys. dzieci. Większości z nich leczenie dało lub poprawiło zdrowie, a może nawet uratowało życie. To dotyczy również tych, którzy czują się pokrzywdzeni. Krzywdę zgłosiło kilkadziesiąt osób.



MAGDA WOLNA

Do wielu osób **tamte przeżycia wracają wciąż w postaci nocnych koszmarów.** Pobyt w rabczańskich sanatoriach łączy pod tym względem kilka pokoleń Polaków.

Dzieci głosu nie mają

Czy na pewno? Gdyby zliczyć tych, którzy skontaktowali się z nami, opisali swoje doświadczenia na forach, można rzeczywiście mówić o kilkudziesięciorgu, może ponad setce. Ilu nie starczyło siły, by zgłosić cokolwiek? Nie widziało w tym sensu? Wyparło przeszłość? Setki? Tysiące? To wcale nie takie mało prawdopodobne.

A jak przemoc z „Pstrowskiego" i innych sanatoriów widzą w kontekście epoki sami bohaterowie tej opowieści? – To były czasy z maksymą: „Dzieci i ryby głosu nie mają". Jak mamę przytulałam, ona sztywniała – mówi pani Katarzyna.

Ale jej brat mówi wprost: zdanie „takie były czasy" służy dziś dorosłym do usprawiedliwiania braku reakcji sprzed lat. – Mama nadal to zdanie powtarza, nie weźmie odpowiedzialności – relacjonuje pan Krzysztof. – Opowiadałem tę historię psychologowi i powiedziałem, że nie mam pretensji do rodziców. Uświadomił mi, że rodzic jest po to, by chronić dziecko. By powiedzieć: „Nie, kurwa, to jest mój syn i ja go tu nie zostawię!".

Jakie pole manewru mieli rodzice chorych dzieci, którzy odbierali od nich alarmujące sygnały o przemocy? O miejsce w rabczańskich sanatoriach, zwłaszcza w „Pstrowskim", trzeba było zabiegać, czekać na przydział. Wielu wolało nie okazywać personelowi niewdzięczności. Można było ewentualnie wysłać dziecko do innego sanatorium.

Są i tacy, którzy wyjmują wydarzenia z Rabki z kontekstu epoki. – Jeździłem do różnych sanatoriów, i powiem tak: w Rymanowie niebo, w Rabce piekło – mówi Michał Bagiński. – Rabka to było sanatorium o podwyższonym rygorze. Nie wpuścili na oddział mojej mamy, choć jechała przez śniegi wiele kilometrów. Spóźnił się autobus, przekroczyła pory odwiedzin, i nawet nie pozwolono jej zostawić dla mnie paczuszki. „Nie będziemy stresować dziecka, proszę to zabierać" – usłyszała.

Dr Marcin Stasiak, historyk z UJ, autor książki „Polio w Polsce 1945-1989. Studium z historii niepełnosprawności", który rozmawiał z byłymi pacjentami kilku sanatoriów dla chorych na polio, zauważa, że choć w niektórych opowieściach pojawiały się wątki nieprzyjemnych przeżyć związanych z pobytem w tych placówkach, nie były postrzegane jako traumatyczne i miały raczej marginalny charakter.

Spotkanie

Sabina Sadecka pytana, jak byli pacjenci mogą, oprócz wsłuchiwania się w sygnały płynące z ciała i reagowania na nie, poradzić sobie z krzywdą, mówi: – W traumie spowodowanej przez ludzi do zdrowienia dochodzi też przez spotkanie z człowiekiem. Nie zawsze musi to być psychoterapia, pomaga otwarcie się na bezpośrednią więź. W przypadku traumy kolektywnej, do jakiej zalicza się ta sanatoryjna, szczególnie ważna jest rola wspólnoty. Możliwość wypowiedzenia swoich doświadczeń, podzielenia się nimi z innymi, którzy przeszli przez to samo. Najlepiej w bezpośrednim spotkaniu.

©℗ BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PS. Rozszerzona wersja tekstu na **tyg-pow.pl/rabka**

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny” zawsze pod ręką

Czytaj wygodnie – w papierze i online. Wybierz prenumeratę łączoną „Tygodnika Powszechnego” i korzystaj jednocześnie z wydania drukowanego oraz pełnego dostępu online.
To najwygodniejszy sposób, by mieć stały dostęp do rzetelnego dziennikarstwa, pogłębionych analiz i najlepszej publicystyki – zarówno w domowym fotelu z papierowym wydaniem, jak i w podróży czy pracy dzięki wersji cyfrowej.



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Papierowe wydanie z wygodną dostawą
- Pełny dostęp do serwisu online i archiwum
- Dostęp do wydań specjalnych o wartości **120 zł**
- Elegancka torba „Tygodnika Powszechnego” w prezencie

OFERTA CENOWA PRODUKTU ŁĄCZONEGO:

InPost	~~cena 1359 zł~~ **cena promocyjna 983 zł**	
Poczta	~~cena 1093 zł~~ **cena promocyjna 995 zł**	

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOŁYŃ ’43, HISTORIA I POLITYKA

Honorując UPA, Wołodymyr Zełenski paradoksalnie zaczął grać w jednej drużynie z Karolem Nawrockim. Obydwaj politycznie zyskują, wychodząc w oczach własnej opinii publicznej na nieustępliwych obrońców narodowej pamięci.

GRZEGORZ MOTYKA



A WYDAWAŁO SIĘ, ŻE MOŻE BYĆ JUŻ TYLko lepiej. Zespół Pawła Kowala doprowadził do zniesienia zakazu ekshumacji i w końcu zaczęły się regularne poszukiwania szczątków ofiar zbrodni wołyńskiej. W Baranowie Sandomierskim – po latach braku dialogu – spotkali się polscy i ukraińscy historycy. Obrady, obejmujące tysiąc lat wspólnych dziejów, pokazały, że istotny spór dotyczy niemal wyłącznie okresu II wojny światowej.

Nieoczekiwanie, przynajmniej część tych wysiłków zniweczył prezydent Wołodymyr Zełenski, nadając elitarnej jednostce wojskowej tytuł „Bohaterów UPA”.

Na decyzję prezydenta Ukrainy polska opinia publiczna zareagowała gwałtownym oburzeniem. I jest to emocja zrozumiała: UPA dopuściła się w latach 1943-1945 masowych zbrodni na ludności polskiej. Na Ukrainie, co prawda, pamięta się o niej z powodu walki z Sowietami, toczonej od 1944 do 1954 r., ale nie tłumaczy to, dlaczego Zełenski, znając polską wrażliwość, akurat teraz musiał wydać swój dekret. No chyba, że chciał osiągnąć taki efekt...

„Herojam sława”: dlaczego Ukraińcy pamiętają o UPA

Proces upamiętniania Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii rozpoczął się na Ukrainie zaraz po ogłoszeniu niepodległości. Na temat walki jej członków z Sowietami powstawały nie tylko popularne książki, ale również filmy i rockowe piosenki (wpadająca w ucho muzyka z płyty „Nasi partyzanci” jest tego najlepszym przykładem).

Romantyczna opowieść o ludziach, którzy dla niepodległości ojczyzny poświęcili całe swoje życie, z każdym rokiem stawała się coraz bardziej nośna społecznie, rezonując szczególnie mocno w czasie kolejnych przesileń – Pomarańczowej Rewolucji i Euromajdanu. Jeszcze w czasie rządów prezydenta Kuczmy przyjęto ustawę, która nadawała członkom OUN i UPA uprawnienia kombatanckie, pod warunkiem wszakże, że nie ciążyły na nich wyroki za popełnienie zbrodni wojennych.



PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pogrzeb odnalezionych szczątków ofiar antypolskiej akcji UPA. Dawna wieś Puźniki na historycznym Podolu (obwód tarnopolski), 6 września 2025 r.

Zasadnicza zmiana zaszła jednak w 2015 r., kiedy Rada Najwyższa przyjęła pakiet ustaw uznających OUN i UPA za formacje niepodległościowe, nakładając jednocześnie na państwo ukraińskie obowiązek pielęgnowania pamięci o ich historii. I taką właśnie politykę historyczną Ukraina konsekwentnie prowadzi, czego widocznym znakiem jest popularność wywodzącego się z tradycji OUN zawołania „Herojam sława" i czerwono-czarnych flag, często obecnych na uroczystościach obok narodowych niebiesko-żółtych sztandarów.

Patrząc z tego punktu widzenia, dekret Zełenskiego można odbierać jako kolejny, bez mała naturalny krok. Ale nawet jeśli zrobiono go bezwiednie, nie usprawiedliwia to strony ukraińskiej.

Zmarnowana okazja: jak utknął dialog polsko-ukraiński

Przedłużający się spór o ekshumację wyczerpał cierpliwość społeczną w Polsce. Obowiązujący w latach 2017-2024 zakaz, w sytuacji, gdy równolegle trwają bez przeszkód ekshumacje żołnierzy Wehrmachtu i Waffen SS, z każdym rokiem wydawał się nie tylko coraz mniej zrozumiały, ale też rażąco krzywdzący i zwyczajnie niehumanitarny.

To dlatego z takim oburzeniem zareagowano na relatywizującą zbrodnię wołyńską wypowiedź poprzedniego ukraińskiego ministra spraw zagranicznych Dmytra Kułeby, wygłoszoną w Olsztynie w sierpniu 2024 r. By uspokoić emocje, rządzący zareagowali ↦

↦ wtedy racjonalnie – ministerstwa kultury obu państw powołały wspólny zespół (z polskiej strony na jego czele stanął wspomniany Paweł Kowal), który doprowadził niebawem do wznowienia procesu poszukiwań.

Równolegle reaktywowano dialog na szczeblu naukowców i ekspertów, czego efektem był wspomniany kongres. Jego obrady można było w całości obejrzeć online. Także po to, by radykałowie z obu stron nie mogli postawić organizatorom i uczestnikom zarzutu „układania się pod stołem". Te wysiłki odbudowywały wzajemne zaufanie, pokazywały też chęć rozwiązania spornych spraw historycznych na drodze dialogu.

Korupcja i plotki: w co gra Zełenski

Decyzja Zełenskiego idzie w poprzek tych starań, przynosząc realne szkody polsko-ukraińskiej współpracy. Najgorsze w niej jest całkowite lekceważenie nie tylko polskiej wrażliwości, ale też pomocy udzielanej przez Polskę Ukrainie. „Mam prawo tak postąpić, więc tak robię, i co mi zrobicie?" – zdawał się mówić swoim gestem Zełenski.

Wiele wskazuje na to, że była to zamierzona ostentacja. Na otoczeniu prezydenta ciążą poważne zarzuty korupcyjne i w całym politycznym Kijowie huczy od plotek, kto następny stanie się przedmiotem oskarżeń ze strony prokuratury i czy nie będzie to sam prezydent. Awantura z Polską może nie unieważnia samych zarzutów, ale już na pewno pomniejsza ich znaczenie i odwraca od nich uwagę.

Niemal cała ukraińska opinia publiczna stanęła bowiem murem za swoim prezydentem „atakowanym przez Polskę". W internecie aż roi się od wypowiedzi, w których publicyści protestują przeciwko naruszaniu „godności narodowej" i próbie odebrania Ukraińcom prawa do wyboru bohaterów. Każdy, kto teraz zaatakowałby na Ukrainie Zełenskiego, naraziłby się na zarzut lekceważenia narodowych interesów.

Na chłodno: jak Kijów upokorzył Warszawę

Przewidzenie polskiej reakcji nie było trudne. Każdy obserwator naszej sceny politycznej zdaje sobie sprawę, że trwa zacięta walka polityczna między PiS a Konfederacją, także o pozyskanie ukrainosceptycznego elektoratu. Było więc oczywiste, że taka decyzja Zełenskiego zostanie „na wyścigi" oprotestowana przez aktualną opozycję parlamentarną.

Polityka gloryfikacji OUN i UPA zakłada pomniejszanie lub relatywizowanie zbrodni na ludności polskiej. **Głosy krytyczne są na Ukrainie spychane na bok.**

Na ewentualne protesty rządu machnięto zwyczajnie ręką. Wszak ustawy uznające UPA w 2015 r. za organizację niepodległościową przyjęto raptem godzinę po przemówieniu w ukraińskim parlamencie Bronisława Komorowskiego. Upokorzony polski przywódca nie wykrztusił wówczas z siebie chyba nawet słowa protestu, ostatecznie przekreślając w ten sposób szansę na reelekcję w kampanii prezydenckiej. Co więc dziś może zrobić polski rząd? W najgorszym wypadku, kalkulowano zapewne, przedstawiciele ukraińskiego MSZ „wytłumaczą" Polakom, że to nieporozumienie, do którego doszło przez przypadek.

Deklaracji prezydenta Karola Nawrockiego o zwróceniu się do Kapituły Orderu Orła Białego o odebranie odznaczenia Zełenskiemu zapewne się nie spodziewano, lecz jego krytycznej reakcji na pewno już tak. Nawrocki nie przypadkiem w czasie kampanii wyborczej cytował nieustannie Romana Dmowskiego, który wręcz negował istnienie narodu ukraińskiego. Dekret Zełenskiego musiał poruszyć go osobiście, ale, co ważniejsze, natychmiast dostrzegł w nim szansę do przejęcia kontroli nad rozlewającym się po Polsce oburzeniem społecznym. W ten sposób wsparł zarówno PiS, jak i Konfederację, stając się dla obu tych środowisk w tej sprawie naturalnym liderem.

Dziedzictwo Dudy: w kwestii Orła Białego nic się nie zmieniło

Oczywiście, żądanie odebrania Orderu Orła Białego jest reakcją nadmiarową, niedającą Polsce żadnych międzynarodowych korzyści. W dodatku, prawdopodobne przychylenie się Kapituły Orderu do wniosku prezydenta (piszę te słowa przed jej zebraniem) trąci hipokryzją.

Nie chodzi tu bynajmniej o reakcję samego prezydenta, lecz o wspierających go gorąco w tej sprawie polityków PiS. Bo propozycja Nawrockiego jest przecież tyleż uderzeniem w Zełenskiego, co w dorobek na ukraińskim polu rządów prezydenta Andrzeja Dudy i całego PiS.

Powody, dla których przyznano prezydentowi Ukrainy OOB, nie ustały – wykazał się ogromną osobistą odwagą, pozostając w 2022 r. w zagrożonym Kijowie, dzięki czemu uratował niepodległość swojego kraju. Pohukiwania polityków polskiej prawicy, że dziś „okoliczności się zmieniły", są dezinformacją. Kiedy Zełenski odbierał najwyższe polskie odznaczenie, wciąż obowiązywał zakaz ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskiej. Duda i oklaskujący wtedy Zełenskiego politycy PiS doskonale o tym wiedzieli! I totalnie sprawę lekceważyli, prowadząc swoistą grę z własnym elektoratem. Werbalnie wzywali Ukrainę do zniesienia zakazu, jednocześnie nie podejmując w tej sprawie poważniejszych rozmów.

Andrzej Duda jest jedynym polskim prezydentem – licząc od Lecha Wałęsy do Nawrockiego włącznie – za dwóch kadencji którego nie odbyły się żadne pochówki ofiar UPA. O „skuteczności" rządów PiS może najlepiej świadczy fakt, że w tym czasie nie udało się władzom nawet doprowadzić do publicznego pokazu na Ukrainie filmu „Wołyń" Wojtka Smarzowskiego – obraz ten oprotestowano na Ukrainie, bo zbyt mocno wzmacnia polską wizję Wołynia '43.

Zbrodnie UPA: tego się nie da zanegować

Jak wynika z naukowych badań, UPA prowadziła antypolskie czystki na odgórny rozkaz w sposób zorganizowany i planowo brutalny od 9 lutego 1943 r. do 18 maja 1945 r. (licząc od pierwszej wsi Parośla, wymordowanej przez sotnię „Dowbeszky-Korobky" na Wołyniu, do ostatniej Borodyca, zaatakowanej przez oddział „Wilki" na Lubelszczyźnie). Potwierdza to cała masa dokumentów i indywidualnych świadectw.

W 26. tomie „Litopysu UPA", serii wydawanej przez kombatantów tej formacji w Kanadzie, opublikowano wypowiedź

naczelnego komendanta UPA Romana Szuchewycza „Tarasa Czuprynki" z lipca 1944 r. Szuchewycz otwarcie w niej przyznał, że w Galicji Wschodniej w kwietniu 1944 r. „dowództwo UPA wydało rozkaz wysiedlenia Polaków, jeśli sami się nie przesiedlą" i „ataki są kontynuowane" (s. 490). Na innych stronach tej pracy znajdziemy informację, że rozkaz ten objął 955 821 mieszkających w Galicji Polaków, a „opór polskiej samoobrony zmalał do tego stopnia, że ukraińskie działania wywołują wrażenie niemieckich akcji przeciwko Żydom" (ss. 493 i 376).

Przytoczone wyżej dokumenty, opublikowane przez byłych członków UPA, potwierdzają zorganizowany charakter działań ukraińskiej partyzantki i osobistą odpowiedzialność „Tarasa Czuprynki" za antypolskie czystki. Pomimo to bez trudu znajdziemy wypowiedzi – również przedstawicieli państwa ukraińskiego – negujące te zdawałoby się oczywiste fakty.

Spory o Wołyń: polityka przed historią

To nie przypadek. Polityka gloryfikacji OUN i UPA zakłada bowiem przemilczanie, pomniejszanie lub wręcz relatywizowanie zbrodni popełnionych na ludności polskiej. Wszelkie głosy krytyczne są spychane na bok lub wręcz zakrzykiwane.

Owszem, niby się przyznaje, że na Wołyniu doszło do czegoś złego, jakieś zbrodnie popełniono, ale jednak zaraz się dodaje, że odpowiadają za nie co najwyżej pojedyncze oddziały i niektórzy partyzanci (a nie cała formacja), ewentualnie okoliczni chłopi, których czyny nie podlegają etycznej ocenie, bo były zemstą za wielowiekowy ucisk. A zresztą Armia Krajowa też dopuszczała się zbrodni, zatem możemy mówić jedynie o wzajemnym mordowaniu.

Te wszystkie wyjaśnienia są z historycznego punktu widzenia po prostu nieprawdą. Ale też w toczącej się awanturze mniej chodzi o historię, a bardziej o najzwyklejszą politykę, niech będzie, że historyczną.

Honorując UPA, Zełenski paradoksalnie zaczął grać w jednej drużynie... z Nawrockim. Obaj bowiem na powstałej awanturze politycznie zyskują, wychodząc w oczach własnej opinii publicznej na nieustępliwych obrońców narodowej pamięci. ↦

Zełenski celowo wywołał furię Polaków

WOJCIECH KONOŃCZUK

Decyzja prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, aby nadać imię „Bohaterów UPA" jednemu z oddziałów Sił Zbrojnych Ukrainy, nie wynika z braku wyobraźni politycznej. Jest to działanie świadome i wyrachowane.

Głowa państwa ukraińskiego i jego otoczenie nie mogli nie zdawać sobie sprawy z konsekwencji takiego kroku dla relacji z Polską. Szczególnie że niejednokrotnie byli przed tym przestrzegani przez stronę polską, zaś w administracji prezydenckiej i rządowej w Kijowie nie brakuje osób, które doskonale znają nasz kraj – jak choć Andrij Sybiha, szef tamtejszej dyplomacji.

Mimo tego Zełenski, który znajduje się dziś w trudnej sytuacji wewnętrznej i potrzebuje jakoś „przykryć" skandale korupcyjne w swoim najbliższym otoczeniu, uznał, że jest gotów zapłacić cenę za pogorszenie stosunków z Polską.

Jest to bowiem dla niego kwestia drugorzędna wobec korzyści, jakie przynosi mu – oczekiwana – wielka mobilizacja społeczeństwa ukraińskiego „wokół flagi" w sytuacji, gdy jego decyzja spotkała się w Polsce z falą autentycznego gniewu. Te korzyści już widać. Rzut oka na ton ukraińskich dyskusji w mediach i sieciach społecznościowych nie pozostawia wątpliwości – Ukraińcy walnie stanęli po stronie swojego Zełenskiego. Zaś możliwość odebrania mu Orderu Orła Białego potraktowali osobiście.

Nie po raz pierwszy ukraińscy politycy nie biorą pod uwagę polskiej wrażliwości, czy też demonstracyjnie ją lekceważą. Coraz bardziej widoczne jest, że nauczyli się instrumentalizować kwestię relacji z Polską do swoich celów wewnątrzpolitycznych. Ceną za to jest ochłodzenie relacji polsko-ukraińskich – na niecały miesiąc przed wielką międzynarodową konferencją w Gdańsku o odbudowie Ukrainy, którą premier Donald Tusk ma otworzyć wspólnie z Zełenskim.

Konsekwencją oportunistycznej polityki Zełenskiego jest również dalsze rozczarowanie społeczeństwa polskiego Ukrainą, a w efekcie dalszy spadek doń sympatii społeczeństwa polskiego.

To wszystko ma miejsce w czasie egzystencjalnej wojny z Rosją i jest ostatnią rzeczą, której potrzebuje zarówno Kijów, jak i Warszawa. Nie ma wątpliwości, że Kreml zaciera ręce z radości. W sytuacji ogromnych emocji społecznych, jakie po ponad 80 latach wciąż budzi zbrodnia wołyńska, zachowanie prezydenta Ukrainy – po raz nie wiadomo już który – przypomina słonia w składzie porcelany. Realistyczna analiza podpowiada, że oba nasze kraje skazane są na trwały konflikt pamięci. Nikt nie wie, jak rozbroić tę historyczną „minę", demolującą nasze relacje dwustronne. A czasami, jak widać dzisiaj, zwyczajnie nie chce. ©℗

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia

Tusk pod presją: pułapka na premiera

↦ Na naszych oczach rozpoczyna się w Polsce prekampania do wyborów parlamentarnych 2027 r., której częścią odtąd będzie, czy tego chcemy, czy nie, stosunek do Ukrainy i Zełenskiego. Radykalizując swój przekaz, prezydent już skonsolidował programowo w tym punkcie PiS i Konfederację, zyskując dobry argument na rzecz utworzenia pod swoim patronatem bloku senackiego. Jeśli odbierze Zełenskiemu Order Orła Białego, postawi w niewygodnej sytuacji premiera Donalda Tuska, bez którego kontrasygnaty dekret odbierający odznaczenie będzie nieważny.

Podpisanie przez Tuska dokumentu może wywołać perturbacje międzynarodowe, negatywnie odbijając się na relacjach z Ukrainą. Ale odmowa złożenia podpisu także jest obarczona ryzykiem. Skonsolidowany przez Nawrockiego obóz prawicy będzie bowiem nieustannie przedstawiał odmowę premiera jako co najmniej tolerancję dla antypolskich fałszerstw historycznych (a już padają o wiele mocniejsze zarzuty).

Nadając jednostce wojskowej tytuł „Bohaterów UPA", Zełenski zniweczył sporą część wysiłków na rzecz **porozumienia polsko-ukraińskiego.**

Prezydent Zełenski wykorzysta z kolei wstrzemięźliwość Tuska do kreowania po cichu narracji, że aktualny obóz rządowy faktycznie akceptuje jego poczynania. I będzie podejmował kolejne kontrowersyjne decyzje, np. o pochowaniu w Kijowie przywódców OUN Konowalca i Bandery, co w Polsce uwiarygodni i wzmocni narrację Nawrockiego. Głośno protestując, polski prezydent faktycznie będzie się cieszył z kłopotów rywala. Zdziwię się, jeśli nie poskutkuje to powolnym odchodzeniem od KO wyborców, którzy już odbierają poczynania prezydenta Ukrainy jako lekceważenie państwa polskiego.

■■■

Właściwą reakcją na skandaliczną decyzję Zełenskiego byłoby wypracowanie wspólnego stanowiska przez prezydenta i premiera, co jednak wydaje się niemożliwe. Tymczasem, jeśli faktycznie zależy nam na pamięci o polskiej historii, należałoby uroczyściej niż zwykle i demonstracyjnie ponadpolitycznie zorganizować 11 lipca obchody upamiętniające ofiary zbrodni wołyńskiej. Bo podpisując swój dekret, Zełenski dobitnie pokazał, że w tej kwestii Polska nie może liczyć na niczyją empatię. Jeżeli Polacy samodzielnie nie zadbają o pamięć o pomordowanych przez UPA rodakach, budując cmentarze i pomniki, czy dokładne opisując to, co się wydarzyło, to nikt za nich tego nie zrobi. Nie łudźmy się, jesteśmy w tej sprawie sami. © GRZEGORZ MOTYKA

Autor jest dyrektorem Wojskowego Biura Historycznego i pracownikiem naukowym Instytutu Studiów Politycznych PAN. Badacz i autor wielu książek poświęconych stosunkom polsko-ukraińskim, m.in. rzezi wołyńskiej i akcji „Wisła".

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
TYGODNIK POWSZECHNY
KONFERENCJA
Między pamięcią a współczesnością
ZIEMIE ZACHODNIE I PÓŁNOCNE
Jedno z najważniejszych doświadczeń współczesnej Polski — pamięć, dziedzictwo i przyszłość ziem, które po 1945 roku stały się nowym domem.
W PROGRAMIE
- Bilans zasiedlenia Ziem Zachodnich — między propagandą a narodowym sukcesem
- Ziemie Zachodnie i Północne po 1989 roku — laboratorium przemian społecznych i kulturowych
- Prezentacja archiwalnych i współczesnych fotografii Ziem Zachodnich i Północnych oraz rozmowa o pamięci miejsca, śladach przeszłości i relacji z dziedzictwem pozostawionym przez poprzednich mieszkańców
- Wystawa prac autorstwa prof. Agaty Pankiewicz i Marcina Przybyłki

15 czerwca 2026 · godz. 10.00–15.00
Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa
WSTĘP WOLNY · LICZBA MIEJSC OGRANICZONA

UZYSKAJ BEZPŁATNE ZAPROSZENIE
evenea.pl/ziemiezachodnieipolnocne
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



LOU BENOIST / AFP / EAST NEWS

Samochód podpalony przez kibiców świętujących zwycięstwo PSG w finale Ligi Mistrzów UEFA. Paryż, 30 maja 2026 r.

Karnawał przemocy

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA | Po ostatnich zamieszkach w Paryżu francuscy politycy ścigają się o tytuł szeryfa.

Piłkarski finał w ostatnią sobotę maja odbywał się w Budapeszcie, ale tłumy Paryżan śledziły retransmisję meczu na stadionie Parc des Princes. Tymczasem gwałtowne starcia młodzieży z policją wybuchły w centrum miasta jeszcze przed meczem. Bandy używały fajerwerków, mierząc do mundurowych i raniąc dwustu z nich. Policja odpowiadała gazem łzawiącym.

Do starć doszło w ok. 70 miastach całej Francji, policja zatrzymała prawie 900 podejrzanych. Niektórych osądzono w trybie natychmiastowym; zapadły wyroki więzienia w zawieszeniu. W wielu wypadkach podejrzani sfilmowali się sami, by pochwalić się w sieci, czym ułatwili działanie organom ścigania.

Prezydent Emmanuel Macron, gratulując klubowi Paris Saint-Germain zwycięstwa, potępił zarazem „niedopuszczalne sceny przemocy". „Mamy tego dość! Będziemy nieprzejednani wobec sprawców" – zapowiedział.

POZA NORMAMI | Nad Sekwaną przemoc uliczna – nie tylko futbolowa – przybrała nieznaną w innych krajach Europy skalę. Przypomnijmy, że rok temu, także z okazji zwycięstwa PSG w Lidze Mistrzów, doszło w stolicy do starć z policją. Podobnie w 2018 r. – gdy Francja zdobyła Puchar Świata. Grupy chuliganów i rabusiów, korzystając z anonimowości w bawiącym się spokojnie tłumie, atakowały policję, demolowały bary i sklepy.

Socjolog Fabien Jobard zauważa, że logika każdego karnawału zakłada „zawieszenie norm" – z tej perspektywy młodzieżowe bandy, często przybyłe z ubogich przedmieść, wyrażają radość przez demolowanie bogatych dzielnic i prowokowanie „zadym".

Nie musi to mieć związku z futbolem. Na ubogich blokowiskach palenie aut i burdy z policją są już od ćwierć wieku elementem „obchodów" święta narodowego 14 lipca i Nowego Roku. Na blokowiskach, dodajmy, zamieszkanych w dużej części przez Francuzów, których rodzice przybyli z krajów Maghrebu i Afryki Subsaharyjskiej.

KONTRAPUNKT | Starciom nie zapobiegły ogromne siły policyjne – tylko w Paryżu zmobilizowano 8 tys. mundurowych. To pierwszy wniosek z tych zajść. Druga rzecz: wśród sprawców były różne grupy. Obok młodych kibiców PSG z ubogich imigranckich blokowisk (w tym nieletnich) nie brakło zawodowych rabusiów, których mecz w ogóle nie interesował.

Po trzecie, nie należy generalizować. W niedzielę, dzień po zamieszkach, na Polach Marsowych 90 tys. Francuzów witało – radośnie i bez ekscesów – swą zwycięską drużynę. Tłum był różnorodny i wieloetniczny, jak dzisiejsze społeczeństwo Francji. Ten obraz-kontrapunkt z Pól Marsowych przeczy tezie, powtarzanej przez prawicę, jakoby w kraju trwała wojna domowa.

Cykliczne eksplozje ulicznej przemocy nie mają jednej przyczyny. Niemal wszyscy specjaliści są jednak zgodni, że u źródeł zjawiska leżą ciągłe napięcia między białą (zwykle) policją a młodymi Francuzami z (na ogół) rodzin imigranckich.

A co ma do tego futbol? Jako sport masowy budzi „ekstatyczną" ochotę utożsamiania się ze swoją drużyną i swoją grupą. Pisał o tym przed laty zmarły właśnie w wieku 104 lat wybitny socjolog i filozof Edgar Morin, nazywany „teoretykiem myśli złożonej". Doceniał on piękno futbolu, ale ostrzegał, że może on faworyzować „plemienne" i archaiczne zachowania, jak wznoszenie bitewnych okrzyków czy obrażanie kibiców przeciwnika.

ZA ROK WYBORY | Ze „złożoną" myślą Morina raczej nie po drodze jest francuskim politykom, zwłaszcza tym z radykalnej prawicy i radykalnej lewicy. Tym bardziej że szykują się do walki o prezydenturę Francji wiosną 2027 r. Będą to najważniejsze wybory od lat – dla Francji i pewnie też dla Europy.

Kandydatem radykalnej lewicy (Francja Nieujarzmiona, LFI) będzie po raz kolejny Jean-Luc Mélenchon i ocenia się, że ma szansę wejść do drugiej tury. Winą za ostatnie zajścia Francja Nieujarzmiona obciąża rząd i rzekomo prowokacyjne zachowania policji.

Skrajnie prawicowi kandydaci prześcigają się w obietnicach zrobienia porządku. Lider Zjednoczenia Narodowego (RN), Jordan Bardella, niekryjący ambicji prezydenckich, ostrzegł po zamieszkach, że „oni" (miał na myśli imigrantów lub młodych z przedmieść) „rozwalą drzwi i wejdą do waszych mieszkań, jeśli państwo nie zapanuje nad polityką karną i migracyjną". Éric Zemmour, inny kandydat (jeszcze bardziej na prawo od Bardelli), oświadczył z kolei, że winnymi zajść są „hordy arabsko-muzułmańskie przybyłe z przedmieść" i obiecał politykę ich „masowej reemigracji".

Kibice, ci prawdziwi, myślą teraz pewnie nie o wyborach, lecz czerwcowym mundialu w Ameryce. Czy będzie to w Paryżu święto piłki, czy kolejny pretekst do ulicznych zadym? ©

Niechciani w kraju dobrobytu

AGNIESZKA KAMIŃSKA

IMIGRACJA | Szwajcarzy stoją przed epokowym wyborem. Prawica chce ostro ograniczyć napływ imigrantów. Rząd ostrzega przed groźnym eksperymentem, który w niepewnych czasach zburzy mosty łączące Berno z Brukselą.

Na czarno-białych fotografiach sceny z życia. Grupa ludzi na walizkach. Kobiety w tymczasowo zaaranżowanej kuchni. Mężczyźni przy budowie torów tramwajowych. Oraz już po pracy, jak stłoczeni w barakach grają w karty.

Michaela z trudem powstrzymuje łzy. Wystawa „*Wir, Saisonniers...*" (w wolnym przekładzie: „My, pracownicy sezonowi..."), w galerii sztuki Photobastei w Zurychu, przywołała mgliste wspomnienia. – Chyba nie całkiem zdawałam sobie sprawę z tego, co przeżyli moi rodzice. Oraz ja. Te obrazy to także część naszej historii – mówi.

Mama Michaeli przyjeżdżała do pracy w Szwajcarii pod koniec lat 60. XX w. z Włoch. Na początku zabierała ją ze sobą. Pozwolenie na pobyt dostawało się wtedy tylko na dziewięć miesięcy, bez praw, bez możliwości sprowadzenia rodziny.

– Nazywali nas „dziećmi z szafy", bo musieliśmy się chować. Po pewnym czasie mama zaczęła zostawiać mnie u krewnej za włoską granicą. Nie miała warunków? Bała się? To było życie pełne niepewności i strachu – zastanawia się Michaela.

To wtedy pojawił się pomysł, aby liczbę imigrantów w Szwajcarii ograniczyć do maksimum 10 proc. całej populacji. Przyjęcie tzw. inicjatywy Schwarzenbacha, jak ją wtedy nazwano, oznaczałoby dla gastarbeiterów deportację ze Szwajcarii.

Status *Saisonnier* zniesiono dopiero w 2002 r. Dzisiaj do ich dzieci wracają duchy przeszłości.

Szwajcaria pęka w szwach

W niedzielę 14 czerwca obywatelki i obywatele Szwajcarii zagłosują w referendum, określanym jako najważniejsze od czasu głosowania w sprawie akcesji do ówczesnej Wspólnoty Europejskiej. Wtedy, w 1992 r., o decyzji na „nie" przeważyło zaledwie 24 tys. głosów. Szwajcaria pozostaje poza Unią, ale jest z nią ściśle związana przez umowy dwustronne, układ z Schengen i członkostwo w Europejskim Stowarzyszeniu Wolnego Handlu (EFTA).

Skąd pomysł tego zbliżającego się referendum? Pod koniec 2023 r. populacja tego małego alpejskiego kraju przekroczyła 9 mln ludzi. Na tle Europy powiększa się dynamicznie, szybciej niż w Niemczech, Francji czy Włoszech. A że współczynnik dzietności szura po historycznym dnie, więc populacja rośnie głównie dzięki imigracji.

Odkąd rynek w 2007 r. otworzył się na pracowników z Unii – wcześniej obowiązywały kontyngenty – średnio co roku przybywa Szwajcarii ponad 70 tys. osób (migracja netto). To tyle, ile liczy średniej wielkości miasto St. Gallen. Tylko w latach 2011-2024 przybyło 2,5 mln osób, a ponad połowa została.

W efekcie Szwajcaria ma jeden z najwyższych odsetków zagranicznej populacji w Europie. W Genewie połowa mieszkańców to obcokrajowcy, w Zurychu jedna trzecia. A przy tym, z 220 mieszkańcami na kilometr kwadratowy, kraj należy do najgęściej zaludnionych w Europie.

Szwajcaria pęka w szwach – twierdzą politycy prawicowej Szwajcarskiej Partii Ludowej (SVP), pierwszej siły w parlamencie. I mówią: szlus. Do 2050 r. liczba mieszkańców nie może przekroczyć 10 mln, a hamulec ma być wpisany do konstytucji.

Inicjatywa ta od miesięcy rozgrzewa społeczeństwo do czerwoności.

Przeludnienie? To stara śpiewka

Gdyby obywatelki i obywatele Szwajcarii zagłosowali na „tak", akceptując pomysł SVP, byłby to precedens w Europie. Dotychczas postulat ograniczenia populacji



SEBASTIEN BOZON / AFP / EAST NEWS

wysunęła w Holandii w 2024 r. skrajnie prawicowa partia Geerta Wildersa, ale nie został przyjęty.

Politycy SVP widzą w „eksplozji" populacji zagrożenie dla szwajcarskiej tożsamości. Używają słowa *Überfremdung*, dosłownie: przeobcowanie. „Nie dla pełzającej islamizacji i ekspatów, którzy mówią wyłącznie po angielsku" – głosi referendalne argumentarium. SVP wylicza: mieszkania są coraz droższe, zieleń znika pod warstwą betonu, korkują się drogi, poziom edukacji spada, rośnie przestępczość. „Chcemy, by Szwajcaria pozostała Szwajcarią" – mówi Marcel Dettling, szef SVP.

Ograniczyć imigrację prawica próbowała już w roku 2014 i 2020. Pierwsza inicjatywa przeszła w referendum, ale nie doczekała się pełnej implementacji. Druga odpadła w głosowaniu.

Krytycy inicjatywy SVP ripostują, że obawy związane z przeludnieniem mają w Szwajcarii długą historię.

– Już 200 lat temu, gdy wielu Szwajcarów opuszczało kraj z powodu ubóstwa, narzekano na rzekome przeludnienie. W pierwszej inicjatywie przeciwko nadmiernej imigracji, w 1965 r., wysuwano argumenty podobne do obecnych. Wówczas w Szwajcarii mieszkało 5,8 mln osób – zauważa w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Didier Ruedin ze Szwajcarskiego Forum ds. Migracji i Badań nad Ludnością Uniwersytetu w Neuchâtel.

Czy w Szwajcarii rzeczywiście zrobiło się tłoczno? – Nie istnieje coś takiego, jak



„Chrońmy Szwajcarię!" kontra „Akurat teraz mamy zrywać z Europą?": plakaty za i przeciw inicjatywie prawicowej partii SVP, która na drodze referendum chce radykalnie ograniczyć imigrację. Gmina Thayngen w kantonie Szafuza, 1 czerwca 2026 r.

naukowo zdefiniowana optymalna wielkość populacji – odpowiada prof. Ruedin. – Kto miałby o tym decydować? Państwo? Rynek? To czysty populizm.

Betonoza, korki...

To, że kraj się rozbudowuje, jest faktem. Rośnie zapotrzebowanie na mieszkania, biura, infrastrukturę. W latach 2009–2018 terenów zabudowanych przyrastało średnio o powierzchnię równą ośmiu boiskom piłkarskich – dziennie. W ciągu ćwierćwiecza zbudowano 1,3 mln nowych mieszkań (rodziny przyjezdne wynajmują lokum średnio o 15 m kwadratowych mniejsze niż Szwajcarzy).

Jedną z największych bolączek są skokowo rosnące składki ubezpieczenia zdrowotnego, które jest obowiązkowe i prywatne. Przy czym, jak wynika z analiz federalnych, rodowici Szwajcarzy „kosztują" system więcej niż przyjezdni.

A korki? Kierowcy stoją teraz w korkach łącznie ponad 55 tys. godzin rocznie, siedem razy dłużej niż jeszcze 20 lat temu. Od tamtej pory liczba samochodów osobowych na drogach wzrosła o jedną trzecią. Ale autostrady w Szwajcarii są wręcz śmiesznie tanie, roczna winieta kosztuje zaledwie 40 franków (niecałe 200 zł).

Dalej: SVP straszy rosnącą przestępczością. Ta na tle Europy wciąż jest niska, a w ostatnich latach spadła. Zwiększył się za to udział obcokrajowców wśród podejrzanych i skazanych za przestępstwa.

Monopolizacja tematu

– Wzrost liczby ludności z pewnością zmienia Szwajcarię, społeczeństwo stało się bardziej zróżnicowane. Ale nielegalna imigracja jest tu tematem marginalnym, nie ma problemowych dzielnic, gangów. Buduje się intensywnie, ale jakoś zyski właścicieli nieruchomości czy funduszy emerytalnych nie budzą oburzenia. A wyzwania w zakresie infrastruktury? Bogaty kraj powinien sobie z nimi poradzić – mówi Didier Ruedin.

– Gorzej, że nie radzi sobie ze zmonopolizowaniem tematu imigracji przez prawicę – dodaje.

Na lewicy, która pomysły SVP nazywa „inicjatywą chaosu", też panuje chaos. Silny jest tu sceptycyzm wobec dyktatu rozwoju gospodarczego, a jako problem wskazuje się zwłaszcza globalne koncerny i kierowane do nich podatkowe zachęty.

Oficjalnego poparcia na lewicy dla inicjatywy SVP nie ma. Ale nie ma też konkretnej odpowiedzi na wyzwania związane ze wzrostem populacji. Czuć *Dichtstress* – napięcie związane z gęstością zaludnienia, jednak tematu migracji lewica się nie tyka.

Azylanci a imigranci

Czego konkretnie chce SVP? Aby już z chwilą, gdy liczba ludności przekroczy 9,5 mln, rząd zaczął działać. Na pierwszy ogień ma iść polityka azylowa i tzw. łączenie rodzin. A gdy liczba ta przekroczyłaby 10 mln, wtedy Berno musiałoby wypowiedzieć umowę z Brukselą o swobodnym przepływie osób i inne powiązane z nią porozumienia dwustronne.

– Mając w pamięci brexit, takie chaotyczne sytuacje są jak najbardziej możliwe – uważa Ruedin. – Niepewna sytuacja geopolityczna na świecie podsyca społeczne lęki. Szwajcarzy patrzą na sąsiadów, Niemcy, Francję, gdzie w ostatnich latach zaostrzyły się antyimigranckie nastroje, i gdzie w siłę rośnie skrajna prawica.

Także szwajcarska prawica rysuje obraz masowego sprowadzania azylantów. A jak wyglądają fakty? Według informacji Szwajcarskiej Pomocy dla Uchodźców (SFH), osoby o uznanym statusie uchodźczym, osoby starające się o azyl, a także Ukraińcy przebywający w Szwajcarii na podstawie statusu ochronnego to łącznie tylko 2,5 proc. całej populacji i tylko 14 proc. imigrantów (przed inwazją Rosji na Ukrainę było to 8,1 proc.).

Na mocy konwencji dublińskiej, określającej, które państwo jest odpowiedzialne za rozpatrzenie wniosku o azyl, Szwajcaria do połowy 2025 r. przyjęła 11 tys. osób, natomiast ponad 40 tys. odesłano do innych krajów europejskich.

Skąd tak mały odsetek azylantów wśród imigrantów? Bo zdecydowana większość obcokrajowców przyjeżdża tu w celach zarobkowych – najwięcej z krajów sąsiadujących ze Szwajcarią, ale też z Portugalii, Hiszpanii, Polski.

– Dla nich renegocjacja umów dwustronnych z Unią mogłaby być opłakana w skutkach – mówi Marek Wieruszewski, przedstawiciel Unii, największego związku zawodowego w Szwajcarii. Związek zrzesza 170 tys. pracowników, z których połowa to obcokrajowcy.

Wyzwania? Nie tędy droga

Szwajcarska gospodarka opiera się na imigrantkach i imigrantach.

Związek Pracodawców wylicza, że w ostatnich 15 latach ok. 90 proc. stanowisk w sektorze prywatnym obsadzanych było przez pracowników przyjezdnych. Jeśli jako ekonomiczny wskaźnik dobrobytu przyjąć PKB na mieszkańca, od 1991 r. wzrósł on o jedną trzecią. Stopa bezrobocia nie przekracza 3 proc., zatrudnienie jest stabilne.

– Jeśli Szwajcaria nadal chce się rozwijać, imigracja jest niezbędna. Niektóre ↦

↦ branże funkcjonują wyłącznie dzięki przyjezdnym – uważa Wieruszewski.

Jakie to branże? Budownictwo, gastronomia, sektor opieki, a także ochrona zdrowia.

Ponad połowa pracowników, przyjeżdżających do Szwajcarii na podstawie umowy z Unią o swobodnym przepływie osób, zatrudniona jest w zawodach wymagających wyższych kwalifikacji. – Szwajcarii bardziej opłaca się ściągać lekarzy z Niemiec, niż inwestować w kształcenie lokalnie. To wygodne i w przyszłości raczej się nie zmieni – mówi Wieruszewski.

Przyznaje, że nastroje w Bernie są napięte. – Dzwonią do mnie Polacy, pytają o nadchodzące referendum. Dziś mogą osiedlać się na podstawie długoletnich pozwoleń na pobyt, sprowadzać rodziny, mają prawa socjalne, ich pensje podlegają kontroli. Bez tego wróciłby dziki rynek pracy, powtórzyłaby się historia półniewolniczego wyzysku, jak to było w latach 60. XX w. – mówi Wieruszewski.

Powtórka z historii?

Marek Wieruszewski mieszka w Szwajcarii od 15 lat. – Inicjatywa SVP trafia w nerw, nazywa problemy zauważalne dla ludzi: przepełnione pociągi, kolejki do lekarzy, rosnące koszty życia. Ale proponuje rozwiązania, które z tymi problemami nie mają nic wspólnego. Szwajcarom wiedzie się dobrze. Stawiajmy na lepszą integrację. Dbajmy o to, aby przyjezdni przestrzegali zasad społecznych. Ale nie wycinajmy Szwajcarii z Europy – apeluje.

Najnowsze przedreferendalne sondaże sugerują, że inicjatywa SVP nie przejdzie – choć tylko niewielką liczbą głosów.

Michaela mieszka i pracuje w Zurychu, ma już szwajcarski paszport. – Wielu moich znajomych nie ma prawa głosu. Atmosfera wokół tego referendum sprawia, że czują się niechciani, choć tu pracują i tu płacą podatki. Zamykanie granic i tworzenie wysp dobrobytu dla uprzywilejowanych nie jest rozwiązaniem – mówi.

Ona zagłosuje, mając w pamięci swoich rodziców. Nie chce, żeby ich historia się powtórzyła.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

Omańskie lustro

IGOR KUŚMIERSKI

BLISKI WSCHÓD | **Był dotąd jak Szwajcaria: Oman nie chciał stawać po żadnej ze stron sporów, wszystkim oferował się jako pośrednik. Czy ten model przetrwa? I co to mówi o świecie dziś?**

7 KWIETNIA 2024 R. IRAŃSKI MINISTER spraw zagranicznych Hossein Amirabdollahian wylądował w Maskacie, stolicy Omanu. Przywiózł przesłanie: Iran uderzy w Izrael militarnie, w odpowiedzi na zbombardowanie konsulatu w Damaszku, ale to będzie atak jednorazowy i jego celem nie jest wywołanie wojny, lecz pokaz siły.

Następnego dnia omańscy dyplomaci przekazali ten komunikat Amerykanom, zgodnie z intencją Irańczyków. 13 kwietnia Iran wypuścił ponad 300 dronów i rakiet na Izrael. USA nie zareagowały, gdyż wiedziały, czego się spodziewać.

Żadna wielka agencja prasowa nie pisała w tamtych dniach o Omanie. W Maskacie nikogo to nie oburzało. Tak Oman działał od dekad: w ciszy, bez konferencji prasowych i przypisywania sobie zasług. Każda mediacja, dyskretna i udana, wzmacniała zaufanie.

Oman ma 5 mln mieszkańców. Leży nad cieśniną Ormuz, przez którą płynie jedna piąta światowej ropy. Nie jest bogaty, jak sąsiedzi z Zatoki. Nie ma armii zdolnej do prężenia muskułów. Mimo to pełni rolę, której nikt inny na Bliskim Wschodzie pełnić nie potrafi: kogoś, komu ufają wszyscy, bo nie jest sojusznikiem nikogo.

Ostatnie trzy miesiące wystawiły ten model na ciężką próbę.

TRZECI OBÓZ | Islam w potocznym rozumieniu to dwa obozy: sunnici i szyici. Wokół tego podziału obraca się rywalizacja sunnickiej Arabii Saudyjskiej z szyickim Iranem. W każdym konflikcie w tym regionie wybrzmiewa to samo pytanie: po czyjej stronie jesteś?

Oman nie musi tu odpowiadać. Prawie połowa jego populacji to ibadyci: wyznawcy trzeciej, najmniej znanej gałęzi islamu. Ibadyzm powstał w połowie VII w. jako odłam ruchu charydżyckiego – grupy, która w 657 r. opuściła obie strony tamtej pierwszej islamskiej wojny domowej, uznając, że żadna nie ma racji. Charydżyci odrzucili i sunnitów, i szyitów.

Radykalni charydżyci wybrali przemoc. Ibadyci, skupieni wokół uczonego Dżabira ibn Zajda z omańskiej Nizwy, wybrali zaś izolację i wewnętrzną spójność. Przetrwali, bo nie wchodzili nikomu w drogę. W omańskich meczetach sunnicki imam może prowadzić modlitwę dla ibadyckich wiernych. Małżeństwa mieszane są normą.

Ibadyzm kładzie nacisk na szurę (obowiązek konsultacji) i tradycję sablah: radę, przy której różne grupy rozwiązują spory dialogiem. Ta tradycja unikania konfliktu przenika społeczeństwo Omanu. Wpływa na sposób, w jaki prowadzi on politykę zagraniczną.

Kluczowe jest to, co z tej tożsamości wynika politycznie. Jeśli nie jesteś sunnitą ani szyitą, nie jesteś po żadnej stronie. W regionie, gdzie wyznanie równa się sojuszowi, ibadyzm oznacza wolność od sojuszy. To teologiczna przypadłość, która stała się strategiczną zaletą. Ale żeby ją wykorzystać, potrzebny był ktoś, kto zrozumie, że neutralność może być bronią.

DZIWNY SUŁTAN | Aby zrozumieć, jak Oman stał się tym, czym jest dziś, trzeba cofnąć się do 23 lipca 1970 r. Tego dnia 29-letni Kabus ibn Sa'id obalił własnego ojca w pałacowym zamachu stanu, którego dokonał z cichym poparciem Brytyjczyków.

Ojciec był postacią osobliwą nawet jak na standardy bliskowschodnich autokratów. Sa'id ibn Tajmur rządził od 1932 r., stopniowo zamieniając Oman w najbardziej izolowane państwo regionu. W chwili zamachu kraj miał dwa szpitale, dwie szkoły średnie i 10 km betonowych dróg. Prąd i bieżąca woda były dostępne tylko w stolicy. Śmiertelność



ELKE SCHOLIERS / GETTY IMAGES

Mieszkańcy Muskatu, stolicy Omanu, świętują zakończenie ramadanu, islamskiego miesiąca postu. W tle tankowce uwięzione na kotwicowisku w Porcie imienia Sułtana Kabusa. Marzec 2026 r.

dzieci poniżej 5. roku życia sięgała 25 procent.

Zakazane były różne błahe aktywności: palenie w miejscach publicznych, gra w piłkę nożną, noszenie okularów przeciwsłonecznych. Ekstremum tej paranoi był zakaz prowadzenia rozmowy dłuższej niż 15 minut w miejscu publicznym.

W takich warunkach panował sułtan Sa'id ibn Tajmur. Sam nie opuszczał od lat pałacu al-Husn w Salalah, na południu kraju.

RODZINNY PRZEWRÓT | Kabus ibn Sa'id studiował w Wielkiej Brytanii, na akademii wojskowej w Sandhurst. Gdy w 1966 r. wrócił, ojciec umieścił go w areszcie domowym (w tym samym pałacu, w którym mieszkał). Przez ostatnie 14 miesięcy przed zamachem nie zamienili ze sobą słowa, choć dzieliło ich kilkadziesiąt metrów korytarza.

Kabus, mając poparcie Brytyjczyków, zdecydował się na zamach. 23 lipca 1970 r. uzbrojona grupa wtargnęła do apartamentów sułtana. Ten stawił opór. Jednego zamachowca trafił w brzuch, po czym, przeładowując pistolet, postrzelił się w stopę. Próbował uciec podziemnymi korytarzami. Schwytany, został zmuszony do podpisania aktu abdykacji.

Następnego dnia syn wysłał go samolotem do Londynu. Ostatnie dwa lata życia obalony sułtan spędził w apartamencie hotelu Dorchester.

Kabus z marszu ogłosił program modernizacji. Zmienił nazwę państwa z „Sułtanat Maskatu i Omanu" na „Sułtanat Omanu" (gest zjednoczenia kraju). A to, co zrobił w polityce zagranicznej, okazało się równie ważne jak drogi i szpitale, które zbudował. Wspomnianą ibadycką tradycję zamienił w strategię przetrwania małego państwa między gigantami.

FACYLITATOR | Test tych założeń przyszedł szybko. Gdy na południu Omanu płonęło komunistyczne powstanie w prowincji Dhofar (wspierane przez marksistowski Jemen Południowy), w jego stłumieniu pomogła armia szacha Iranu. Gdy potem, w 1979 r., rewolucja islamska obaliła szacha, większość państw arabskich zerwała relacje z nowym Iranem. Kabus tego nie zrobił. Oman od Iranu dzieli raptem kilkadziesiąt kilometrów cieśniny Ormuz. Sułtan uznał, że z takim sąsiadem lepiej rozmawiać niż nie rozmawiać.

Utrzymanie relacji z Islamską Republiką Iranu było więcej niż pragmatyzmem – był to test nowej strategii. Mały kraj bez militarnej siły, z religią wykluczającą go z sunnicko-szyickiego podziału, leżący nad krytyczną cieśniną postawił na taką strategię przetrwania.

Oman zaczął rozmawiać ze wszystkimi. Pięć dni po inwazji Iraku na Iran we wrześniu 1980 r. szef MSZ Omanu już oferował pośrednictwo. Przez następne dekady Oman cierpliwie budował model, który badacze nazwali „państwem-rozmówcą". Wieloletni minister stanu ds. zagranicznych Jusuf ibn Alawi powtarzał: „To, co wybieramy dla siebie, to rola facylitatora".

Facylitator to nie to samo, co mediator. Oman nie chciał odgrywać roli mediatora. Bo mediator wchodzi między strony, proponuje rozwiązania. Facylitator zaś organizuje przestrzeń, w której wrogowie mogą się spotkać (np. kursuje między nimi z wiadomościami, zapewnia hotel w swej stolicy). I co równie ważne – nigdy nie przypisuje sobie sukcesów.

MIĘDZY STRONAMI | Tą metodą w 2012 r. Oman zorganizował w swojej stolicy ↦

↦ tajne rozmowy USA–Iran (za prezydentury Baracka Obamy). Doprowadziły do porozumienia nuklearnego JCPOA w 2015 r., w którym Iran zobowiązał się ograniczyć swój program atomowy w zamian za zniesienie międzynarodowych sankcji gospodarczych.

William Burns, ówczesny zastępca sekretarza stanu USA, opisał te spotkania w pamiętniku: amerykańscy i irańscy dyplomaci siedzieli w oddzielnych pokojach, Omańczycy chodzili między nimi, przenosząc stanowiska stron, i tak aż do finalizacji porozumienia.

Gdy z kolei w 2015 r. Arabia Saudyjska utworzyła koalicję przeciw Huthim, szyickim rebeliantom w sąsiednim Jemenie, Oman był jedynym państwem Rady Współpracy Zatoki Perskiej, które odmówiło w niej udziału. Zamiast tego zaproponował rozmowy. Do Maskatu przybyli rzecznik Huthich i ambasador rządu Jemenu. Oman prosił tylko o dyskrecję.

Model wydawał się niezniszczalny. Był zbyt użyteczny, by go atakować lub ignorować. Aż przyszedł test, który pokazał, że nawet najlepsze pośrednictwo ma granice.

ZERWANY ROZEJM | W maju 2025 r. Oman pomógł w rozejmie między USA a Huthimi – po tym, jak od końca 2023 r. atakowali oni statki na Morzu Czerwonym w geście solidarności z Palestyńczykami w Gazie, utrudniając żeglugę na ważnym szlaku handlowym.

Trump ogłosił, że Huthi „skapitulowali". Huthi odparli, że to Stany „ustąpiły". Obie wersje były autopromocją. Prawda była prozaiczna: ktoś musiał nachodzić się między hotelowymi pokojami obu stron. Rozejm dał Huthim coś, czego wcześniej nie mieli: po raz pierwszy USA uznały ich za partnera do rozmów, a nie terrorystów do zwalczania.

Dziesięć miesięcy później przyszedł sprawdzian. 28 lutego 2026 r. Izrael i USA uderzyły na Iran. Irańczycy odpowiedzieli i region stanął w ogniu. Przez pierwszy miesiąc tej wojny Huthi – dotąd bodaj najbardziej bojowa spośród różnych grup wspieranych przez Teheran – nie wystrzelili ani jednej rakiety na Izrael. Wstrzymali się, mimo nacisku z Iranu. Zapewne kalkulowali, że wznowienie ataków oznacza koniec uznania ze strony USA.

Czy radykalizujący się świat, w którym wraca logika siły i pytanie, „po której jesteś stronie", pozwoli na **istnienie takich „anomalii" jak Oman?**

Wstrzymywali się równy miesiąc – 28 marca wznowili ataki. Oświadczyli, że będą je kontynuować, „dopóki agresja na wszystkich frontach oporu się nie zakończy" (czytaj: wobec Iranu, Libanu i Gazy). To był koniec rozejmu z USA. Presja z Teheranu i wewnętrzna dynamika ruchu Huthich okazały się silniejsze niż pragmatyzm.

NOWE CZASY | Fiasko tego rozejmu to jednak tylko jeden kłopot Omanu, mniejszy. Większym jest to, że odpowiadając na agresję Izraela i USA, Iran poszerzył konflikt, uderzając także w kraje Zatoki. Najmocniej w te, które goszczą bazy USA. Oberwało się jednak również Omanowi: irańskie rakiety i drony kilka razy atakowały jego porty i instalacje naftowe, były ofiary i zniszczenia.

Jak długo jeszcze na Bliskim Wschodzie można być niczyim sojusznikiem? Sułtan Hajtham ibn Tarik, który przejął władzę po śmierci Kabusa w 2020 r., chciałby kontynuować doktrynę poprzednika. Świat jednak się zmienił, a zmiana ta zaczęła się nie w roku 2026, lecz kilka lat wcześniej.

„Porozumienia Abrahamowe" – seria umów normalizujących relacje między Izraelem a niektórymi państwami arabskimi, podpisanych w 2020 r. – stworzyły nowe realia w regionie. Państwa są oceniane nie według zdolności unikania konfliktu, ale według tego, po czyjej są stronie. Neutralność staje się strategiczną anomalią.

Ponadto Oman ma własne problemy. Główny to kosztowna dywersyfikacja gospodarki, tak aby nie opierała się na ropie. Zakłada m.in. rozwój portu w Duqm, który miałby łączyć Azję z Afryką. Jego sukces zależy od stabilności regionu, to jednak nie zależy od Omanu.

KONIEC MODELU? | Dziś media w USA twierdzą, że Oman wspiera Huthich, bo utrzymuje z nimi kontakty. Ta błędna ocena wynika z mylenia facylitacji ze współpracą. Ale zarzuty są coraz trudniejsze do odpierania w świecie, który żąda jednoznacznych deklaracji.

Omański model ma warunek, którego nie da się powielić. Trzeba być wystarczająco małym, by nikomu nie zagrażać, i wystarczająco ważnym, by nie dać się ignorować. Trzeba też przez 50 lat budować reputację dyskretnego pośrednika.

Najważniejsze dla takiego modelu jest to, by świat wierzył w neutralność. Ale ten świat zanika. Logika bloków – widoczna w rywalizacji USA–Chiny, w polaryzacji wokół Ukrainy i Gazy, w niedawnych naciskach Trumpa na Arabię Saudyjską, by dołączyła do „Porozumień Abrahamowych" (a jak nie dołączy, to „zobaczy") – wypiera logikę mediacji.

W efekcie państwo, które rozmawia ze wszystkimi, może być postrzegane jako sojusznik każdego wroga.

Czego potwierdzeniem mogą być groźby Donalda Trumpa: kilkanaście dni temu, w trakcie negocjacji USA–Iran, prezydent USA zagroził... atakiem na Oman („Wysadzę ich w powietrze"). Nie wiadomo, co było tego powodem – czy prezydent USA przypisał Omanowi coś, czego ten nie zrobił, czy też po prostu pomylił go z innym krajem.

PRZYSZŁOŚĆ ANOMALII | Może się więc okazać, że model Omanu był możliwy tylko w konkretnym momencie historycznym: między zimną wojną a powrotem logiki silniejszego, których uosobieniem są ci najważniejsi: Putin, Trump, Xi Jinping (rzecz jasna, każdy na swój sposób). Ten moment, to okno możliwości, właśnie zamyka się dla Omanu. Wcześniej zamknęło się dla Szwecji i Finlandii. Jest też przedmiotem dyskusji w Szwajcarii, która podnosi wydatki na swoją armię.

W każdym razie, Oman udowodnił jedno. Na Bliskim Wschodzie, gdzie każdy konflikt zaczyna się od pytania: „po czyjej jesteś stronie?", przez ponad 50 lat istniał kraj, który zamiast odpowiadać na nie, sam pytał: „jak mogę pomóc, aby obie strony były zadowolone?".

Czy więc nasz radykalizujący się świat pozwoli nadal na takie anomalie jak Oman? © IGOR KUŚMIERSKI

DODATEK SPECJALNY

35. rocznica traktatu między Polską a Niemcami z czerwca 1991 r.



DPA / AFP / EAST NEWS

Premier Jan Krzysztof Bielecki oraz kanclerz Helmut Kohl podpisują traktat o współpracy i dobrym sąsiedztwie pomiędzy Polską i Niemcami. Bonn, 17 czerwca 1991 r.



RYSZARD JANOWSKI / PAP

Kolejka do przejścia granicznego z Niemcami po zniesieniu wiz dla Polaków. Słubice, 8 kwietnia 1991 r.

35 lat temu, 17 czerwca 1991 r., Rzeczpospolita Polska i Republika Federalna Niemiec podpisały traktat o współpracy i dobrym sąsiedztwie, który stał się fundamentem współżycia między państwami i narodami. Był to drugi historycznie ważny traktat między niepodległą i demokratyczną Polską a zjednoczonymi, demokratycznymi Niemcami. Wcześniej, jesienią 1990 r., oba państwa podpisały traktat o ostatecznym uznaniu przez Niemcy zachodniej granicy Polski, jaka została ustanowiona po II wojnie światowej.

Za tydzień, w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”, które ukaże się w przeddzień rocznicy podpisania traktatu z 17 czerwca 1991 r., znajdą Państwo specjalny dodatek poświęcony temu wydarzeniu. Na jego łamach zaproszeni do współpracy z „Tygodnikiem” autorzy z Polski i Niemiec przedstawią tło wydarzeń sprzed 35 lat, opowiedzą, jak traktat wpłynął na relacje polsko-niemieckie, oraz ocenią perspektywy zacieśnienia współpracy między Polską a Niemcami w dziedzinie bezpieczeństwa, w kontekście zagrożenia ze strony Rosji i napięć w Przymierzu Atlantyckim.

- **Dr Basil Kerski** z Domu Historii Nadrenii Północnej-Westfalii w Düsseldorfie przypomni kontekst powstania traktatu z 1991 r. i parametry współpracy Polski i Niemiec przez ostatnie 35 lat.
- **Prof. Carlo Masala** z Uniwersytetu Bundeswehry opowie o zmianie niemieckiej polityki i przebudowie armii w następstwie rosyjskiej agresji na Ukrainę.
- **Dr Piotr Buras** z warszawskiego biura Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych przedstawi perspektywy zacieśnienia więzów między Polską a RFN w procesie zabezpieczania wschodniej flanki NATO.

WYDAWCA DODATKU: Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY DODATKU: TYGODNIK POWSZECHNY; STIFTUNG HAUS DER GESCHICHTE NORDRHEIN-WESTFALEN

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Dodatek ukazuje się z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Za wsparcie projektu dziękujemy Adalbert-Stiftung Krefeld

ADALBERT STIFTUNG

REKLAMA



WIARA

Parafialna orkiestra dęta w Leńczach podczas procesji Bożego Ciała. Leńcze, 4 czerwca 2026 r.

CHRZEŚCIJANIN TRĄBI

Grają kościelne pieśni i jazzowe standardy.
Parafialne orkiestry dęte dla jednych są symbolem Kościoła nieudolnie triumfującego.
Dla innych – przykładem wspólnoty, która chce być razem mimo dzielących ją różnic.

EDWARD AUGUSTYN

Z kościoła powoli wychodzą wierni. Najpierw dzieci w pierwszokomunijnych strojach, za nimi rodzice. Głównie mamy, bo ojcowie czekają na zewnątrz, tam gdzie ja – pod pomnikiem Jana Pawła II. To jedna z ładniejszych rzeźb papieża w Polsce, łącząca czarny, afrykański granit z brązem. Jej autorem jest prof. Bronisław Chromy, ten sam, który stworzył Smoka Wawelskiego, Pietę Oświęcimską czy pomnik Psa Dżoka na Bulwarach Wiślanych. Pochodził z tej parafii. Podobnie jak Jerzy Trela, spoczywający na przykościelnym cmentarzu. Niewielkie Leńcze, położone w cieniu Lanckorony i Kalwarii Zebrzydowskiej, mają szczęście do wielkich artystów.



JACEK TARAN

Thriller na jednym tonie

Ks. Bohdan Ciołczyk, proboszcz, wychodzi z kościoła ostatni. Zaprasza do kancelarii.

Nigdy dotąd, w żadnej parafii, w której pracował, nie było orkiestry. Teraz ma ją na co dzień – za ścianą, a właściwie pod podłogą, bo salka prób znajduje się na plebanii, pod mieszkaniem proboszcza.

– Kiedyś – mówi – siedzę w swoim pokoju i słyszę, że pociąg trąbi. Niedaleko jest stacja, więc mnie nie zdziwiło. Ale on trąbi i trąbi, co chwilę i długo. Trochę czasu minęło, zanim zrozumiałem, że to ktoś uczy się grać na trąbce. I tak ciągnie na jednym tonie.

Pytam, czy przeszkadzają. Zaprzecza: – Dla mnie najważniejsze, że to nasza własna, parafialna orkiestra, która uświetnia liturgię i procesje.

Gdy rozmawiamy, z salki dochodzą dźwięki „Thrillera" Michaela Jacksona. Bo orkiestra gra nie tylko pieśni religijne. Ale proboszcz nie ma z tym problemu. – W czasie mszy czy procesji mają zawsze odpowiedni repertuar – zapewnia. – A tę lekką muzykę wykonują poza kościołem, na festynach albo na koncercie noworocznym, który zresztą zawsze zaczyna się od kolęd. Trzymają się zasad.

Trzydzieści lat minęło

W Polsce działa ok. 800 parafialnych orkiestr dętych. Szacunkowo, bo nikt nie prowadzi rejestru. Orkiestry nie mają scentralizowanej struktury. Podlegają proboszczom i ewentualnie Diecezjalnym Komisjom Muzyki Kościelnej, które opracowują wytyczne dla wszystkich zespołów muzycznych i śpiewaczych występujących w kościołach.

Najwięcej orkiestr ma Małopolska, Śląsk i Podkarpacie. Sporo wśród nich takich, które mają parafialny rodowód, ale przeszły pod opiekę Gminnych Ośrodków Kultury lub Ochotniczych Straży Pożarnych.

Orkiestra w Leńczach za rok będzie obchodzić 30-lecie istnienia. Założył ją w 1997 r. Marian Górkiewicz, pierwszy kapelmistrz, przez kolejnych dwanaście lat. W najlepszym okresie grało w niej blisko 60 osób w dwóch grupach – dorosłych i młodzieży.

Brakuje grubej blachy

– Czesiek, tam jest powtórka! Przed 53 są cztery takty powtarzane! – słyszę jeszcze zza drzwi, jak Przemysław Drabczyk, kapelmistrz, upomina jednego z muzyków. Wchodzę do salki prób. W pierwszym rzędzie saksofony, flety, klarnety. W drugim trąbki i waltornie. W ostatnim – tuba i instrumenty perkusyjne.

– Brakuje nam trochę „grubej blachy" – mówi kapelmistrz. – Zwłaszcza puzonów, które dopiero się uczą. Fajna byłaby też jakaś sekcja melodyczna, na przykład dzwonki. Ale to jak się trochę rozkręci. W ruchu amatorskim nie da się wiele przewidzieć. Dziś dzieje się dużo, a za rok może trzeba będzie wszystko budować od nowa. Młodzi jadą na studia, do pracy, zakładają rodziny w innych miejscowościach.

Orkiestra leńczańska liczy dziś 26 aktywnych muzyków. Najmłodszy ma 7 lat (dziewczynka, gra na eufonium), najstarszy 65 (perkusja). Wszyscy uczyli się grać tutaj, na miejscu, od podstaw. Jest też 14 adeptów, którzy ćwiczą oddzielnie, w trzech sekcjach: instrumentów drewnianych, blaszanych i perkusyjnych.

Pytam, na czym najtrudniej zacząć.

– Na perkusji początki są przyjemniejsze, bo szybciej widać efekty, ale później zaczynają się schody – mówi Przemek. – A na instrumentach dętych odwrotnie: od razu są schody, a później pomalutku się stabilizuje. Ale chyba najtrudniejsze są te najmniejsze ustnikowe, jak trąbka czy waltornia. Wymagają cierpliwości i systematyczności.

– A jak się nie umie grać, to się dyryguje – żartuje.

Dyrygent z castingu

Drabczyk jest muzykiem zawodowym, ukończył szkołę muzyczną w klasie perkusji i trąbki, studiował też dyrygenturę w królewskim konserwatorium w Brukseli. Jako muzyk sesyjny współpracuje z wieloma znanymi artystami w Polsce, jest też liderem dwóch własnych zespołów muzyki rozrywkowej oraz animatorem kultury: w Oświęcimiu, gdzie mieszka, prowadzi gminną Wielką Orkiestrę Młodych Muzyków, współorganizuje warsztaty i festiwale muzyczne dla dzieci i młodzieży. Ma 32 lata.

Do Leńcz trafił trzy lata temu. Orkiestra od ponad dekady przeżywała kryzys. Po odejściu pierwszego kapelmistrza, w 2009 r., zaczęły się problemy.

– Zostało nas może osiem osób – mówią. – Coś tam graliśmy, ale nikt nam nie mówił, czy dobrze, czy źle. Aż wreszcie postanowiliśmy poszukać dyrygenta z prawdziwego zdarzenia.

Próbowali z kilkoma chętnymi, którzy zgłosili się na casting. Wśród nich był także Przemek, o którym wiedzieli tylko tyle, że prowadzi jedną orkiestrę i ma głowę pełną pomysłów. Przypadł im do gustu.

O jego wykształceniu i ścieżce zawodowej członkowie orkiestry dowiedzieli się dopiero teraz, przy okazji naszej rozmowy.

Sztuka oddychania

Jednym z adeptów jest Aleksander, z zawodu fizjoterapeuta, który do orkiestry zapisał się razem z 12-letnim synem Jędrkiem.

– Byłem na noworocznym koncercie w naszym kościele – mówi. – Oboje z żoną zwróciliśmy uwagę na dyrygenta ↦

↦ z charakterystycznym irokezem. Taki pozytywny chłopak, pełen energii. Na koniec koncertu mówił, że potrzebują chętnych, nawet takich, którzy nigdy nie grali na żadnym instrumencie.

Syn uczy się grać na perkusji, tata na puzonie. Zaczął od ćwiczeń oddechowych, żeby wypełniać płuca przy pomocy przepony. Tylko tak można zapewnić strumieniowi wydychanego powietrza odpowiednie ciśnienie i kontrolować jego przepływ. Bez dobrego oddychania nie da się wydobyć z instrumentu czystego, stabilnego dźwięku. Po opanowaniu tej techniki uczył się dmuchać w ustnik. Potem dopiero przyszła pora na samą grę na puzonie.

Pytam kapelmistrza, czy naprawdę każdy może grać w orkiestrze.

– Chyba się nie zdarzyło, żebyśmy kogoś nie przyjęli – odpowiada. – Raczej po pewnym czasie te osoby, którym ciężko przychodzi nauka, same sobie zdają z tego sprawę. Ale zwykle nie żegnamy się z nimi, tylko zmieniamy instrument. Na przykład jak komuś nie wychodzą dźwięki na trąbce, proponujemy puzon.

– Podoba mi się jego entuzjazm i wiara w ludzi – mówi adept Aleksander. – I to, że zaraża nimi innych. Sprawia, że każdy może pomyśleć: wow, za kilka miesięcy ja też będę grał w tej orkiestrze! Podziwiam, że chce mu się uczyć ludzi od podstaw.

Plebejski rodowód

Amatorskie orkiestry dęte popularne są w wielu krajach. Tak zaczynał muzyczną karierę Wynton Marsalis, który jako ośmiolatek trafił do przykościelnego Fairview Baptist Church Band w Nowym Orleanie. W Wielkiej Brytanii utożsamiane są z ruchem robotniczym. Znane są we Francji, Portugalii, Grecji i oczywiście we Włoszech, zwłaszcza południowych, gdzie „banda musicale" od zawsze była obowiązkowym elementem wszystkich ludowych i kościelnych ceremonii. Dziesiątki tysięcy Włochów w taki właśnie sposób odbierało pierwszą edukację muzyczną i znajdowało „artystyczne wytchnienie" w zdominowanej przez pracę fizyczną codzienności.

Robotniczo-ludowe pochodzenie mają też polskie orkiestry amatorskie. Co z pewnością przyczyniło się do lekceważenia ich przez muzyczny mainstream. Zresztą nie o sam plebejski rodowód chodzi. Także o użytkowy charakter granej muzyki (do marszu, procesji lub tańca) czy stereotypowe wyobrażenia na temat repertuaru. Niewiele osób, także muzykologów i krytyków muzycznych, ma świadomość, że współczesne zespoły grają nie tylko uproszczone wersje polek, marszów, piosenek biesiadnych i pieśni religijnych. Coraz więcej kapelmistrzów sięga po muzykę filmową czy jazzową albo po pisane specjalnie dla orkiestr dętych partytury.

Moja orkiestra

Próba kończy się po godz. 21. Kapelmistrz i kilkoro muzyków zostają, by ze mną porozmawiać. Pytam, co im daje orkiestra i jak wpłynęła na ich życie.

Konrad: – Gdy zaczynałem, miałem 10 lat. Dużo było różnych zajęć, wiadomo, grało się w piłkę nożną i w siatkówkę. Ale teraz, w dorosłym życiu, to tak naprawdę poza pracą i innymi obowiązkami została już tylko ta orkiestra. Taka odskocznia, po prostu.

Sylwia: – Gra w orkiestrze uczy samodyscypliny i systematyczności. O ile tylko podchodzi się do tego serio i jest się naprawdę zaangażowanym. Nie da się instrumentu widzieć tylko na próbie, raz w tygodniu. Wiadomo, każdy z nas pracuje, uczy się, z czegoś musimy żyć, zarabiać. Nie jesteśmy zawodowymi muzykami. Ale te parę razy w tygodniu trzeba wziąć instrument do ręki.

Amelia: – Dla mnie najważniejsze jest, że spędzamy tu razem czas. Z rówieśnikami czy ze starszymi, w rodzinnej atmosferze. Zresztą duża część orkiestry to są rodziny – matki z córkami, ojciec i syn, rodzeństwo, kuzyni. Gramy, rozmawiamy, żartujemy, organizujemy wigilie.

Sylwia: – W każde święta pada w domu to magiczne zdanie: „A weź nam coś zagraj". Więc pewnie każdy z nas jest takim domowym grajkiem. Ale to lepsze niż podawanie do stołu. Są ludzie od podawania i są od grania.

Jerzy: – Gramy po domach, na spotkaniach, pogrzebach. Graliśmy też na majówkach. Jest tu w okolicy kilka kapliczek, gdzie się spotykają kobiety, by śpiewać litanię. Kilka razy skrzyknęliśmy się tak spontanicznie, na telefon, i im przygrywaliśmy.

Kasia: – Nie ma w naszej miejscowości zbyt dużo takich atrakcji. Fajnie, że wspólnie coś budujemy, że dbamy o tę tradycję. Może w przyszłości nawet zaznaczymy się jakoś w świecie muzycznym?

Kasia zaczęła grę w orkiestrze po pierwszej komunii. Potem zapisała się do szkoły muzycznej – najpierw pierwszego stopnia w Skawinie, potem w Krakowie. W tym roku kończy drugi stopień w klasie saksofonu.

Kulturalna kotwica

System edukacji muzycznej w Polsce przez lata faworyzował orkiestry symfo-

REKLAMA

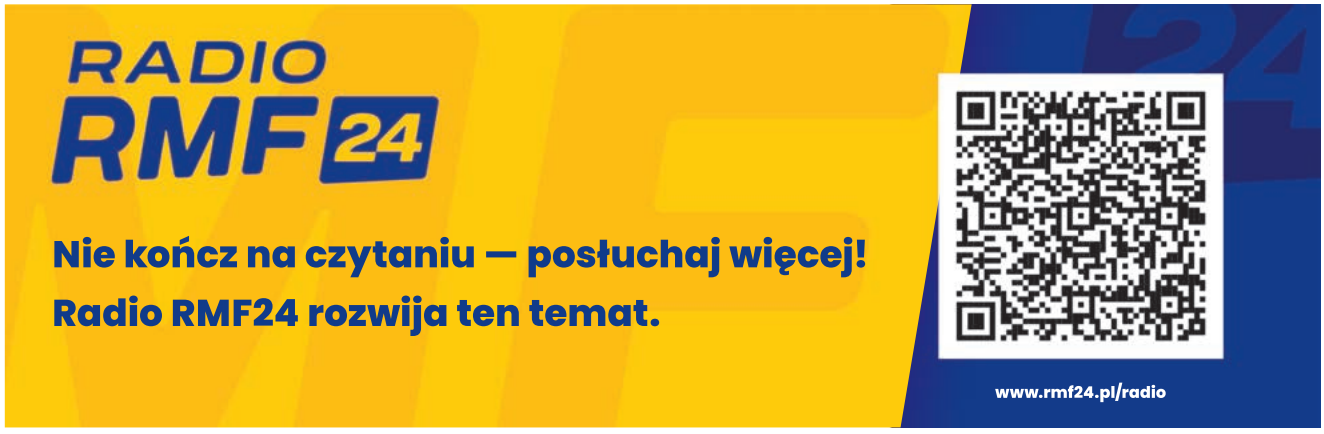

niczne, pomijając dęte. Dlatego powstawały i rozwijały się poza oficjalnym, akademickim nurtem. Dopiero od niedawna na uczelniach muzycznych tworzy się specjalizacje dla dyrygentów orkiestr dętych. Brak profesjonalnego wsparcia odbijał się na poziomie wykonawczym, co utrwalało negatywne opinie o tego typu zespołach. Ich siłą była za to pasja kapelmistrzów, często samouków.

Częściej niż muzykolodzy interesowali się nimi socjologowie, dostrzegając, że orkiestry amatorskie pełnią w społeczeństwie potrójną rolę: społeczno-integracyjną, edukacyjną i tożsamościowo-kulturową.

Prof. Tomasz Szlendak z UMK w Toruniu uważa je za fundamentalny element życia kulturalnego, zwłaszcza w miejscach, gdzie jedyną alternatywą są telewizja i internet. Orkiestry wpisują się w koncepcję „kotwic kulturalnych", rozwijaną przez toruńskiego socjologa od ponad dekady – miejsc, wspólnot i inicjatyw, które decydują o lokalnej tożsamości i stymulują życie społeczno-kulturalne w małych miejscowościach.

Wspólne muzykowanie integruje silnie zwłaszcza młodzież, budując przyjacielskie więzi i stając się platformą dialogu i komunikacji wychodzących poza media społecznościowe.

Dla wielu osób granie w orkiestrze to jedyna możliwość bezpłatnego dostępu do kultury i edukacji muzycznej: poznania nut, rozwijania słuchu, pamięci muzycznej, poczucia rytmu. A także poszerzania horyzontów i uwrażliwiania na sztukę.

Chodzi zresztą nie tylko o muzykę. Także o budowanie wiary we własne siły i umiejętności, kluczowej w każdej dziedzinie życia. A nawet o poprawę sprawności fizycznej i zdrowia (kształtowanie prawidłowej postawy ciała czy ćwiczenia oddechowe, zwiększające pojemność płuc).

– Nie można też zapominać o roli liturgicznej – podkreśla ks. Ciołczyk. – Dla mnie to chyba najważniejsze, że nasza parafialna orkiestra nie tylko uświetnia uroczystości, ale że dzięki niej nasza modlitwa nabiera jeszcze innego wymiaru.

Przymknąć oko

– Praca z amatorami jest ciekawsza niż z muzykami profesjonalnymi – mówi Przemek. – Muzyk zawodowy ma po prostu przyjść przygotowany, jeśli nie, mogę go nawet wyrzucić. W końcu za to bierze pieniądze, mniejsze lub większe, ale to jego praca. Tutaj wszystko tworzymy od podstaw. We wrześniu zaczynamy rozczytywanie repertuaru, potem mamy cztery miesiące prób, i wreszcie koncert, na którym każdemu zależy, więc każdy potrafi się spiąć. Wtedy najbardziej czuję, że warto. Dostaję takiego kopniaka energii.



ARTUR JURECKI / ARCHIWUM PRYWATNE

PRZEMYSŁAW DRABCZYK
KAPELMISTRZ:

Nie zdarzyło się, byśmy kogoś nie przyjęli. Jak nie idzie na trąbce, proponujemy puzon.

Z orkiestrą w Leńczach pracuje od niedawna, widzi więc, ile rzeczy jest wciąż do poprawienia. Martwią go braki kadrowe. Z tego powodu na razie nie jeżdżą na konkursy czy festiwale. Przyjdzie na to czas, może za rok. Przeglądy orkiestr to zawsze szansa, by poznać innych, nauczyć się od lepszych. Ale na razie chcą po prostu razem grać i występować. Poza tym każdy wyjazd to dodatkowe koszty.

– Zakup instrumentów częściowo dofinansowała parafia, częściowo gmina. Sylwia, nasza prezeska, pisze wnioski o granty, czasem uda się z tego opłacić autokar. Marzy nam się wyjazd za granicę, na Słowację czy Chorwację. Albo nawet do Włoch. Ale tu już nie wystarczy 5 czy 10 tys. złotych. Tylko kilka razy więcej.

Dobrze wie, że prowadzenie amatorskich orkiestr to hobby, do którego raczej trzeba dokładać. Ale nie wyobraża sobie bez tego życia.

– W ruchu amatorskim główną rolą kapelmistrza nie jest wcale dyrygowanie podczas występu czy prowadzenie orkiestry na przemarszu. To przede wszystkim przygotowanie zespołu, czasem uczenie ich od podstaw. I nieważne, że nieraz trzeba przymknąć oko, bo komuś coś nie do końca wychodzi. Najważniejsza jest satysfakcja, gdy coś razem, wspólnymi siłami, uda nam się dokonać.

Radykalna cielesność muzyki

Orkiestry dęte lekceważone są nie tylko przez muzykologów. Te kościelne często spotykają się z zarzutem, że nie wyrażają żadnej „duchowości", przeszkadzają w modlitwie, hałasują. Że są symbolem Kościoła maszerującego triumfalnie przez miasta i wsie.

Niewielu teologów miało ochotę zgłębiać temat. A jeśli już, to poprzestawali na nawiązaniu do króla Dawida, który kazał wielbić Boga na trąbach i rogach. Św. Augustyn w swoich komentarzach do Psalmów pisał, że instrumenty dęte brzmią dzięki tchnieniu, dlatego są symbolem Ducha Świętego.

Modlitwa Dawida była hałaśliwa, radosna i multiinstrumentalna. Do dziś zresztą taka jest liturgia chrześcijan na Wschodzie i Południu, gdzie modlitwa angażuje nie intelekt, ale ciało i zmysły.

Cisza jest jedną z form modlitwy, choć nie jedyną. Dominującym modelem stała się dość późno, w pietystycznej reakcji na Oświecenie.

Jeremy Begbie, anglikański teolog badający wzajemne oddziaływania muzyki i teologii, w książce „Teologia, muzyka i czas" pisze o „radykalnej cielesności muzyki". Jej rolą nie jest przenosić nas w inny wymiar. Wręcz przeciwnie – ma być zakorzeniona w fizyczności tego świata. Idea „cielesności muzyki" w sposób szczególny odpowiada chrześcijaństwu – religii głoszącej Boga, który przyjął ludzkie ciało.

Instrumenty dęte są tej cielesności szczególnym wyrazem, bardziej nawet niż organy: wymagają większej fizycznej siły i wspólnego, zsynchronizowanego oddechu. Wspólnotowość i egalitarność to być może najważniejsze kategorie teologiczne (eklezjalne), jakie można przykładać do parafialnych orkiestr, które są takie jak Kościół: różnorodne, niedoskonałe, ale odważnie i radośnie głoszące Dobrą Nowinę. Nawet jeśli w nieco uproszczonej albo i ułomnej formie.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

W rozmowie uczestniczyli: Przemysław Drabczyk (kapelmistrz), Kasia Boro (saksofon), Sylwia Boro (trąbka), Amelia Leńczowska (klarnet), Konrad Czarniak (trąbka), Jerzy Zięba (instrumenty perkusyjne), Aleksander Piekarski (puzon).



TEREBESS.HU/ // MONTAŻ „TP"

DAISETZ TEITARO SUZUKI (1870-1966) – uczeń Soyena Shaku, profesor uniwersytetu Otani w Kioto, znawca filozofii Wschodu i Zachodu, sanskrytu i języka palijskiego, które pozwoliły mu dotrzeć do źródeł buddyzmu.

TO SZÓSTA CZĘŚĆ CYKLU O HISTORII ZACHODNIEJ MEDYTACJI.
W poprzedniej (nr 18/2026) opowiadaliśmy o tym, jak wypaleni kolonizatorzy z Zachodu zwrócili się ku mądrościom ludów, którymi rządzili, o atrofii kontemplacji chrześcijańskiej u początku XX w., i o innych zwiastunach współczesnej mody na dalekowschodnią medytację.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy: co w świecie medytacji działo się pomiędzy Władywostokiem a Petersburgiem, o „Opowieściach pielgrzyma" Arsenija Trojepolskiego oraz o praktykach medytacyjnych sufizmu.

Wszystkie teksty z cyklu dostępne na www.tyg-pow.pl/medytacja

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Zen dla wszystkich

MACIEJ BIELAWSKI

HISTORIA MEDYTACJI | Zen sprawił, że mistyka trafiła rzeczywiście pod strzechy.

W dwudziestoleciu międzywojennym rozwój i rozprzestrzenianie się buddyzmu zen i jego medytacji dokonywały się równolegle w różnych miejscach i na różny sposób. Było to tak, jakby rozsiane kwiaty tego samego gatunku, lecz o różnych kolorach, zaczęły rozkwitać w odrębnych i oddalonych od siebie ogrodach.

Profesor praktyk

W Japonii rozwinął działalność wspomniany już we wcześniejszym odcinku Daisetz Teitaro Suzuki (1870-1966). Po swoich podróżach do USA wraz z Soyenem Shaku, pobytach w Europie i ukończonych studiach został on profesorem uniwersytetu Otani w Kioto. Był dobrze wykształcony: znał filozofię wschodnią i zachodnią, sanskryt, palijski i chiński, co pozwalało mu studiować źródła buddyzmu. Doskonale wpisywał się w renesans duchowy, który dochodził do głosu w buddyjskich ośrodkach Japonii: coraz więcej uwagi poświęcano praktyce medytacji i zgłębiano dawne teksty, w tym także te napisane przez średniowiecznego mistrza Dogena.

D.T. Suzuki nie zajmował się bezpośrednio propagowaniem medytacji, jednak był jej oddanym praktykiem. Wraz z żoną, Beatrice Erskine Lane (1878-1939), Amerykanką z New Jersey i buddystką, zostali członkami Towarzystwa Teozoficznego, a w 1920 r. założyli Eastern Buddhist Society, które prowadziło seminaria, odosobnienia medytacyjne, publikowało książki i wydawało czasopismo.

Suzuki i jego żona byli płodnymi pisarzami, a ich prace bardzo przyczyniły się do rozpropagowania buddyzmu mahajany i szeroko pojętej kultury zen, tak bardzo skoncentrowanej na medytacji. Tylko w latach 1927-1934 Suzuki napisał i wydał „Essays in Zen Buddhism" (trzy tomy), „Lankavatara Sutra from the original Sanskrit", „An Introduction to Zen Buddhism", „Training of the Zen Buddhist Monk" i „Manual of Zen Buddhism". Natomiast jego żona opublikowała między innymi „Buddhism and Practical Life", „Buddhist Readings" i „Mahayana Buddhism". Dzieła te były wydawane po angielsku i rozprowadzane tak w Wielkiej Brytanii, jak i w USA.

Kwintesencja religii

Autor „Wprowadzenia do Buddyzmu Zen" w swoich tekstach prezentował zen w odnowionej szacie i mówił o nim w sposób przystępny dla czytelnika zachodniego, ukazując zarazem analogie i związki z filozofią, duchowością i psychologią Zachodu. W sposób bardzo przekonujący dowodził, że zen jest esencją buddyzmu, którą można wyłuskać z jego zewnętrznych form właściwych kulturze Japonii, a tym samym jest nurtem na wskroś uniwersalnym. Pisał: „Zen utrzymuje, że jest duchem buddyzmu, lecz w gruncie rzeczy jest on duchem wszystkich religii i systemów filozoficznych. Gdy zrozumiemy go całkowicie, osiągamy absolutny spokój duszy i żyjemy tak, jak należy. Czegóż więcej możemy pragnąć".

Istotą zen była według niego medytacja, która gorliwie praktykowana, prowadzi do oświecenia, czyli doświadczenia radykalnie

zmieniającego widzenie świata i sposób bycia w nim. Wpływ pism Suzukiego na rozprzestrzenianie się buddyzmu i medytacji pozostaje ogromny także dziś.

Imigranci z Japonii w USA

Obecność buddyzmu zen w USA w pierwszej połowie XX wieku była ściśle związana z japońskimi imigrantami. Aby zapewnić im opiekę duchową, klasztory wysyłały tam swoich misjonarzy, którzy poza sprawowaniem rytów towarzyszących istotnym zdarzeniom, jak narodziny, ślub czy śmierć, propagowali także medytację. Która, co zastanawiające, interesowała bardziej Amerykanów niż samych Japończyków.

Misjonarze zaczęli też pisać książki i artykuły na temat buddyzmu i były to teksty całkiem poczytne. Dla przykładu: działający w Kalifornii Nyogen Senzaki (1876-1958) wydał książeczkę „101 historii zen" (1919), która do dziś cieszy się mianem bestsellera. Zarazem zorganizował on tzw. „ruchome zendo" – medytacyjne odosobnienia w różnych miejscach – a w 1930 r. założył Centrum Medytacji w Los Angeles.

Podobną działalność rozwinął Sokei-an Shigetsu Sasaki (1882-1945), który poza prowadzeniem prelekcji na temat buddyzmu i organizowaniem sesji medytacyjnych tak na wschodnim, jak na zachodnim wybrzeżu USA założył w 1930 r. Buddhist Society of America. W 1944 r. Sasaki poślubił Ruth Fuller Everett (1892-1967), która w okresie powojennym stanie się jedną z ważniejszych postaci propagujących – na różne sposoby – medytację zen w USA.

Zen na Wyspach Brytyjskich

Nie mniej ważne zdarzenia miały miejsce w Wielkiej Brytanii. W Oksfordzie pod auspicjami Maksa Müllera (1823-1900) ukazało się 50 tomów serii „Sacred Books of the East", a w Bristolu działało Pali Text Society, założone przez Williama Rhysa Davidsa (1843-1922), dzięki któremu ukazało się ponad 90 tomów najważniejszych tekstów buddyzmu therawada z transkrypcją oryginałów i ich angielskim tłumaczeniem. Po śmierci Davidsa jego dzieło edytorskie kontynuowała żona, Caroline Augusta Foley (1857-1942), dobra znawczyni języka palijskiego, a na dodatek członkini Towarzystwa Teozoficznego.

Daisetz Teitaro Suzuki o zen:

Zwykły mistycyzm był tworem zbyt kapryśnym i oderwanym od rzeczywistości. Zen to zrewolucjonizował. To, co bujało kiedyś w niebie, ściągnął na ziemię. W miarę rozwoju zen, mistycyzm przestał być mistyczny i nie jest już spazmatycznym wytworem anormalnie wyposażonego umysłu. Zen bowiem objawia się nawet w najbardziej nieciekawym i monotonnym życiu zwykłego, szarego człowieka, uświadamiającego sobie nagle, że żyje w samym środku toczącego się swoim trybem życia. Po to, aby człowiek mógł to spostrzec, zen systematycznie ćwiczy jego umysł, otwiera mu oczy na największą tajemnicę rozgrywającą się co dzień i co godzina, sprawia, iż serce rośnie tak, że każdym uderzeniem ogarnia wieczność czasu i nieskończoność przestrzeni; sprawia również, że żyjemy na tym świecie tak, jakbyśmy się przechadzali po rajskim ogrodzie. A wszystkich tych duchowych wyczynów dokonujemy nie za pomocą jakichś doktryn, lecz po prostu w najbardziej bezpośredni sposób, podkreślając zawartą w nas samych prawdę.

D.T. Suzuki, **Wprowadzenie do Buddyzmu Zen**, tłum. Małgorzata i Andrzej Grabowscy, Vis-à-vis, Kraków 2020, s. 54 (cytat w środku eseju jest ze s. 52).

Wracając jednak do buddyzmu zen i jego medytacji, chciałbym zwrócić uwagę na postać Christmasa Humphreysa (1901-1983), który zainteresował się religiami Dalekiego Wschodu jako młody chłopak, po lekturze książki „Buddha and the Gospel of Buddhism" autorstwa Anandy Coomaraswamy'ego (1877-1947). Rozczytywał się też w dziełach Heleny Bławatskiej i przystał do Towarzystwa Teozoficznego, a następnie, pod wpływem prac D.T. Suzukiego, zwrócił się ku buddyzmowi zen. W 1924 r. założył London Buddhist Lodge, która z czasem przerodziła się w Buddhist Society.

Humphreys w 1930 r. otworzył w Londynie Kółko Medytacyjne i wydał klasyczną już dziś książkę „Concentration and Meditation. Manual of Mind Development". Członkom przystającym do Kółka oferował także formację na drodze korespondencyjnej, co było nowatorskim pomysłem, który wprowadził propagowanie zen na nowe tory.

Christmas Humphreys był w dodatku znanym i cenionym sędzią, krążyło więc wokół niego wiele wybitnych postaci ówczesnego świata kultury, takich jak rosyjski malarz i myśliciel Nikołaj Konstantinowicz Roerich (1874-1947), indyjski filozof i polityk Servepalli Radhakrishnan (1888-1975), teozofka i pisarka, która stworzyła nazwę New Age, Alice Bailey (1880-1949), wspomniany już D.T. Suzuki czy Allan Watts (1915-1977), o którym będzie jeszcze szerzej mowa w późniejszych rozdziałach tej opowieści.

Codzienne ćwiczenie

Dzięki takim propagatorom, zen – mało do tej pory znana na Zachodzie i względnie marginalizowana na Wschodzie buddyjska sekta (czy raczej: jeden z nurtów buddyjskiej tradycji) – został podniesiony do rangi „czystego buddyzmu". Przypomnijmy, że samo słowo *zen* jest japońską wersja chińskiego słowa *chan*, które z kolei jest tłumaczeniem sanskryckiego słowa *dhayan*, zazwyczaj oznaczającego medytację.

Christmas Humphreys wprost mówił, że „zen jest apoteozą buddyzmu". Zarazem był to buddyzm odarty z kulturowej otoczki japońskich rytów i konwenansów, a tym samym dostępny wszystkim, niezależnie od przekonań religijnych czy filozoficznych. Aby sięgnąć do czystego źródła i wejść na drogę oświecenia, wystarczyło oddać się medytacji.

Tę ostatnią Humphreys rozumiał jako codzienne ćwiczenie, w którym umysł stara się ogołocić ze zbędnych myśli i skupić na krótkiej, paradoksalnej formule, zwanej koanem, aby tą drogą rozbić procesy racjonalnego myślenia i wejść w „pusty obłok". Medytacja przestała być refleksją czy też głębszym rozmyślaniem, a stała się „najwyższym stanem świadomości, w której człowiek jednoczy się z Ostatecznym wymiarem całej Rzeczywistości", jak pisał już wtedy wspomniany wyżej Watts w książce „The Spirit of Zen". ©

Hiszpania na rozdrożu

PAULINA GUZIK Z MADRYTU

LEON XIV | Papież odwiedza kraj spolaryzowany, rządzony przez skrajną lewicę i leczący blisko stuletnie traumy. Czy jego podróż zbliży Hiszpanów do siebie?

Lądując w Madrycie, zwanym „miastem, w którym krzyżują się drogi", papież przybył do Hiszpanii dwóch światów. Z jednej strony – tętniące nowoczesnością państwo pod rządami skrajnej lewicy. Z drugiej – kraj, w którym masowo odradza się katolicyzm: z wyboru i wśród ludzi młodych.

Jednym z pierwszych symboli hiszpańskiej ziemi, jakie Leon XIV zobaczył, pewnie jeszcze z okien samolotu lądującego w Madrycie, był krzyż w Paracuellos de Jarama. To cmentarz ofiar hiszpańskiego terroru lat 30. XX wieku, który ogniskuje większość problemów, z jakimi następca Piotra spotka się na Półwyspie Iberyjskim: rany wojny domowej, pamięć o męczennikach, do dziś trwające próby pojednania. Ale też symbol Kościoła, który od czasów Filipa II (władcy imperium, „w którym nigdy nie zachodzi słońce", i budowniczego El Escoriala, największego w Europie renesansowego budynku, gdzie królewskie gabinet i sypialnia niemal graniczą z głównym ołtarzem bazyliki) aż po Hakunę (nowoczesny ruch, ewangelizujący przez muzykę i taniec) wciąż szuka nowego języka wiary.

Punkt zwrotny

Historia Gonzala to jedna z tych opowieści, które mówią wiele o przemianie hiszpańskiego katolicyzmu. Student z San Lorenzo de El Escorial dorabia, śpiewając w tradycyjnym zespole. Spotykam go w restauracji, do której wszedł z przyjaciółmi, by zaśpiewać zebranym tam dziennikarzom – zjechaliśmy się z całego świata, by relacjonować papieską wizytę.

– Jestem katolikiem, więc jestem niesamowicie podekscytowany przyjazdem papieża – odpowiada Gonzalo na pytanie o emocje, jakie towarzyszą papieskiej pielgrzymce. Augustianin, o. Pedro Alberto Sánchez, organista i absolwent Królewskiego Konserwatorium w Madrycie, widzi w tym znak czasu. – Coś się zmienia w Hiszpanii – mówi „Tygodnikowi". – Młodzi coraz liczniej uczestniczą w uroczystościach religijnych. Widzę też w nich coraz mniejszy strach przed identyfikowaniem się jako wierzący i jako katolicy.

– Gonzalo jest najlepszym przykładem tej zmiany. Jeszcze kilka lat temu nie usłyszelibyście od niego takiego świadectwa – dodaje o. Sánchez.

Twarde liczby

Mimo że wciąż ponad 50 proc. Hiszpanów deklaruje się jako katolicy, praktykuje zaledwie 18,7 proc. W ciągu ostatnich lat odsetek katolików spadł o 15,8 proc., liczba chrztów zmalała o połowę (z 325 271 w 2007 r. do 159 693 w 2024 r.), spada też liczba księży (z 19 121 do 14 994) i misjonarzy. Jednocześnie Kościół ponad dwukrotnie zwiększył liczbę ośrodków charytatywnych – do 9 060 – niosących pomoc ponad 3,8 mln potrzebujących.

Arcybiskup Valladolid Luis Argüello, przewodniczący hiszpańskiego episkopatu, mówi o „Kościele na rozdrożu". W rozmowie z niewielką grupą dziennikarzy, w tym z autorką „Tygodnika", powiedział: – Kościół hiszpański przez kilka ostatnich dekad musiał szukać miejsca w nowym kontekście społecznym, ekonomicznym i politycznym, co oznacza, że z jednej strony się skurczyliśmy, ale z drugiej – w ciągu ostatnich dwóch lat zaobserwowaliśmy pragnienie zbliżenia się do Kościoła w młodszych pokoleniach.

– Wizyta papieża będzie wspaniałym momentem, który wesprze całą misyjną drogę Kościoła w Hiszpanii – podsumował.

Socjolog Narciso Michavila, szef ośrodka GAD3, tłumaczy tę zmianę jednym zdaniem: – Relacja Hiszpanów z religią jest dziś bardziej nabyta niż odziedziczona. Wiara jest coraz częściej wybierana, a nie przyjmowana poprzez społeczną inercję.

Dodaje też, odpowiadając na pytania „Tygodnika", że wprawdzie trudno mówić o „masowym powrocie", jednak wyraźne jest „zainteresowanie liturgią, nowymi wspólnotami, pielgrzymkami, muzyką, mediami społecznościowymi i publicznym wyrażaniem wiary".

Kraj procesji

Hiszpania, która wita Leona XIV w Madrycie, Barcelonie i na Wyspach Kanaryjskich, to kraj, w którym, owszem, sekularyzacja zaszła daleko, ale procesje nadal potrafią zatrzymać ruch bardziej niż niejedna manifestacja.

– To prawda, że proces sekularyzacji jest silny – przyznaje Sara de la Torre, rzeczniczka archidiecezji madryckiej. – Ale prawdą jest również, że z roku na rok rośnie liczba osób biorących udział w uroczystościach Wielkiego Tygodnia czy Bożego Ciała.

W Madrycie ta ostatnia odbywa się w niedzielę, po mszy na Plaza de Cibeles. To także jeden z centralnych momentów papieskiej pielgrzymki i „wielka manifestacja Kościoła na ulicy, Kościoła pośród świata", jak mówi abp Argüello, uznając głoszenie Ewangelii na forum publicznym za jedno z najważniejszych wyzwań hiszpańskiego Kościoła.

W galicyjskim Ponteareas kwiatowi mistrzowie, zwani *alfombristas*, ułożyli, z pomocą 160 wolontariuszy, z ponad 30 tys. goździków szesnaście kwiatowych dywanów z eucharystycznymi motywami. W latach 80. podobnymi dywanami witany był Jan Paweł II w Santiago de Compostela. Sama tradycja ma ponad 200 lat.

Innym obrazem, jaki zapamiętamy z wizyty Leona, będzie procesja z figurami Matki Bożej Almudeńskiej i Jezusa z Medinaceli, dwoma największymi religijnymi symbolami stolicy Hiszpanii, niesionymi na tradycyjnych platformach *pasos* przez ikoniczny stadion Santiago Bernabéu Realu Madryt. Symbol łączenia dróg i czasów.

Na Bernabéu za plecami Leona słychać było także dźwięki orkiestry i głosy liczącego tysiąc osób chóru. Jego częścią są m.in. młodzi ludzie ze wspomnianego już ruchu Hakuna, któremu – jak mówią



SIMONE RISOLUTI / AFP / EAST NEWS

Papież Leon XIV podczas spotkania z przedstawicielami świata sztuki. Madryt, 7 czerwca 2026 r.

„Tygodnikowi" organizatorzy papieskiej pielgrzymki – Hiszpania zawdzięcza „odnowione zaangażowanie religijne młodych dorosłych".

Duży ból

Najbardziej spektakularnym obrazem tej pielgrzymki stanie się jednak prawdopodobnie msza w słynnej Sagrada Familia w Barcelonie. Leon XIV zamknie tam klamrą historię papieskich wizyt i wpływu Rzymu na świątynię, zaprojektowaną przez duchowego giganta Antoniego Gaudíego. Kamień węgielny pod bazylikę położono w 1882 r., za pontyfikatu Leona XIII. Jego imiennik poświęci mierzącą 170 metrów Wieżę Jezusa Chrystusa, ostatni etap trwającej od 144 lat budowy. Stanie się to dokładnie w 100. rocznicę śmierci słynnego barcelońskiego architekta, kandydata na ołtarze.

Gdy Jan Paweł II odwiedzał Sagradę w 1982 r., świątynia nie miała jeszcze dachu. W 2010 r. Benedykt XVI konsekrował jej ołtarz. Duży ból sprawił Hiszpanom Franciszek – hiszpańskojęzyczny papież nigdy do ich kraju nie przyjechał. Co dodatkowo tłumaczy entuzjazm, z jakim dziś witany jest tam Leon.

El Corte Ingles, największa sieć ekskluzywnych domów handlowych Hiszpanii, przekazała na organizację pielgrzymki milion euro. Organizatorzy zebrali zresztą kwotę 12 razy większą. Na kilka dni przed przyjazdem papieża brakowało im jeszcze trzech milionów, ale – jak zapewniali „Tygodnik" – nie spodziewano się większych problemów w pozyskaniu funduszy: – Ludzie wiedzą, że głos papieża jest Hiszpanii potrzebny, i nie szczędzą na ten cel pieniędzy.

Port Nadziei

Ostatnim etapem podróży Leona XIV będą Wyspy Kanaryjskie, którym daleko, nie tylko geograficznie, od splendoru Madrytu i nowoczesności Barcelony. Barokową pobożność stolicy i modernistyczne wizje Gaudíego zastąpią surowe obrazy z miejsca, w którym dokonuje się jeden z aktów największego współczesnego dramatu Europy.

To właśnie na Gran Canarię i Teneryfę docierają w drewnianych *cayucos* tysiące Afrykańczyków, ryzykujących życie w podróży przez Atlantyk.

Trzy takie łodzie, „zacumowane" przy papieskim ołtarzu podczas końcowej mszy w Santa Cruz de Tenerife, będą cichym, ale mocnym znakiem współczesnych czasów i zmian, jakie się dokonały na wyspach w ostatnich latach. Leon XIV odwiedzi też ośrodki przyjęć migrantów i spotka się z organizacjami, które towarzyszą im w drodze na europejski kontynent. Papież pojedzie także do portu Arguineguín, który w 2020 r. stał się międzynarodowym symbolem kryzysu migracyjnego.

– Znany był jako Przystań Wstydu – mówi „Tygodnikowi" organizatorka Enélida Hernández. – Chcemy, aby teraz stał się Portem Nadziei.

W jednym zdaniu Hernández streściła też emocje, jakie towarzyszą nie tylko mieszkańcom Wysp Kanaryjskich: wielu Hiszpanów oczekuje od papieskiej wizyty znaku nadziei.

Nieprzepracowana trauma

Najgłębszą raną hiszpańskiej pamięci i największym powodem podziałów społecznych pozostaje jednak tamtejsza wojna z lat 1936-39. – Pomimo upływu dziesięcioleci od jej zakończenia hiszpańska wojna domowa wciąż krwawi w społeczeństwie, podsycając jego polaryzację – mówi „Tygodnikowi" Alberto Ruiz-Gallardón, prawnik i były burmistrz Madrytu.

Paracuellos de Jarama, które Leon XIV widział z samolotu, to jedno z najważniejszych cmentarzysk ofiar przemocy czerwonego terroru lat 30. Jak podkreślają moi hiszpańscy rozmówcy, „każda hiszpańska rodzina miała wtedy swoich zmarłych". ↦

↦ Ci, którzy przetrwali, byli zbyt straumatyzowani, by mówić o brutalnej przemocy, jaka spotkała ich bliskich. Ruiz-Gallardón nie wiedział przez lata, że nosi imię po stryju, zabitym przez republikańskie lewicowe bojówki. Ojciec nie chciał na ten temat rozmawiać. – Myślę, że wojna domowa, która jest największą tragedią, jaka może spaść na kraj, nigdy nie kończy się czyimś zwycięstwem. W wojnie domowej wszyscy tracą – zaznacza Ruiz-Gallardón.

Po śmierci nacjonalistycznego dyktatora Francisco Franco i przejściu do demokracji Hiszpania próbowała leczyć rany amnezją, jak też szczerym staraniem ludzi pamiętających tamten czas, by uniknąć wendety z którejkolwiek strony. Wczesne lata dwutysięczne przyniosły odwrót: rząd José Luisa Rodrígueza Zapatero sięgnął po pamięć wojny, uznając ją za świetną strategię wyborczą, budującą tożsamość polityczną Hiszpanów.

– Wprowadzenie wojny domowej w XXI wieku było największym historycznym błędem, jaki popełniliśmy ostatnio my, Hiszpanie, w kwestii narodowego współistnienia – mówi Ruiz-Gallardón. – Narzucanie innym swojego dyskursu przez jedną osobę nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem – dodaje.

Męczennicy wojny

W Paracuellos de Jarama pamięć społeczna spotyka się z pamięcią Kościoła: wojna lat 30. oznaczała dla hiszpańskiego katolicyzmu jedną z najcięższych fal prześladowań w XX wieku. Republikański terror wymazał z powierzchni ziemi niemal całe diecezje, zginęły tysiące księży i świeckich liderów katolickich. Po zwycięstwie nacjonalistów Kościół na dekady związał się z reżimem Franco, czego ślady widać do dziś.

– Zabito ich z nienawiści do wiary – mówi Lourdes Grosso García, dyrektorka biura ds. kanonizacyjnych hiszpańskiego episkopatu. Dodaje, że do końca 2026 r. beatyfikowanych ma zostać blisko 2,5 tys. męczenników wojny domowej, w tym 80 z diecezji Santander, których męczeństwo niedawno uznał Leon XIV. A to tylko część z ponad 10 tys. podobnych spraw, którymi zajmuje się Kościół. – Ale męczennicy nie są świadkami zła, tylko miłości Boga – dodaje Grosso.

Liczy na przesłanie pojednania, jakie przynosi Hiszpanii głowa Stolicy Apostolskiej. Może ono przynieść Hiszpanii „rewolucję dialogu", w czasie, gdy rząd Pedro Sáncheza z jednej strony deklaruje się jako sojusznik papieża w kwestiach pokoju, a jednocześnie przyjmuje gigantyczną liczbę antyklerykalnych ustaw oraz wspiera dostęp do aborcji i eutanazji.

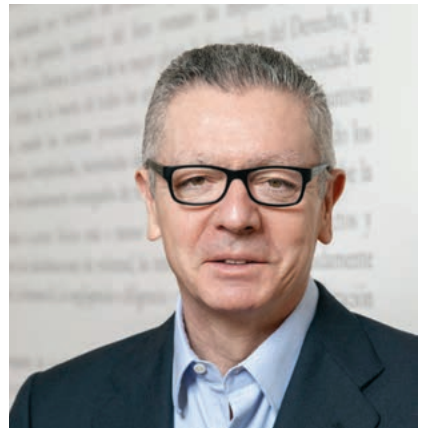

ARCHIWUM PRYWATNE

ALBERTO RUIZ-GALLARDÓN,
BYŁY BURMISTRZ MADRYTU:
Wierzę, że fundamentalną zmianą, jaką papież może przynieść Hiszpanii, będzie wyzbycie się przez katolików strachu przed wyznawaniem swojej wiary.

Głos katolików

Hiszpania, która wita papieża, jest bowiem w dużej mierze krajem, w którym katolik ma coraz mniej do powiedzenia w debacie publicznej. Ale też coraz rzadziej sam zabiera w niej głos. – Dzisiejsza Hiszpania potrzebuje papieża jeszcze bardziej niż w 1982 r. – ocenia Ruiz-Gallardón. – Dziś jesteśmy atakowani nie fizycznie, ale ideologicznie i intelektualnie. Paradoksalnie, wywołuje to bunt duchowy, przede wszystkim wśród młodych ludzi. Ale ci młodzi potrzebują wsparcia, wzoru do naśladowania i kogoś, kto odważnie zadeklaruje, że będzie ich wspierać. Dlatego tak bardzo potrzebujemy dziś Leona XIV.

Papież, twierdzą zgodnie moi rozmówcy, może stać się prawdziwym pontifeksem – budowniczym mostów – który pokaże, że spory polityczne nie muszą dzielić Hiszpanów w dążeniu do dobra wspólnego.

Ruiz-Gallardón nie liczy na natychmiastowe efekty legislacyjne papieskiego przyjazdu. – Siła, jaką może wnieść Leon, leży nie tyle w konkretnych zmianach w trwających obecnie procesach legislacyjnych, co raczej w zmianie sposobu myślenia obywateli – tłumaczy. – Wierzę, że fundamentalną zmianą, jaką papież może przynieść Hiszpanii, będzie wyzbycie się przez katolików strachu przed wyznawaniem swojej wiary. Jeśli my, katolicy w Hiszpanii, będziemy tchórzliwie milczeć, to ci, którzy myślą inaczej niż my, będą mogli robić, co chcą, bez narażania się na jakiekolwiek zarzuty. Bo politycy zawsze tłumaczą się, że robią tylko to, czego chce większość obywateli – dodaje Ruiz-Gallardón.

Abp Argüello w podobny sposób mówi o drodze Kościoła: że trzeba „się pozbierać" i „wyjść z Ewangelią, być znakami spotkania, dialogu i pojednania w społeczeństwie, które z powodu napięć politycznych jest być może nadmiernie spolaryzowane, a nawet boi się dyskutować o pewnych kwestiach z obawy przed konfliktami".

Nowe misje

„Hiszpania była i miejmy nadzieję, że nadal będzie krajem bardzo misyjnym" – powiedział jakiś czas temu Leon XIV do ks. José Marrí Calderóna, krajowego dyrektora Papieskich Dzieł Misyjnych w Madrycie. W świecie, który coraz chętniej mówi językiem wojen kulturowych, Hiszpania – z jej krzyżem w Paracuellos, kwiatami na stołecznej Calle Alcalá i *cayucos* przy ołtarzu w Santa Cruz – może stać się dla papieża idealnym miejscem, by powiedzieć, co naprawdę znaczy „być krajem misyjnym" i „szukać dobra wspólnego".

Leon XIV sam jest papieżem-misjonarzem. Nie tylko dlatego, że przez lata był arcybiskupem misyjnej, peruwiańskiej diecezji. Także ze względu na podróże, jakie odbył będąc generałem augustianów. W samej Hiszpanii był 50 razy, odwiedzając ponad 30 miast (jedynym krajem, w którym jako Robert Prevost był więcej razy, są Włochy).

To doświadczenie sprawiło, że gdy mówi o „narodzie misyjnym", nie ma na myśli tylko czasów „imperium, nad którym nie zachodziło słońce", ale misję tu i teraz, która od pierwszych chwil połączy Hiszpanów na nowo w jedną wspólnotę.

© PAULINA GUZIK

O. WACŁAW

Oszajca:
Szybcy w karaniu



Jezus, „widząc wielkie tłumy ludzi, litował się nad nimi, gdyż byli udręczeni i porzuceni jak owce, które nie mają pasterza. Wtedy powiedział do uczniów: »Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście więc Pana żniwa, aby wysłał robotników na swoje żniwo. (...) Nie chodźcie do pogan i omijajcie miasta samarytańskie. Idźcie natomiast do zagubionych owiec z narodu izraelskiego. Idźcie i głoście: Nadchodzi już królestwo niebieskie«”.

Naród izraelski, jak wtedy każdy inny, miał pasterzy zarówno religijnych, jak i politycznych, ale ci rządzący nie zawsze pamiętali, że władza pochodzi od Boga i dawana jest człowiekowi na zasadzie dziedziczenia czy wyboru. Nie wynika z tego jednak, że ten, kto otrzymuje ten Boży dar, staje się właścicielem władzy, czy to politycznej, czy religijnej/duchowej. Jedyny władca Jezus do każdego chrześcijanina, a do polityka szczególnie, mówi to samo: „Świętymi bądźcie, bo Ja jestem święty”. A na czym ta świętość polega, łatwo się przekonać, analizując konflikt, w jaki – Jezus – popadł z przywódcami religijnymi i świeckimi, z klerem i politykami, oraz konflikt i kryzys wewnątrz zespołu dwunastu, spowodowany przez Judę Iskariotę. Posyłając apostołów, Jezus mówi, że ich praca, podobnie jak żniwiarzy, polega na zebraniu zboża, które zasiał ktoś inny. Nie idą więc na swoistą wyprawę krzyżową, żeby ogniem i mieczem zmuszać innych do nowej wiary, ale żeby ciesząc się obfitością plonu, dołożyć swój udział. A że praca poprzednich pokoleń i przywódców wydała dobry plon, świadczy wystąpienie Gamaliela w obronie apostołów sądzonych przez Wysoką Radę.

„»Izraelici, zastanówcie się dobrze – mówił faryzeusz Gamaliel – nad tym, co zamierzacie uczynić z tymi ludźmi (...) radzę wam: zostawcie tych ludzi w spokoju i uwolnijcie ich. Bo jeśli jest to sprawa i wymysł ludzki, pójdzie w zapomnienie. Jeśli jednak rzeczywiście pochodzi od Boga, nie zdołacie ich zniszczyć, a z czasem może się okazać, że walczyliście z Bogiem«. I usłuchali go”. To zastanawiające, Gamaliel mówi w tym samym duchu, w jakim Jezus zwrócił się do Judy, gdy podszedł do Niego, żeby Go wydać: „Przyjacielu, po co przychodzisz?”. Jednak „przyjacielu”. Może warto by o tym pamiętać, zanim zacznie się kogokolwiek ekskomunikować. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Kapłański lewirat



Środa minionego tygodnia. W liturgii mszy świętej Ewangelia o prawie lewiratu: „Przyszli do Jezusa saduceusze i pytali Go w ten sposób: »Nauczycielu, Mojżesz tak nam przepisał: Jeśli umrze czyjś brat i pozostawi żonę, a nie zostawi dziecka, niech jego brat pojmie ją za żonę i wzbudzi potomstwo swemu bratu...«” (zob. Mk 12, 18-27). Grzegorz Wielki wykładał to prawo jako ważną alegorię objaśniającą misję kapłańską. W tym wykładzie bratem, który odszedł, jest Chrystus; pozostawioną przez Niego żoną – Kościół. Kapłan jest tym, który ma Chrystusowi „wzbudzić potomstwo”. Jemu, nie sobie! Prawo lewiratu wymagało bezinteresowności: brat zmarłego wiązał się w małżeństwo z wdową nie dla siebie, lecz dla tego, który odszedł bezpotomnie. I dzieci urodzone z tego małżeństwa nie należały do niego, lecz do zmarłego brata. Dziedziczyły majątek po zmarłym oraz kontynuowały/przedłużały dorobek jego życia i pracy. Sprawiały, że „nie cały odszedł”; dzięki dzieciom jego życie i śmierć stawały się owocne.

Tam, gdzie relacje między księdzem a wiernymi są dobre i sensownie przeżywane; tam, gdzie się stały prawdziwymi relacjami (bliskimi, głębokimi, bezpośrednimi) – tam bardzo często dla ich wypowiedzenia pojawia się słowo: „Ojcze!”. I dobrze. Pamiętać jednak potrzeba, że ostatecznie jedynym „Ojcem” (*Pater familias*) w Kościele jest i musi pozostać Jezus. Wszyscy wierni – z kapłanami włącznie – są ostatecznie Jego potomstwem, które ma przedłużać Jego obecność w świecie; zapewniać ciągłość i żywotność Jego dziedzictwu. W ostateczności liczy się życie, które od Niego otrzymujemy. Ksiądz posługuje przekazowi tego życia – ale ono od niego nie pochodzi. Zatrzymując ludzi przy sobie – ich uwagę na sobie – na tym, co my sami z siebie potrafimy im dać, stajemy się złodziejami, a nie pasterzami ludzi.

Za ostro? Grzegorz Wielki pisze jeszcze ostrzej! Do człowieka, który ociąga się z podjęciem tak rozumianego powołania, Kościół przychodzi i mówi: „Wzbudź potomstwo swojemu Bratu!”. A kiedy on się wymawia – nie widzi się ani w tym powołaniu, ani nie odnajduje się w jego logice, to wtedy, mówi Grzegorz, „niewiasta-Kościół pluje mu w twarz”. To nie jest „zła nowina” – to bardzo „dobra nowina” o Bogu i Kościele, wołających nas do bezinteresownej służby przekazywania życia, które nie jest z nas. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

WOJCIECH

Bonowicz: *Pytania*



„Dużo jeździsz?”. „No jeżdżę, ale czy dużo? Nie, chyba nie”. „Eee nie mów, widzę, że ciągle jesteś w rozjazdach”. „Jestem. Ale w domu też jestem. Właściwie w domu jestem częściej niż w podróży”. „Jak częściej, jak widziałam, że dopiero byłeś w Warszawie, i potem drugi raz, i Katowice, i teraz Wisła?”. „To tylko tak wygląda. Jak są książki, to muszę trochę pojeździć. Ale głównie siedzę na wsi”.

Nie wierzy. Nie wierzy, że siedzę. Zresztą co to za siedzenie? Nie ma kultury siedzenia, jest kultura ruchu. Jak ktoś się nie rusza, to nie żyje. No chyba że ma bardzo konkretny cel, np. o ogród dba albo dom buduje. „Co robiłeś w weekend?”. „Leżałem i gapiłem się na koty”. „Nie wygłupiaj się”. „A co miałem robić?”. „No pojechać gdzieś, zobaczyć coś”. „Ja już wszystko widziałem”. „Ha ha ha”. Takie rozmowy.

Ja naprawdę już prawie wszystko widziałem. I nie, żeby reszta mnie nie ciekawiła. Ciekawi mnie. A nawet zależy mi; pisałem o tym ostatnio. Ale czy na świecie jest aż tyle rzeczy, których nie ma u mnie na wsi? Piszę ten felieton, leżąc na tarasie, a obok leżą trzy koty i jeszcze czwarty na parapecie. To po co ja mam do Stambułu jeździć, jak u mnie prawie to samo, co w Stambule?

Dwa numery temu mówiła o tym w „Tygodniku” Paulina Małochleb. Żyjemy „w przestrzeni, która faworyzuje zmianę, ruch i rozwój. Nie możesz powiedzieć: a ja teraz jestem w stagnacji. Musisz się zmieniać, rozwijać. A jak na kogoś wpadamy na ulicy, to pytamy: co robisz? Czym się zajmujesz? Nie usłyszysz w odpowiedzi: a nic takiego... odbieram dzieci z przedszkola i chodzę z nimi na trzy godziny na plac zabaw. Siedzę, patrzę, jak się bawią...”.

Czytając tę rozmowę, przypomniałem sobie siebie jako młodego ojca. Bo byłem takim ojcem, który odbierał, na plac zabaw chodził, drugi obiad podawał. „Co robisz?”. „Zajmuję się synkiem”. „Poważnie?! Nigdzie nie pracujesz?!”. Pamiętam te zdziwienia. Chociaż od razu muszę dodać, że na mężczyznę, który „został w domu” i zajmuje się dziećmi, patrzono także z podziwem. Nierówność i w ten sposób się wyrażała: kobieta m i a ł a zostać w domu z dziećmi, a mężczyzna m ó g ł . To był początek lat 90. i na placu zabaw byłem prawie zawsze jedynym mężczyzną. Czasem przychodził policjant albo kierowca, bo pracowali na zmiany. A tak to ja i panie, panie, panie... Dużo się wtedy dowiedziałem o kobiecej perspektywie. Dobrze by zrobiło każdemu mężczyźnie, gdyby tak posiedział i posłuchał.

Bo ja jak siedzę, to słucham. Oczywiście na wsi słucham głównie ptaków. Nie mogę się nadziwić, ile one mają energii. A to wszystko też w związku z dziećmi przecież. Chodzą nieraz te ptaki między śpiącymi kotami, kotom nawet nie chce się ruszyć, to dopiero stagnacja. Jest u mnie mnóstwo kosów, drozdów, sikorek, nawet i dzięcioł się trafi, choć ten akurat ostrożny. Słucham ptaków, a jak już się nimi nasycę, to mogę iść między ludzi i posłuchać, co oni z kolei mają do powiedzenia. Byle za dużo pytań nie zadawali.

Ludzie pytają i to jest sympatyczne, ale... Jest sympatyczne wtedy, kiedy pytają nie dlatego, że tacy wścibscy, tylko żeby jakoś zagaić. Jak ktoś jest zbyt dociekliwy, to ja się zamykam. Albo jak chce zawstydzić – niby pyta, ale tak naprawdę ocenia. Ale jak chce zagaić, to z kolei mam kłopot, bo nie wiem, co na niektóre pytania odpowiedzieć. Zgódźmy się, że są takie pytania, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Mam tu do opowiedzenia pewną historię.

Jechaliśmy kiedyś na festiwal w Szczebrzeszynie razem z panem Ryszardem Krynickim. Pan Ryszard niewiele mówi, chętnie słucha, godziny szybko nam mijały. I w trakcie tej podróży ustaliliśmy, jakich pytań obaj nie lubimy najbardziej. Nie lubimy czy obawiamy się, wszystko jedno. Pierwsze: „Jak się czujesz?”. Drugie: „Co słychać?”. A trzecie, najgorsze: „Co słychać w Krakowie?”. No bo jak odpowiedzieć? (Co prawda, ostatnio w związku z Krakowem jest aż za dużo do mówienia, ale wszyscy o tym mówią, więc po co?) Ustaliliśmy, że te trzy pytania sprawiają nam największy kłopot, a ustaliwszy to, zajechaliśmy na kwaterę, którą przydzielono nam w Turzyńcu. I pan Ryszard poszedł do swojego pokoju odpoczywać.

Dwie godziny później trzeba się było zbierać na festiwalowe spotkanie. Karmiłem jabłkami kozy, kiedy pan Ryszard zszedł na dół. Wyglądał, jakby nic nie odpoczął, a jeszcze dodatkowo się zmęczył. Wsiedliśmy do auta, jedziemy. Mój pasażer milczy zwyczajowo, ja milczę, bo nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. I w pewnym momencie pan Ryszard się odzywa: „Wiem, że nie może mnie pan spytać, więc sam powiem: nie czuję się najlepiej”. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 24/2026



LUDZIE *i* MASZYNY

DOROTA POCIASK-FRĄCEK, INSTYTUT IM. WOJCIECHA KORFANTEGO:

Skupiamy uwagę na ludziach, którzy pracowali w kopalniach, hutach, na kolei, w zakładach włókienniczych. I tych, którzy wciąż żyją w cieniu przemysłu.

↦

↦ **MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym właściwie jest Industriada? Przypomnijmy dla osób spoza regionu śląskiego.**

DOROTA POCIASK-FRĄCEK: Industriada to święto Szlaku Zabytków Techniki. Sam Szlak funkcjonuje w województwie śląskim od lat i skupia dziś ponad 40 obiektów. Raz w roku te miejsca spotykają się we wspólnym programie, tworząc największe wydarzenie poświęcone dziedzictwu przemysłowemu regionu.

Na początku Industriada była mocno związana z odwiedzaniem obiektów poprzemysłowych: kopalń, hut, elektrowni, dawnej infrastruktury technicznej. Dziś to coś więcej. W ostatnich latach coraz ważniejsza stała się opowieść: o pamięci, tożsamości, doświadczaniu regionu i o ludziach, którzy z tymi miejscami byli związani.

Śląski przemysł bardzo często kojarzy się z kopalniami, hutami i ciężką infrastrukturą. Industriada pokazuje jednak, że ta historia jest znacznie bardziej różnorodna.

Tak, i to jest jedna z najważniejszych rzeczy, które chcemy pokazywać. Oczywiście kopalnie, huty czy elektrownie są bardzo ważną częścią tej opowieści, ale Szlak Zabytków Techniki to także osiedla patronackie, kolej wąskotorowa, drukarnie, browary, zakłady związane z porcelaną, włókiennictwem czy innymi gałęziami lżejszego przemysłu.

W ostatnich latach na nowo odkrywamy te obiekty. Widzimy, że dawne przestrzenie przemysłowe mogą dziś łączyć funkcję usługową, edukacyjną i kulturotwórczą. Dobrym przykładem jest Porcelana Śląska: miejsce, które pozostaje zarządzane przez firmę, ale nie ogranicza się wyłącznie do działalności komercyjnej czy wynajmu przestrzeni. Stało się także miejscem kultury.

To pokazuje szerszą zmianę. Przeszliśmy od myślenia o rewitalizowanych obiektach jako miejscach, które się po prostu zwiedza, do myślenia o nich jako przestrzeniach, w których mogą działać galerie, muzea, instytucje kultury, usługi i wydarzenia. Nadajemy im nowe funkcje, ale nie odrywamy ich od historii.

W tym roku Industriada po raz pierwszy odbywa się w formule dwudniowej. Skąd ta zmiana?

To był postulat samych operatorów. Przy tak dużej liczbie miejsc i wydarzeń jeden dzień okazywał się za krótki: obiekty konkurowały o publiczność, a uczestnicy nie byli w stanie zobaczyć wszystkiego, co ich interesowało. Dwudniowa formuła pozwala lepiej rozłożyć program i uniknąć dublowania wydarzeń. Chodzi też o to, żeby Industriada nie była tylko jednorazowym świętem, ale zachętą do powrotu na Szlak Zabytków Techniki przez cały rok.

Tegoroczne hasło imprezy brzmi „Twarze przemysłu". Jak je rozumieć?

To hasło nie zostało narzucone odgórnie. Spotkaliśmy się z operatorami i przedstawicielami obiektów Szlaku Zabytków Techniki, rozmawialiśmy o tym, co jest dziś ważne, na co chcemy zwrócić uwagę, jakie tematy najmocniej wybrzmiewają. I właśnie podczas tego spotkania wypracowaliśmy hasło. Przez lata mówiło się o Industriadzie wyłącznie w kontekście zwiedzania obiektów poprzemysłowych, bardzo często opowiadano przede wszystkim o maszynach, technologiach, budynkach, infrastrukturze. Chcemy przesunąć uwagę na ludzi. Na tych, którzy ten przemysł tworzyli, którzy pracowali w kopalniach, hutach, elektrowniach, na kolei, w zakładach włókienniczych. Ale także na tych, którzy wciąż żyją w cieniu przemysłu i odczuwają jego konsekwencje.

Dla mnie „Twarze przemysłu" mają kilka poziomów. Pierwszy jest bardzo dosłowny: to twarze górników, hutników, kolejarzy, włókniarzy, energetyków. To także twarze całych rodzin, których życie było zorganizowane wokół zakładu pracy. Chcemy więc przejść od opowieści o obiekcie do opowieści o doświadczeniu człowieka.

Drugi poziom dotyczy różnorodności przemysłu. Kiedy mówiło się o przemyśle na Śląsku, najczęściej myślano o przemyśle ciężkim. Tymczasem wokół niego istniał cały świat społeczny: migracje, praca kobiet, kultura robotnicza, domy kultury, ogródki działkowe, życie sąsiedzkie. Każda kopalnia czy huta miała swoje zaplecze społeczne. Tam nie tylko pracowano, tam toczyło się życie.

Jest jeszcze trzeci poziom, związany z transformacją. Upadek wielu zakładów, zamykanie kopalń, zmiana modelu pracy oznaczały dla wielu rodzin konieczność znalezienia sobie nowego miejsca. Szczególnie tam, gdzie zawód górnika czy hutnika przechodził z pokolenia na pokolenie. To także jest część tej opowieści.

A przemysł współczesny?

Przemysł na Śląsku nie zniknął, tylko się zmienił. Mamy nowe technologie, ośrodki badawcze, zaplecze naukowe, innowacje, nowe media. Zmienia się więc także myślenie o dziedzictwie przemysłowym. Dla mnie było oczywiste, że przygotowując program „Rozruch maszyn" i spektakl multimedialny Ksawerego Kaliskiego „Creatio continua", musimy odwołać się nie tylko do historii, ale też do nowych technologii. Możemy o sztucznej inteligencji mówić pozytywnie albo krytycznie, ale na pewno nie możemy jej lekceważyć. Dzisiejsza Industriada powinna więc łączyć pamięć o dawnym przemyśle z pytaniem o przyszłość technologii i pracy.

Ważnym miejscem tegorocznej edycji będzie Bielsko-Biała. To miasto trochę śląskie, trochę osobne, z własną silną historią przemysłową. Dlaczego właśnie tam zaplanowano otwarcie Industriady?

Wybór Bielska-Białej był dla nas dość naturalny. Po pierwsze dlatego, że jest w tym roku Polską Stolicą Kultury. Po drugie, Bielsko-Biała wnosi do tej opowieści bardzo ważny wymiar. To historia włókiennictwa, fabryk, rzemiosła, miejskiej nowoczesności. Dzięki temu od razu pokazujemy, że przemysłowe dziedzictwo regionu jest dużo bardziej zróżnicowane, niż często się wydaje.

Zakończenie odbędzie się natomiast w Muzeum Hutnictwa Cynku w Katowicach, czyli w Walcowni. Skąd ten wybór?

Walcownia jest miejscem bardzo wyrazistym, także symbolicznie. W tym przypadku ważnym kontekstem jest serial „Ołowiane dzieci" Macieja Pieprzycy, który zwraca uwagę na trudne dziedzictwo przemysłu, jego wpływ na zdrowie, środowisko i życie lokalnych społeczności. Dyrekcja Muzeum chciała wykorzystać ten moment, żeby pokazać także działania prowadzone dziś wokół Walcowni.

Dla mnie bardzo ważne jest również to, żeby co roku różne obiekty miały szansę





ADAM ROSTECKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA X3

Obok: Nikiszowiec to zabytkowe osiedle robotnicze powstałe na początku XX wieku dla pracowników kopalni „Giesche". Ceglana zabudowa, podwórza i zwarty układ urbanistyczny przypominają, że przemysł organizował nie tylko pracę, ale także codzienne życie całych dzielnic. Dziś Nikiszowiec pozostaje jednym z najważniejszych symboli robotniczej historii Katowic i dobrze uzupełnia opowieść Industriady o społecznym zapleczu przemysłu.

Poniżej: Muzeum Śląskie działa na terenie dawnej kopalni „Katowice", zamienionej w nowoczesną przestrzeń kultury. Część ekspozycji znajduje się pod ziemią, a dawne budynki pokopalniane tworzą dziś ważny element muzealnego kompleksu. Jednym z najważniejszych punktów jest szyb „Warszawa II", z którego można oglądać Strefę Kultury i panoramę Katowic.

Na poprzedniej stronie: Górnośląskie Koleje Wąskotorowe w Bytomiu to jedna z najbardziej rozpoznawalnych pamiątek po przemysłowej infrastrukturze Górnego Śląska. Przez lata kolej wąskotorowa łączyła huty, kopalnie, elektrownie i inne zakłady przemysłowe, tworząc gęstą sieć transportową regionu. Dziś Górnośląskie Koleje Wąskotorowe działają jako atrakcja turystyczna: w sezonie można przejechać historyczną trasą z Bytomia do Miasteczka Śląskiego.

stać się miejscem otwarcia albo zakończenia Industriady. Nie chcemy, żeby największe wydarzenia artystyczne odbywały się zawsze w tych samych, najbardziej rozpoznawalnych ośrodkach. Szlak Zabytków Techniki tworzą również mniejsze miejsca i one także powinny mieć możliwość zaprezentowania swojego programu, swojej historii i swojej publiczności.

Czyli ta mroczniejsza strona przemysłowego dziedzictwa również jest częścią opowieści?

Oczywiście. To nie jest opowieść wyłącznie o sukcesie. Nie chcemy pokazywać przemysłu w sposób jednowymiarowy, kolorowy, pozbawiony trudnych tematów. Miniserial Macieja Pieprzycy zwrócił uwagę na kontekst zdrowotny: na życie przy zakładach przemysłowych, przy osiedlach robotniczych, w pobliżu miejsc pracy, które dawały zatrudnienie, ale niosły też konsekwencje dla ludzi i środowiska.

Mam poczucie, że hasło „Twarze przemysłu" otworzyło wiele podobnych wątków. Kiedy rozmawialiśmy z operatorami obiektów, okazało się, że oni sami zaczęli szukać wspomnień byłych pracowników, sięgać do archiwów społecznych, zbierać fotografie rodzinne. W ten sposób przemysł przestaje być tylko wielką strukturą, a staje się historią konkretnych osób, rodzin i lokalnych wspólnot.

Ważny jest też język śląski i lokalne tożsamości. Coraz częściej mówimy o tym, że historia przemysłu była opowiadana nie tylko przez dokumenty, ale też przez rodzinne wspomnienia, opowieści kobiet, pamiętniki, lokalne narracje. Dobry przykład to praca Moniki Glosowitz „Pamiętniki kobiet z rodzin górniczych", gdzie kobiety opowiadają o pracy na kopalni albo o życiu przy kopalni. Osiedla robotnicze, takie jak Nikiszowiec czy w Czerwionce-Leszczynach, tworzyły bardzo zwarte, trwałe społeczności. Nawet jeśli przemysł miał bolesne konsekwencje, to jednocześnie tworzył miejsca do życia, budowania relacji, wzajemnej zależności i wsparcia.

Nowe technologie kształtują dziś przemysł zupełnie inaczej.

Dlatego ważne jest pytanie, jak współczesny przemysł żyje z lokalną społecznością. Jeżeli powstaje nowy zakład, nowe centrum technologiczne czy badawcze, to warto pytać nie tylko o inwestycję, produkcję i miejsca pracy, ale też o relację z dzielnicą czy miastem. Co społeczność lokalna ma z tego, że taki zakład powstaje właśnie tam? Czy przekłada się to na zatrudnienie mieszkańców? Czy tworzy nowe więzi? Czy buduje odpowiedzialność za miejsce? Technologia się zmienia. Coraz więcej procesów wykonują zaprojektowane maszyny, automatyczne systemy, nowe rozwiązania. Ale wartością nadrzędną zawsze pozostaje człowiek.

Wymieńmy zatem kilka kluczowych miejsc tegorocznej Industriady.

W tym roku w imprezie bierze udział 48 obiektów Szlaku Zabytków Techniki, w 30 miejscowościach. Przygotowano ponad 400 wydarzeń: koncerty, spektakle, wystawy, działania edukacyjne i animacje. To rzeczywiście bardzo duża skala.

Instytut Korfantego po raz pierwszy przygotowuje „Rozruch maszyn", który odbędzie się 12 czerwca. Zapraszamy wtedy do Galerii Szyb Wilson w Katowicach, na Nikiszowcu. To miejsce również znajduje się na Szlaku Zabytków Techniki, a jego historia związana jest między innymi z dawną łaźnią górniczą. Sam „Rozruch maszyn" dobrze pokazuje, jak tego typu obiekty można dziś adaptować do działań kulturotwórczych. ↦



ADAM ROSTECKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Walcownia w katowickich Szopienicach dobrze oddaje skalę i surowość dawnego zakładu przemysłowego. Muzeum Hutnictwa Cynku opowiada historię hutnictwa cynku w oparciu o zachowany ciąg technologiczny produkcji blachy cynkowej, z walcarkami, nożycami i maszynami parowymi. W kontekście tegorocznej Industriady to miejsce szczególnie ważne, bo właśnie tutaj zaplanowano finał wydarzenia.

Na Szlaku mamy także Zabytkową Kopalnię Ignacy, Muzeum Śląskie, Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu, elektrownie, stacje wodociągowe, browary i wiele innych obiektów. Każdy z nich opowiada trochę inną historię przemysłu i regionu.

Dlatego zachęcam, żeby przed Industriadą wejść na stronę wydarzenia i sprawdzić program poszczególnych obiektów. 12, 13 i 14 czerwca będzie się działo naprawdę dużo, więc każdy może znaleźć coś dla siebie.

To już 17. edycja Industriady. Przez ten czas wydarzenie stało się jedną z rozpoznawalnych marek województwa śląskiego. Co udało się dzięki niej osiągnąć?

Szlak Zabytków Techniki i Industriada stały się ważną częścią turystyki kulturowej województwa śląskiego. To jedna z tych opowieści, które pozwalają zobaczyć region inaczej niż przez najbardziej oczywiste skojarzenia. Udało się zbudować markę wydarzenia, na które przyjeżdżają nie tylko mieszkańcy województwa, ale także turyści z innych części Polski, Czech czy Niemiec. Kiedyś weekendowy wyjazd na Śląsk, żeby zwiedzać obiekty poprzemysłowe, nie był czymś oczywistym. Dziś to się zmieniło. Zależy nam jednak nie tylko na frekwencji podczas samej Industriady. Chcemy, żeby uczestnicy odkryli Szlak i wracali do tych miejsc przez cały rok. Widać to także podczas Forum Dziedzictwa Kultury Przemysłowej: osoby spoza regionu często są zaskoczone, ile ciekawych historii kryją Katowice i jak zielone jest to miasto.

To rzeczywiście często zaskakuje osoby, które przyjeżdżają tu pierwszy raz.

Jednym z takich mocnych doświadczeń była wizyta studyjna na hałdzie w katowickiej Kostuchnie. Hałda, czyli ślad po kopalni, jest dziś zielona, kolorowa. Lech Majewski nakręcił tam zdjęcia do filmu „Młyn i krzyż”. Kiedy goście wchodzą na szczyt i widzą góry, zmienia im się perspektywa. Industriada pokazała, że to dziedzictwo nie jest tylko lokalną ciekawostką, ale może być jednym z najważniejszych języków opowiadania o regionie.

W tym roku Instytut Korfantego przygotowuje także własne wydarzenie w ramach „Rozruchu maszyn”. Co będzie można zobaczyć 12 czerwca?

Bardzo zależało mi na tym, żeby Instytut Korfantego przygotował coś samodzielnie. Dlatego produkujemy duże widowisko multimedialne autorstwa Ksawerego Kaliskiego. To artysta związany z nowymi mediami, pod którego auspicjami otwiera się w tym roku na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach kierunek poświęcony właśnie nowym mediom.

Podczas „Rozruchu maszyn” po raz pierwszy pokażemy spektakl multimedialny z użyciem robotów i technologii robotycznych. Chcemy w ten sposób pokazać, że nowe technologie są ważne, ciekawe i przyszłościowe, ale jednocześnie za nimi zawsze stoi człowiek. To człowiek wymyśla koncept, projektuje, pracuje twórczo, naciska guziki, podejmuje decyzje.

Wspominała Pani także o zdjęciach, które mają towarzyszyć tej opowieści. Dokumentowanie dziedzictwa przemysłowego to dziś osobny temat?

Zdjęcia będą bardzo ważnym dopełnieniem. W Instytucie pracuje z nami Adam Rostecki, który robi fenomenalne fotografie. Mam poczucie, że one mogą świetnie uzupełnić tekst i pokazać przemysłowe dziedzictwo nie tylko jako temat historyczny, ale także jako doświadczenie wizualne, estetyczne. W Instytucie Korfantego działa również Digitarium, czyli dział zajmujący się digitalizacją dziedzictwa materialnego i niematerialnego. Digitalizujemy kościoły, kopalnie, huty, ale także opowieści. Staramy się zapisywać to, co jeszcze można przekazać młodszym pokoleniom. Te materiały trafiają później do Śląskiej Biblioteki Cyfrowej. Być może za kilka pokoleń ktoś do nich wróci, doceni naszą pracę i po raz kolejny odkryte zostanie wielowymiarowe piękno Śląska.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 24/2026
REDAKCJA: MICHAŁ SOWIŃSKI | OPIEKA WYDAWNICZA: ANNA PIETRZYKOWSKA
PROJ. GRAF.: MAREK ZALEJSKI | SKŁAD: ZUZANNA KARDYŚ | FOTOEDYCJA: JACEK TARAN
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Górnośląskie Koleje Wąskotorowe w Bytomiu // ADAM ROSTECKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Szlak Zabytków Techniki®
prezentuje

Zaprasza Marszałek Województwa Śląskiego
Wojciech Saługa

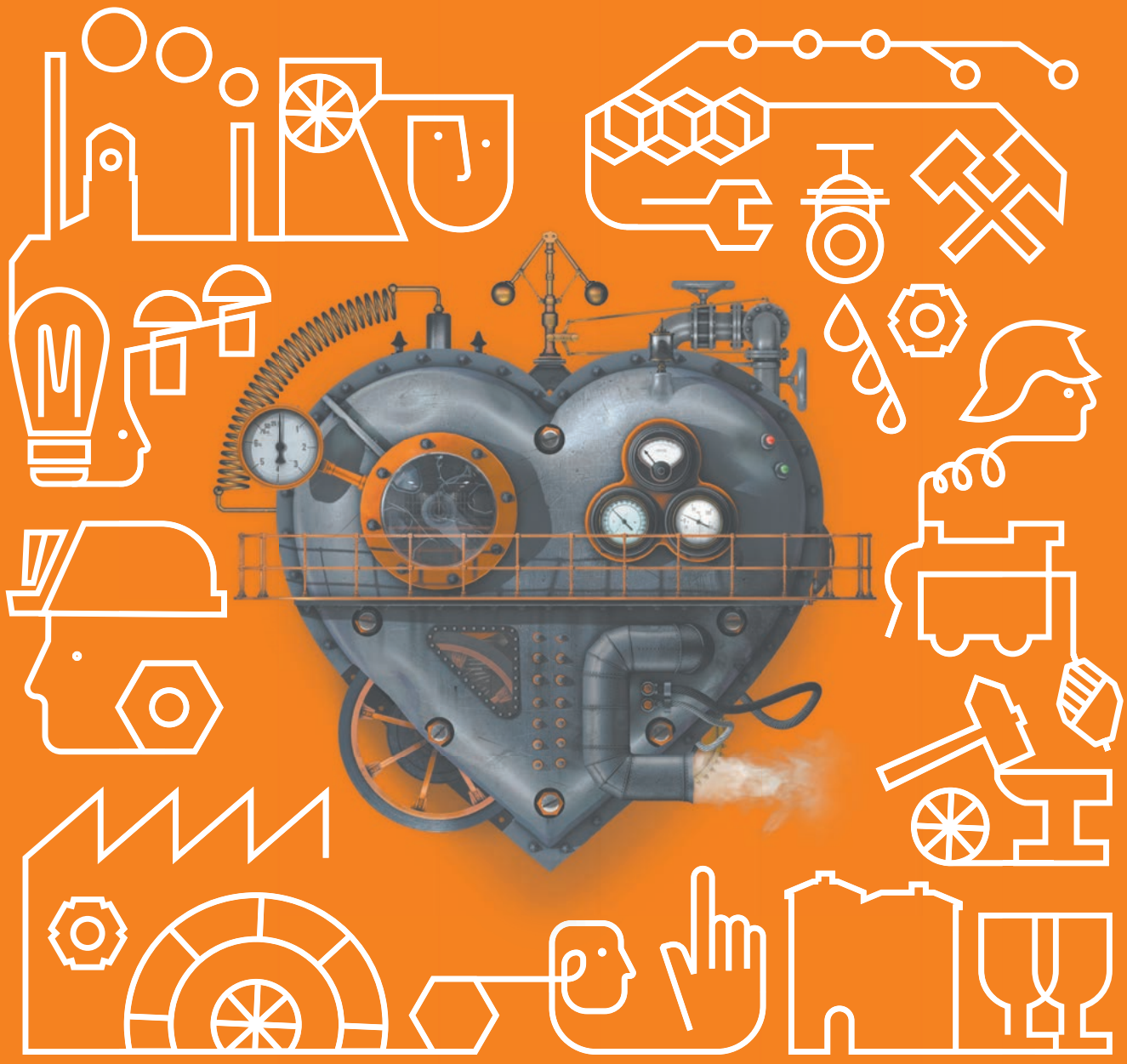

INDUSTRIADA

Twarze przemysłu | 13–14 czerwca 2026

REKLAMA

Śląskie.

INSTYTUT IM. WOJCIECHA KORFANTEGO

Regionalny Instytut Kultury im. Wojciecha Korfantego jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego.

Oficjalni Organizatorzy Publicznego Transportu Zbiorowego

15 lat Kolei Śląskich

Transport GZM

Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia

industriada.pl



DAGMAR HOLLMANN, CC BY-SA 4.0

NAUKA

ZANIM WYROSŁO ZBOŻE

Ponad 50 tys. lat temu ludzie anatomicznie współcześni zaczęli napływać do Europy i krzyżować się z neandertalczykami. Geny niektórych z nich przetrwały do dzisiaj – nawet u mieszkańców Azji i rdzennych Amerykanów.

ŁUKASZ KWIATEK

Na Paula Brokę najłatwiej natknąć się w podręczniku do neurobiologii. Ten francuski lekarz zasłynął przeprowadzeniem autopsji Louisa Victora Leborgne'a, który w dorosłości utracił umiejętność mowy. Leborgne potrafił wyartykułować wyłącznie sylabę „tan" – od czego wziął się jego szpitalny i naukowy przydomek – mimo że rozumiał, co się do niego mówiło. Po śmierci Tana Broca zauważył w jego mózgu rozległe uszkodzenia w lewej półkuli, a ten obszar do dzisiaj nazywamy ośrodkiem Broki i wiążemy z mową.

Broca nie był jednak wyłącznie neurologiem. W 1859 r., jeszcze przed ukazaniem się „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego" Karola Darwina, założył w Paryżu Société d'Anthropologie – pierwsze towarzystwo naukowe skupione na badaniach nad zróżnicowaniem biologicznym człowieka i naszą prehistorią. I to właśnie na biurko Broki trafiły szczątki wydobyte z zagłębienia w skale w miejscowości Les Eyzies na południu Francji, znalezione na terenie posiadłości należącej do rodziny Magnon, które na wiele dekad ukształtowały debatę na temat ewolucji człowieka.

Człowiek-lew z Hohlenstein-Stadel (ok. 40 tys. lat, kultura oryniacka), Państwowe Muzeum Wirtembergii w Stuttgarcie

Pochówek z Cro-Magnon

Prace archeologiczne w Cro-Magnon (tak nazwano to stanowisko; *cro* w języku prowansalskim oznacza zagłębienie lub otwór) zaczęły się w latach 60. XIX w., tuż po tym, jak robotnicy pracujący przy budowie linii kolejowej natrafili na stary ludzki pochówek.

Łącznie znaleziono tam szczątki co najmniej piątki osób, pogrzebanych razem z narzędziami kamiennymi, fragmentami szkieletów zwierząt i ozdobami wykonanymi z kości i muszli. Był wśród nich szkielet kobiety z przebitą nad czo-

łem czaszką (ślady gojenia się rany sugerowały, że przeżyła jeszcze kilka tygodni po odniesieniu obrażeń), któremu towarzyszył szkielet noworodka lub rozwiniętego płodu. Zmarła mogła być więc młodą matką, której niemowlę także nie przeżyło, albo kobietą w zaawansowanej ciąży.

Najważniejszą cechą przebadanych przez Brokę szkieletów okazało się to, że... nie wyróżniają się one niczym szczególnym na tle współczesnych ludzi. Dlatego Człowiek z Cro-Magnon (kromaniończyk) stał się synonimem „człowieka anatomicznie współczesnego". W XIX w. Broca i inni uczeni długo debatowali nad tym, kiedy dokładnie mogli żyć ludzie, po których te szczątki pozostały. Z czasem przeważył pogląd, że był to odległy okres, poprzedzający nawet czas nazywany epoką renifera (od nagromadzenia kości tych zwierząt na stanowiskach archeologicznych; po niej wyróżniano epokę słonia oraz – najmłodszą – epokę niedźwiedzia jaskiniowego). Dziś wiek szczątków z Cro-Magnon szacuje się na ok. 28-30 tys. lat.

Innym przedmiotem długich sporów były związki kromaniończyków z również odkrytymi w połowie XIX w. neandertalczykami. Skamieniałości neandertalskie znajdowano w jeszcze starszych warstwach osadowych niż kromaniończyków, jedne i drugie różniły się także wyglądem (neandertalskie szkielety są bardziej masywne, a czaszka raczej podłużna niż zaokrąglona, z wałami nad oczodołami i wybrzuszeniem w części potylicznej, za to pozbawiona podbródka). Czy neandertalczycy byli przodkami kromaniończyków? A może obie te populacje ewoluowały osobno? Albo się krzyżowały?

Na te pytania odpowiedzi przyniosły dopiero przeprowadzone już w XXI w. badania genetyczne. Kolejne odkrycia sprawiły zaś, że niegdyś bardzo popularny termin „kromaniończyk", który zadomowił się w podręcznikach szkolnych, w zasadzie zanikł w literaturze naukowej. Jednym z nielicznych wyjątków jest wydana w 2023 r. książka Trentona Hollidaya „Cro-Magnon. The Story of the Last Ice Age People of Europe", w której opowiada m.in. o tym... jak nazwa „kromaniończycy" wyszła z użycia.

Stało się tak dlatego, że o ludziach, którzy skolonizowali Europę i zastąpili w niej neandertalczyków, dowiedzieliśmy się całkiem sporo, zaczęliśmy śledzić ich ewolucję kulturową i szlaki migracji. Jedno stanowisko archeologiczne z południowej Francji nie wystarczało do tego, by oddać bogactwo tej części prehistorii naszego kontynentu.

Ząb z Mandrin

Nasz gatunek – *Homo sapiens* – powstał w Afryce. Ok. 200-300 tys. lat temu na całym tym kontynencie żyli ludzie, których skamieniałości klasyfikowane są dzisiaj jako wczesny *H. sapiens*. Te skamieniałości nie wyglądają jeszcze jak nasze – ani jak te z Cro-Magnon – ale specjaliści doszukują się w nich już cech anatomicznych, które uwydatnią się w późniejszych szkieletach *H. sapiens*. Uznaje się więc, że należą do naszej linii rozwojowej.

Pierwsze wędrówki *H. sapiens* na Bliski Wschód, a stamtąd do Europy, mogły mieć miejsce nawet przeszło 200 tys. lat temu. Naszym przodkom nie udało się jednak trwale zadomowić w Eurazji aż do ok. 60 tys. lat temu. Dopiero wtedy doszło do migracji, w konsekwencji której *H. sapiens* w ciągu kilku-kilkunastu tysięcy lat zastąpili dotychczasowych mieszkańców Bliskiego Wschodu, a potem Europy i reszty Azji (wcześniej zaś się z nimi skrzyżowali), a w końcu jako pierwsi skolonizowali pozostałe części świata.

Jednym z najważniejszych stanowisk archeologicznych, które mogły zawierać ślady anatomicznie współczesnych *H. sapiens* w Europie, jest Grotte Mandrin na południu Francji. Leży ona w strategicznym miejscu – dolinie Rodanu, tworzącej naturalny korytarz łączący wybrzeże Morza Śródziemnego z rozległymi terenami centralnej Europy. W przeszłości musiały tędy wędrować stada zwierząt, zapewniając żyjącym tu ludziom żywność i odzienie w ciężkich czasach epoki lodowej.

Najstarsze warstwy osadowe Grotte Mandrin zawierają ślady obecności neandertalczyków, ale ok. 52-57 tys. lat temu pojawiła się w tej okolicy tajemnicza populacja, która zostawiła po sobie bardzo zaawansowany zestaw płaskich kamiennych ostrzy i wyrafinowanych grotów, określanych, od nazwy jednego z sąsiednich stanowisk, mianem zespołu neronskiego. Kim byli jego twórcy – nerończycy?

Ludovic Slimak i współpracownicy w 2022 r. opisali jedyny znaleziony wśród nerońskich narzędzi ludzki mleczny ząb, który zakwalifikowali do naszego gatunku. Rok później ci sami badacze przeanalizowali kolejne nerońskie artefakty z Mandrin i doszli do wniosku, że najmniejsze spośród znalezionych tam kamiennych grotów – o długości poniżej jednego centymetra – mogły nadawać się wyłącznie do wyrobu strzał wystrzeliwanych z łuku. A to – przynajmniej w Europie – byłaby nowość.

Neandertalczyk wśród przodków

Te odkrycia układają się więc w opowieść o tym, iż to *H. sapiens* przeszło 50 tys. lat temu przywędrowali do Europy z łukami – czyli z bronią, której nie znaleźliśmy na żadnym stanowisku neandertalskim (choć mogli oni używać innej broni miotanej – oszczepów, być może konstruowali nawet miotacze oszczepów).

Taka interpretacja podoba się oczywiście tym badaczom, którzy wierzą, że to przewaga technologiczna *H. sapiens* pozwoliła naszym przodkom zająć tereny, na których od setek tysięcy lat żyli neandertalczycy. Ale nawet jeśli tak było, to łuk nie był cudowną technologią, która natychmiast zmieniła reguły gry i doprowadziła do eksterminacji naszych neandertalskich kuzynów. Przekonują o tym młodsze ślady z tej samej Grotte Madrin.

Otóż powyżej warstwy nerończyków znajdują się kolejne ślady neandertalczyków. Jeśli zatem to miejsce faktycznie dokumentuje wtargnięcie ok. 57-52 tys. lat temu *H. sapiens* na tereny zajmowane wcześniej przez neandertalczyków, to ta kolonizacja nie była jeszcze trwała. Po kilku tysiącach lat ślad po nerończykach znika, a dolinę Rodanu znowu, na ok. 10 tys. lat, opanowali neandertalczycy, ostatecznie zastąpieni przez kolejną falę migracji *H. sapiens*.

Co ciekawe, w Grotte Mandrin brak jakichkolwiek śladów kontaktów kulturowych między nerończykami a populacjami neandertalczyków zamieszkujących to miejsce przed nimi i po nich. Każda z tych grup zdawała się żyć całkowicie po swojemu – możliwe więc, że ci ludzie w ogóle na siebie nie natrafili. Wiemy jednak, że nieco później dochodziło w Europie do kontaktów – także seksualnych – między wczesnymi *H. sapiens* i neandertalczykami. ↦

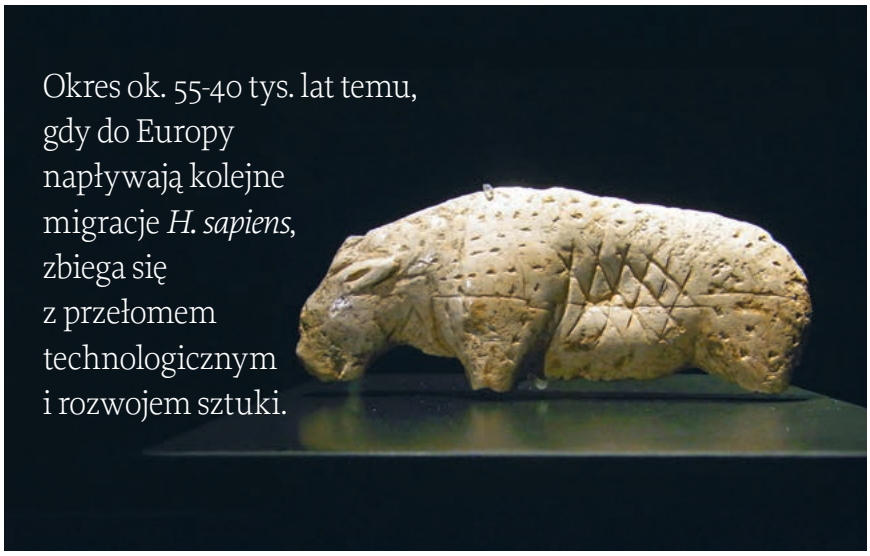

Okres ok. 55-40 tys. lat temu, gdy do Europy napływają kolejne migracje *H. sapiens*, zbiega się z przełomem technologicznym i rozwojem sztuki.

WUSELIG, CC BY-SA 4.0

↦ Jednym z takich stanowisk jest Baczo Kiro w Bułgarii, gdzie znaleziono narzędzia podobnie zaawansowane jak te neandertalczyków oraz kilka kości sprzed ok. 46-42,5 tys. lat. Analizy genetyczne przeprowadzone przez zespół Svante Pääbo w 2021 r. pokazały, że troje mieszkańców Baczo Kiro – należących do *H. sapiens* – kilka pokoleń wcześniej miało wśród swoich przodków także neandertalczyków. Co więcej, ludzie ci okazali się bliżej spokrewnieni ze współczesnymi mieszkańcami Azji i rdzennymi Amerykanami niż z Europejczykami. Ich krewni lub potomkowie musieli ruszyć daleko na wschód.

Na rumuńskim stanowisku Peșteră cu Oase znaleziono z kolei m.in. pochodzącą sprzed 42-37 tys. lat żuchwę przedstawiciela *H. sapiens*, który także miał niedawno neandertalskiego przodka. W przypadku tej populacji nie wykryto jednak żadnych współczesnych krewnych – wygląda więc na to, że mówimy o grupie, która ostatecznie wymarła. Zresztą, na tym terenie później ponownie pojawili się neandertalczycy.

Najstarszy bumerang świata

Okres ok. 55-40 tys. lat temu, gdy do Europy napływały kolejne grupy *H. sapiens*, które czasem krzyżowały się z lokalnymi neandertalczykami i próbowały przetrwać w nieprzyjaznym klimacie, wiąże się z dynamicznym rozwojem technologicznym, naznaczonym wytwarzaniem coraz cieńszych (i coraz bardziej ostrych) grotów i ostrzy, a także igieł i innych narzędzi potrzebnych do obróbki skór czy przetwarzania roślin, oraz wymyślnych ozdób wykonanych z kamieni, kości, zębów i poroża zwierząt. Tego typu wytwory odnajdujemy na rozległych terenach Eurazji oraz Afryki, zamieszkiwanych przez *H. sapiens*, neandertalczyków i denisowian, i nie mamy jeszcze pewności, czy były one technologiczną innowacją przyniesioną światu przez nasz gatunek.

Chyba największe spory budzi tzw. kultura szatelperońska (od miejscowości Châtelperron w centralnej Francji), obejmująca tereny północnej Hiszpanii i Francji, sięgająca ok. 44-40 tys. lat wstecz, której charakterystycznym wytworem są płaskie i zakrzywione ostrza (ale pozostawiła też rozmaite ozdoby i narzędzia z rogów zwierząt, typowe dla tego okresu przełomu technologicznego). Mówimy tu o kulturze archeologicznej – czyli zestawie podobnych narzędzi znajdowanych nieraz na stanowiskach oddalonych od siebie o setki kilometrów – o której twórcach niewiele wiemy, jeśli kamieniom nie towarzyszą żadne szkielety albo chociaż pojedyncze kości, z których udało się już wyizolować materiał genetyczny.

Pojedyncze kości (badań genetycznych na razie nie wykonano) wskazują na związek twórców kultury szatelperońskiej z neandertalczykami, a w literaturze naukowej pojawiały się m.in. i takie głosy, że ten wymyślniejszy niż na starszych neandertalskich stanowiskach zestaw narzędzi powstał dzięki styczności z bardziej zaawansowanymi technologicznie *H. sapiens*. Nikt nie wie, czy zwo-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY





Na sąsiedniej stronie: Lew z Vogelherd (ok. 40 tys. lat, kultura oryniacka), Muzeum Kultur Starożytnych w Tybindze. Powyżej: Wenus z Willendorfu (ok. 30 tys. lat, kultura grawecka) , Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu.

FOT. BJØRN CHRISTIAN TØRRISSEN, CC BY-SA 4.0

lennicy tego poglądu mają rację, czy tylko są uprzedzeni.

Równie niejasna jest np. tożsamość twórców kultury szeleckiej, występującej w podobnym okresie na terenie Europy Środkowej – m.in. Polski. Jednym z jej stanowisk archeologicznych jest Jaskinia Obłazowa pod Białką Tatrzańską, gdzie znaleziono najstarszy na świecie (datowany na 39-42 tys. lat) bumerang wykonany z ciosu mamuta. Czy służył neandertalczykom, czy *H. sapiens* – nie wiadomo.

Kiedy polujemy na żubry

Pierwszym zespołem kulturowym przedrolniczej Europy, który jak dotąd powiązano wyłącznie z *H. sapiens*, jest kultura oryniacka, obejmująca niemal cały kontynent. Pojawiła się ok. 43 tys. lat temu i zanikła ok. 29 tys. lat temu – jej członkowie byli więc świadkami wymarcia ostatnich neandertalczyków. Zostawili oni po sobie m.in. kamienne groty przystosowane do osadzania na drewnianych trzonkach, a także rozmaite dzieła sztuki – np. Człowieka-lwa z Hohlenstein-Stadel, wyrzeźbionego w ciosie mamuta – czy pierwsze malunki w europejskich jaskiniach przedstawiające sceny polowań.

Twórcy kultury oryniackiej na wielu przedmiotach wyrzeźbili znaki geometryczne, które zdają się tworzyć, jak wynika z opublikowanych w tym roku badań Christiana Bentza i Ewy Dutkiewicz, równie złożony system jak najstarsze pismo klinowe. Możliwe więc, że służyły do przekazywania informacji. Jakich? Kilka lat wcześniej zespół Bennetta Bacona postawił hipotezę, że łowcy zbieracze z kultury oryniackiej oraz kilku późniejszych mogli przy użyciu kropek, kresek i znaków przypominających literę Y, umieszczanych na rzeźbach czy przy scenach polowań, zapisywać informacje o sezonowych zachowaniach konkretnych gatunków (np. kiedy wydają na świat potomstwo).

Inne dzieła sztuki – słynne wenus paleolityczne – to cecha rozpoznawcza jeszcze młodszego zespołu – kultury graweckiej, występującej między 35 i 21 tys. lat temu, również niemal na całym kontynencie. Z tego samego okresu pochodzą największe nagromadzenia kości mamutów. Nie jest całkowicie jasne, czy graweteńczycy sami na nie polowali, czy wykorzystywali mięso, skóry i kości padłych zwierząt, ale ślady bytowania tych ludzi często znajdujemy w pobliżu dużych mamucich cmentarzysk. Także z tą kulturą powiązano najstarsze przykłady ceramiki – wypalane gliniane figurki – które mogły mieć znaczenie artystyczne lub rytualne.

Ostatnim przedrolniczym zespołem kulturowym byli magdaleńczycy, występujący ok. 18-12 tys. lat temu. To czas, w którym klimat się ociepla, a zarastającą lasem Europę przemierzają stada dzikich koni, bizonów i reniferów. Najsłynniejsze sceny polowań znane ze ścian hiszpańskich czy francuskich jaskiń (Lascaux, Altamira) to właśnie dzieło twórców kultury magdaleńskiej.

Wciąż mało wiemy na temat genetycznej struktury przedrolniczej Europy, ale z opublikowanych w 2023 r. badań genetycznych wyłania się skomplikowany obraz ekspansji, krzyżowania się populacji i wymierań. Zespół Johannesa Krausego przeanalizował 356 genomów łowców-zbieraczy z okresu sprzed 35-5 tys. lat, reprezentujących rozmaite kultury archeologiczne. Jednym z ciekawszych odkryć było to, że kulturę grawecką w istocie tworzyły dwie odrębne genetycznie populacje (jedna z Europy Środkowo-Wschodniej i Południowej, druga – z Zachodniej), a potomkowie tej linii przetrwali przez dziesiątki tysięcy lat w refugiach południowo-zachodniej Europy i przekazali swoje geny magdaleńczykom.

Ci ostatni zbudowali swoją kulturę, rozprzestrzeniając się z południowego zachodu na resztę kontynentu, krótko po wystąpieniu ostatniego szczytu epoki lodowcowej (ok. 20 tys. lat temu), ale wkrótce mieli zderzyć się z jeszcze większym wyzwaniem: rolniczym stylem życia, który ok. 10 tys. lat temu pojawił się w Europie razem z przybyszami z Anatolii.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Opera nad morzem

TOMASZ KONIECZNY,
pomysłodawca i dyrektor artystyczny Baltic Opera Festival:

W tym roku obchodzimy 150-lecie premiery „Pierścienia Nibelunga", jednego z najważniejszych dzieł w historii muzyki. Dlatego w Operze Leśnej zagramy „Walkirię", jego drugą, bardzo romantyczną część.



CAMILLA WINTHER

„Walkiria" z Tomaszem Koniecznym w roli Wotana.

JAKUB PUCHALSKI: Skąd wziął się pomysł na Baltic Opera Festival?

TOMASZ KONIECZNY: Opera Leśna powstała w 1909 r., a przed II wojną światową były w niej urządzane festiwale wagnerowskie. Po raz pierwszy wystąpiłem w niej na jej stulecie i od razu pomyślałem, że to wręcz doskonałe miejsce, by stworzyć tu na nowo festiwal operowy. To nie musiało być trudne: wziąć Koniecznego, Beczałę, kogoś jeszcze – i można działać.

Absolutnie nie myślałem jednak, żeby cokolwiek organizować samodzielnie. Dopiero pandemia, podczas której artyści freelancerzy zostali pozbawieni możliwości pracy, uświadomiła mi, że sami musimy zakasać rękawy i wziąć się za przygotowanie takiego projektu.

Kiedy w 2023 r. zrealizowaliśmy pierwszą odsłonę Baltic Opera Festival, okazało się, że intuicja była słuszna. To miejsce zachwyca nie tylko tradycją, ale również akustyką, atmosferą i niezwykłą autentycznością, w której sztuka prowadzi dialog z naturą.

To atrakcyjne zestawienie dla nadmorskiej publiczności?

Tak, Baltic Opera Festival przyciąga ludzi, którzy często wcześniej nie mieli kontaktu z gatunkiem operowym. Przychodzą do nas osoby prosto z plaży czy sopockiego deptaka. Mają kaprys, by wieczorem spotkać się z operą. Nasza publiczność jest zauważalnie młodsza niż na wielu renomowanych festiwalach operowych w Europie. To dla mnie bardzo ważne.

Miejsce faktycznie kojarzone jest z muzyką Ryszarda Wagnera, było nawet zwane Bayreuthem północy.

Nie miałem ambicji tworzenia festiwalu wagnerowskiego. Od początku podkreślałem, że to festiwal operowy. W pierwszym roku rzeczywiście zagraliśmy „Latającego Holendra", który – jako opera marynistyczna – świetnie pasuje do polskiego wybrzeża. W tym roku gramy „Walkirię", także autorstwa Wagnera. Natomiast w roku 2024 graliśmy „Turandot" Pucciniego, a w ubiegłym roku „Salome" Straussa.

W formule festiwalu interesuje mnie najwyższa jakość artystyczna. W tym Wagner, Strauss i – szerzej – muzyka niemiecka, bo są dziedzictwem kultury światowej. Zadziwiające, że „Pierścień Nibelunga" jest grany wszędzie na świecie – także w Czechach, Budapeszcie czy Sofii – a u nas nie. Mimo że polska publiczność ogromnie interesuje się tym repertuarem, jeździ na spektakle do Berlina, Wiednia, Nowego Jorku – nie może go natomiast posłuchać u siebie w kraju. Faktycznie chcemy przywracać te pozycje, największe arcydzieła teatru operowego, ale bynajmniej do nich się nie ograniczając.

„Walkiria" należy do najbardziej popularnych i najważniejszych dzieł XIX w., ale jej pojawienie się w Operze Leśnej ma powody szczególne. Obchodzimy 150-lecie premiery „Pierścienia Nibelunga", jednego z najważniejszych dzieł w historii muzyki. „Walkiria" jest jego drugą częścią, bardzo romantyczną. Wotan w „Walkirii" to moja życiowa rola, od lat wykonuję ją na największych scenach świata, więc choć nie uważam, by dyrektor artystyczny musiał występować na swoim festiwalu, tutaj wydało mi się to naturalne. Mam też ogromną satysfakcję z obsady, którą udało się zgromadzić. René Pape, Małgorzata Walewska, Izabela Matuła i Stanislas de Barbeyrac, który zaśpiewa Zygmunta.

Całość poprowadzi Axel Kober, jeden z najważniejszych dyrygentów muzyki niemieckiej. Do tego inscenizacja, w której śpiewałem kilka lat temu w Kopenhadze. Spośród wszystkich, które znam, ta szczególnie nadaje się do wykonania w Operze Leśnej – zanurzonej w lesie, jak akcja „Walkirii".

Co poza „Walkirią" przyniesie tegoroczna edycja?

„Polskie wesele" Józefa Beera, dzieło niemal nieobecne w polskiej świadomości, mimo że jego autor bywa nazywany „polskim Gershwinem". Utwór powstał po niemiecku i w tamtej sferze pozostaje rozpoznawalny, natomiast po wojnie nigdy nie pojawił się na polskiej scenie.

Przedstawimy wersję spolszczoną przez zmarłą niedawno Dorotę Krzywicką-Kaindel. Udało nam się zebrać bardzo dobrą obsadę, utwór poprowadzi Łukasz Borowicz, który poniekąd był odpowiedzialny za przywrócenie tego tytułu. Reżyseruje Paweł Miśkiewicz.

Można powiedzieć, że to jest operetka, ale tak nie jest. To utwór, który stoi między gatunkami. Mówi o tym, jak uczucie między

MATERIAŁ PARTNERA

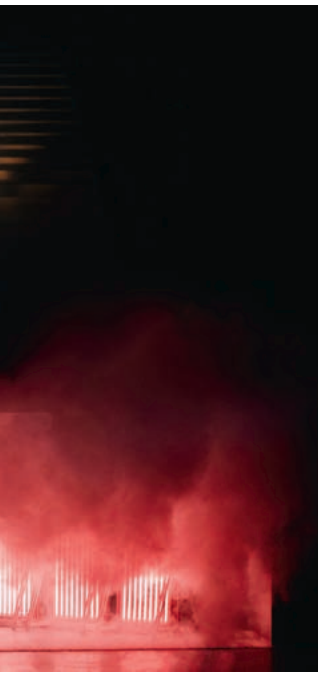



K. MYSTKOWSKI KFP

Spektakl „Turandot" drugiej edycji Baltic Opera Festival, Opera Leśna w Sopocie, 2024 r.

ludźmi potrafi pokonywać granice, w tym wypadku granice zaborów. Wszystko w słodko-gorzkim anturażu.

Co ważne, w tym projekcie bierze udział również trio jazzowe Andrzeja Jagodzińskiego, który od lat znany jest z tego, że buduje pomosty między jazzem a muzyką klasyczną. Świetnie to tutaj funkcjonuje. Zależy mi na odkrywaniu takich pozycji. Festiwal powinien być miejscem artystycznego ryzyka.

Następnie mamy spektakl poświęcony pamięci Krzysztofa i Elżbiety Pendereckich: „Muzeum Człowieka – Penderecki in memoriam". To reaktywacja powstałego 40 lat temu baletu, w choreografii Mariana Żaka. Penderecki był ogromnym orędownikiem tego spektaklu.

Dla najmłodszych przygotowujemy w Operze Leśnej polską wersję „Złota Renu", którego premiera miała miejsce rok temu podczas Wertinger Festspiele w Niemczech.

Na zakończenie festiwalu pokazujemy również recital Anett Fritsch i Svena-Erica Bechtolfa w poezji Heinego. Ten koncert odbędzie się w szczególnej przestrzeni Europejskiego Centrum Solidarności, za co jestem bardzo wdzięczny. Częściowo sponsorowany jest przez profesora Tadeusza Krzeszowiaka z Wiednia.

W jaki sposób festiwal jest w stanie przedstawić tak różnorodny repertuar?

Festiwal jest platformą, na której krzyżują się różne instytucje. W tym roku przyjeżdża Opera Wrocławska, która produkuje „Polskie wesele". „Walkiria" była produkowana w Kopenhadze. Z kolei „Muzeum człowieka" przygotowywane jest przez Sinfoniettę Cracovię przy współpracy tancerzy Opery Krakowskiej.

Zważywszy, że w ubiegłym roku ważną pozycją festiwalu była „Pasja wg św. Łukasza" Pendereckiego, spektakl pamięci Elżbiety i Krzysztofa Pendereckich sugeruje jakiś rodzaj ich patronatu duchowego nad festiwalem.

Po śmierci Elżbiety Pendereckiej wielu ludzi kultury poczuło, że kończy się pewna epoka. Była wybitnym menedżerem kultury i osobą, która pokazała, że w Polsce można realizować przedsięwzięcia na światowym poziomie.

W pewnym sensie czuję się zobowiązany do kontynuowania tej misji. Baltic Opera Festival jest dowodem na to, że ambitne, międzynarodowe projekty operowe mają w Polsce rację bytu.

Jednym z argumentów przemawiających za Operą Leśną jest jej akustyka. To rzeczywiście wyjątkowe miejsce?

Absolutnie wyjątkowe. W ubiegłym roku wykonaliśmy „Salome" Straussa praktycznie bez nagłośnienia. Od początku istnienia festiwalu orkiestra gra na żywo z kanału orkiestrowego, bez elektronicznego wzmacniania dźwięku.

Nawet jeżeli dla zbalansowania poziomów stosujemy jakieś delikatne dogłośnienie, widz uczestniczy w realnie brzmiącym wydarzeniu muzycznym. Miałem ciarki, kiedy podczas pierwszej edycji dyrygent Marek Janowski rozpoczął uwerturę do „Latającego Holendra". Właśnie o takiej jakości marzyłem.

A marzenia na przyszłość?

Chcemy sięgać po repertuar rzadko obecny w Polsce, rozwijać współpracę międzynarodową. Problem pozostaje jeden: finansowanie. Nie da się budować festiwalu tej skali z perspektywą jednego roku. Potrzebujemy stabilnego, wieloletniego modelu wsparcia i bardziej przyjaznych rozwiązań systemowych dla prywatnych mecenasów kultury – tak, by przynajmniej nie byli karani za wspieranie wydarzeń artystycznych. Polska jest dziś dwudziestą gospodarką świata. Powinniśmy mieć ambicję, by kultura funkcjonowała na poziomie odpowiadającym tej pozycji.

Bardzo dziękuję Orlenowi za wieloletnie wsparcie Baltic Opera Festival. ©

BALTIC OPERA FESTIVAL
2 – 7 LIPCA 2026
GDAŃSK – SOPOT
ORLEN
MECENAS GŁÓWNY

KULTURA

PAN NIESAMOWITY

Wystarczy spojrzeć na twarze bohaterów Stevena Spielberga, by odczytać najważniejsze tematy jego kina. A potem odnaleźć w nich siebie.

MICHAŁ WALKIEWICZ

Niesamowitość, zwana przez pisarza Thomasa Bernharda „wielowymiarową ciemnością między skalnymi ścianami", jest w psychoanalizie ważnym narzędziem samopoznania. Obserwując to, co niezrozumiałe, wyparte lub zapomniane, uczymy się nazywać ukryte lęki, pragnienia i nadzieje.

Popkultura upraszcza ten skomplikowany proces i zmienia go w dobrą zabawę. Niesamowitość może mieć oblicze kosmicznej istoty, która zagląda wprost w naszą duszę, bezkresnego oceanu skrywającego niebezpieczeństwo albo humanoidalnej maszyny, która płacze, śmieje się i krwawi jak prawdziwy człowiek. Kino nie zna większego mistrza owej „łagodnej niesamowitości" niż Steven Spielberg.

Czy powracając w „Dniu objawienia" do swojego koronnego gatunku *science fiction*, najważniejszy reżyser w historii kina popularnego znów każe nam wejrzeć w siebie i rozdziawić usta w zdziwieniu?

Dwa żywioły

W trakcie realizacji filmu „Twister" z 1996 r. holenderski reżyser i operator Jan de Bont stał się żywą ilustracją prawa Murphy'ego. Wszystko, co mogło się potoczyć źle, poszło jeszcze gorzej. Kapryśna pogoda niszczyła dekoracje, aktorzy ulegali kontuzjom, skomplikowana maszyneria odmawiała posłuszeństwa, budżet zaś stopniowo wymykał się spod kontroli.

Gdy emocje sięgnęły zenitu, a de Bont przypominał odbijający się od ścian piorun kulisty, Spielberg, jeden z głównych producentów filmu, wsiadł w swój prywatny odrzutowiec i poleciał na plan. Jak relacjonował później szef kaskaderów, tuż po lądowaniu twórca „Szczęk" otworzył właz i przez 20 minut rugał bez litości stojącego na pasie startowym reżysera. Nie zszedł do niego, nie uścisnął mu dłoni, nie postawił nawet stopy w Oklahomie. Po prostu zgotował mu piekło, zniknął w kabinie i kilka minut później wzbił się w powietrze. Pomogło. Zdjęcia dobiegły końca bez większych turbulencji.

To chyba moja ulubiona anegdota o Spielbergu. Być może dlatego, że wpisuje go w stereotypowy obraz filmowca tańczącego na cienkiej granicy pomiędzy dziką furią a wykalkulowanym chłodem. Stanowi też delikatną rysę na nieskazitelnej tafli popkulturowego wizerunku reżysera. Dla trzech pokoleń widzów Steven Spielberg to bowiem przyjazny gość o pokomplikowanym życiorysie. Typowy „reżyser" z sugerującym mądrość siwym zarostem oraz świadczącą o luzie czerwoną bejsbolówką.

Moc Spielberga jako reformatora współczesnego kina i zarazem jego największej legendy polega na tym, że niewiele nas takie rysy obchodzą. Biografowie oraz najwierniejsi fani wiedzą, że facet ukradł Tobiemu Hooperowi autorstwo hitowego „Poltergeista". Zdają sobie sprawę, że ocierał się łokciami z organizatorami kontrowersyjnej olimpiady w Pekinie; że jego wizje obcych kultur były, delikatnie mówiąc, służebne wobec amerykańskiej perspektywy; że opowieść o zamachach w Monachium oraz odwecie Mossadu układała się na ekranie w zbyt symetryczne wzorki.

A jednak, pomimo tej wiedzy, Spielberg wciąż jest w społecznej optyce kimś więcej niż człowiekiem. To żywy mit artysty, który splótł w swojej twórczości dwa żywioły sztuki. Z jednej strony bezpretensjonalną zabawę w odtwarzanie dzieciństwa. Z drugiej – kronikę tematów, kształtujących od kilku dekad zbiorową wyobraźnię.

Ambitna rozrywka

Jak na figurę o tak rozległym i podskórnym wpływie na kino, największe osiągnięcia Spielberga da się stosunkowo łatwo pogrupować i opatrzyć komentarzem.

Po pierwsze, Spielberg zrewolucjonizował kino rozrywkowe. W połowie lat 70. wkroczył razem z drzwiami do gmachu tzw. Nowego Hollywood. Formację, która rządziła w fabryce snów od dwóch dekad, tworzyli wówczas fantastyczni reżyserzy, z Francisem Fordem Coppolą, Robertem Altmanem i Williamem Friedkinem na czele. Ich ambicje były nieskończone, sukcesy niezaprzeczalne, jedyne zaś, czego im brakowało, to ekonomiczna przewidywalność.

Swoje pierwsze filmy – „Pojedynek na szosie" (1971) i „Sugarland Express" (1974) Spielberg kręcił jeszcze na „silniku" Nowego Hollywood. W tym sensie, że wielkie podmioty producenckie nie myślały o nich w kategoriach szerokiej dystrybucji, telewizyjnego marketingu, „kinowego wydarzenia" oraz fuzji z przemysłem zabawkarskim. Sytuacja zmieniła się po zaskakującym sukcesie ↦

Steven Spielberg z E.T., 1982 r.



MARK SENNET / GETTY IMAGES



MATERIAŁY PRASOWE UIP

„Dzień objawienia", reż. Steven Spielberg

↦ „Szczęk" (1975) – pierwszego letniego blockbustera w historii, którego budżet wysokości 9 mln dolarów zwrócił się w USA blisko trzydziestokrotnie.

Nic dziwnego, że już na przełomie lat 70. i 80. pytanie, po co właściwie utrzymywać nierentownych i wypalonych mistrzów, stało się w Hollywood retoryczne. Triumf nowego modelu produkcji ściągnął do stolicy kina finansistów i bankierów, a konsekwencje tej rewolucji – przy symbolicznej „winie" Spielberga i George'a Lucasa – obserwujemy do dziś.

Po drugie, przez kolejne dekady nazwisko Spielberga stało się synonimem tzw. ambitnej rozrywki. Fascynowali się nim zarówno boomerzy, zakochani w nowym kinie autorskim, jak i milenialsi wychowani na opowieściach o dziewiczych pokazach „Poszukiwaczy zaginionej arki" (1981) lub „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" (1977).

Dla tych ostatnich doświadczeniem bez mała formacyjnym okazał się kinowy seans „Parku jurajskiego" (1993). To film, który udowodnił, że nowoczesna technologia może jednocześnie działać w służbie tradycyjnie rozumianego „spektaklu", ale i definiować sztukę popularną lat 90. – jednocześnie jarmarczną i angażującą głębokie emocje, naszpikowaną obrazami niesamowitości i bezpiecznie „przyziemną".

Nawet zrealizowana w tym samym roku „Lista Schindlera" (1993), którą często umieszcza się w centrum narracji o „hollywoodyzacji" Zagłady, była potwierdzeniem tezy, że Spielberg dociera do uniwersalnych prawd na skróty. I że jego język, zestawiony z awangardową tradycją kina rozliczeniowego, nie musi być automatycznie obraźliwy dla ofiar Holokaustu. Zwłaszcza gdy mowa o kinie popularnym jako mechanizmie podtrzymywania zbiorowej pamięci.

Po trzecie, Spielberg wypracował model autorstwa filmowego, który nie pasował do żadnej z przyjętych dotąd definicji. Odcinał się zarówno od przekonań na temat nowofalowych rozważań o całkowitej władzy nad każdym elementem dzieła, jak i od opowieści o pełnej reżyserskiej niezależności.

Był na tyle wyrazisty w tworzeniu własnego języka, że rozpoznawaliśmy jego filmy na pierwszy, maksymalnie drugi rzut oka. I na tyle wyczulony na potrzeby widza, by nie kręcić filmów dla siebie. Sprawia to, że nawet jego późniejsze dzieła – „Most szpiegów (2015), „Player One" (2018) czy „West Side Story" (2021) – da się nawlec na nitkę tematycznych obsesji i formalnych poszukiwań.

Gdzieś po drodze założył kilka wytwórni filmowych, zrewolucjonizował branżę efektów specjalnych, zdobył naręcze Oscarów i wypchnął w świat dziesiątki młodych reżyserów. Ale kto by się tam przejmował drobnicą.

Wszystkie twarze

Ulubione tematy? Nieobecny ojciec i arcywrażliwe dziecko, rodzina w stanie odbudowy, człowiek wobec historii, kosmosu i nieznanego, poszukiwanie domu i definiujące ludzkość pragnienie przynależności, młodość jako koniec niewinności oraz dorosłość jako początek społecznego posłannictwa.

Klasyczne chwyty? Silne punktowe oświetlenie, kadrowanie przez drzwi, okna, przesłony i woale, kontrast małych postaci na tle wielkich obiektów, odbicia w refleksyjnych powierzchniach, kamera przepychająca się przez zatłoczone miejsca, dorośli bohaterowie podglądani z dziecięcej perspektywy.

Jest coś niewłaściwego w sprowadzaniu twórczości Spielberga do myślników i hasełek. Podobnie zresztą jak w odklejaniu jego filmów od biografii naznaczonej doświadczeniami antysemityzmu oraz trudnych relacji z ojcem. Z drugiej strony – rymuje się to z artystyczną filozofią reżysera, który o skomplikowanych rzeczach lubi opowiadać w sposób oszczędny, prosty i miejscami nieco zbyt sentymentalny. Sednem nawet najbardziej rozpolitykowanych filmów reżysera jest bowiem coś prostego i intuicyjnego – owa niesamowitość, która zostaje odmalowana na słynnych „spielbergowskich twarzach".

Opowieść o nich sięga „Szczęk" oraz słynnego zbliżenia na przerażone oblicze aktora Roya Scheidera. Później pojawiły się kolejne twarze. Richard Dreyfuss zafascynowany lądującym statkiem kosmicznym. Henry Thomas dostrzegający w małym E.T. swojego przyjaciela. Laura Dern i Sam Neill obserwujący w zachwycie ożywione dinozaury. Zaledwie 13-letni Christian Bale podziwiający eskadrę myśliwców w „Imperium słońca". Harrison Ford zahipnotyzowany Arką Przymierza.

W spielbergowskim uniwersum twarze te wyrażają całe spektrum pragnień i lęków: dziecięcy zachwyt nad metafizyką, lęk przed potęgą historii, podziw dla beznamiętnej przyrody, strach przed

starotestamentowym Bogiem. Wszystkie też odzwierciedlają dynamikę naszej relacji z kinem. To przecież nie tylko twarze Spielberga i jego bohaterów. To również nasze twarze.

W finale przepięknego wideoeseju „The Spielberg Face" (2011) Kevin B. Lee bierze na warsztat jeden z najdziwniejszych i najciekawszych intelektualnie filmów Spielberga – zrealizowaną na podstawie pomysłu Stanleya Kubricka „A.I. Sztuczną inteligencję" (2001). Jego bohater, android o aparycji dziecka, pragnie odkryć w sobie człowieczeństwo. Poszukuje go z miną epifanijnego wręcz zadziwienia światem. Z permanentną „spielbergowską twarzą".

„Być może jest to ostateczne świadectwo pychy reżysera – przekonuje Lee – że wyobraża sobie swój charakterystyczny obraz jako trwałe dziedzictwo całego gatunku ludzkiego. Ale to właśnie ta sama pycha daje życiu kino. Czym są filmy, jeśli nie śladami naszych marzeń, które pozostają po tym, jak sami marzyciele znikną? Twarz Spielberga staje się pośmiertną maską naszego gatunku – obrazem, który trwa dalej, ukazując nas z szeroko otwartymi oczami, w wiecznym stanie zdumienia wobec tego, co znajduje się po drugiej stronie".

Dobra perspektywa

Po wchodzącym właśnie na ekrany naszych kin „Dniu objawienia" obiecuję sobie wiele. Przede wszystkim dlatego, że liczba „spielbergowskich twarzy" już w zwiastunie idzie w setki. Widzimy dla przykładu tłum gapiów, który przygląda się w ekscytacji lądowaniu UFO. Gdzieś już to widziałem.

Niedocenione filmy Spielberga

- **NA ZAWSZE (1989)**
Pilot strażackiego samolotu ginie na służbie i wraca jako duch, by pocieszyć ukochaną w żałobie. Pod koniec lat 80. i u progu ery postmodernistycznych zabaw błahy melodramat Spielberga wydawał się fuchą poniżej talentu. Dziś, gdy szczerość i prostota znów są w modzie, warto dać mu szansę.

- **ZŁAP MNIE, JEŚLI POTRAFISZ (2002)**
Czy możemy docenić fakt, że to właśnie Spielberg odkrył memiczny potencjał Leonarda DiCaprio? Co scena, to nowy kostium – pilota, strażaka, biznesmena. A co kostium, to zafrasowana, sarkastyczna albo głupia mina, która nadaje się na obrazek z zabawnym podpisem. Przy okazji, „Złap mnie, jeśli potrafisz" to kawał kina o Ameryce jako krainie wiecznego (nie)spełnienia.

- **PRZYGODY TINTINA (2011)**
Dramatycznie niedocenione „Przygody Tintina" to najlepszy „Indiana Jones" od czasu oryginalnej trylogii. W ramach zaskakująco wiernej oraz zarazem twórczej interpretacji kultowego komiksu Georges'a Remi Spielberg zmieścił epicką przygodę, niewymuszony humor, obezwładniającą akcję i mądrą opowieść o dojrzewaniu do odpowiedzialności.

- **WEST SIDE STORY (2021)**
Solidny pomost między tradycją a nowoczesnością. Spielberg zawsze był facetem, który potrafił zamienić cudzą wizję w konstytutywny element własnej wrażliwości. I żaden film nie pokazuje tego lepiej niż wystawny remake broadwayowskiej klasyki. Rachel Zegler i Ariana DeBose są tu oscarowe, choć statuetkę zgarnęła tylko ta druga.

Cieszy mnie również, że reżyser powraca do *science fiction* już po swoim „schyłkowym" filmie, czyli autobiograficznych „Fabelmanach" (2018). Wygląda to trochę tak, jakby głęboka introspekcja oraz filmowa podróż do dzieciństwa na nowo rozpaliły w nim fascynację gatunkiem. Bohaterem „Fabelmanów" jest dzieciak, który ogląda w kinie „Największe widowisko świata" Cecila B. DeMille'a (1952) i nie może się otrząsnąć po scenie katastrofy pociągu. Później, w domowym zaciszu, inscenizuje ją ponownie z użyciem zabawkowej kolejki.

Dalej idzie już z górki. Najpierw amatorskie produkcje z udziałem przyjaciół – petardy i kapiszony zamiast materiałów wybuchowych, kamera Super8 zamiast skomplikowanej filmowej maszynerii. A następnie wejście przez kuchnię do biznesu filmowego i wizyta u samego Johna Forda, granego przez... Davida Lyncha. Ford-Lynch mówi Spielbergowi nie-Spielbergowi tak: „Jeśli horyzont jest u góry kadru, jest to ciekawe. Jeśli jest na dole, jest to ciekawe. Jeśli jest na środku, jest to cholernie nudne". A ja mam ochotę wstać i bić brawo.

Nie ma lepszego dowodu na to, że w kinie liczy się przede wszystkim wybór własnej perspektywy i konsekwentne za nią podążanie. Za sprawą cudu, który czasem zdarza się w Hollywood, perspektywa jednego człowieka może być jednak zbieżna z perspektywą kilku pokoleń widzów. Cóż, najwyraźniej wszyscy jesteśmy ckliwi, lubimy dinozaury i boimy się rekinów. Patrząc zaś w nieprzeniknioną ciemność między skalnymi ścianami, dostrzegamy w niej coś... niesamowitego.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

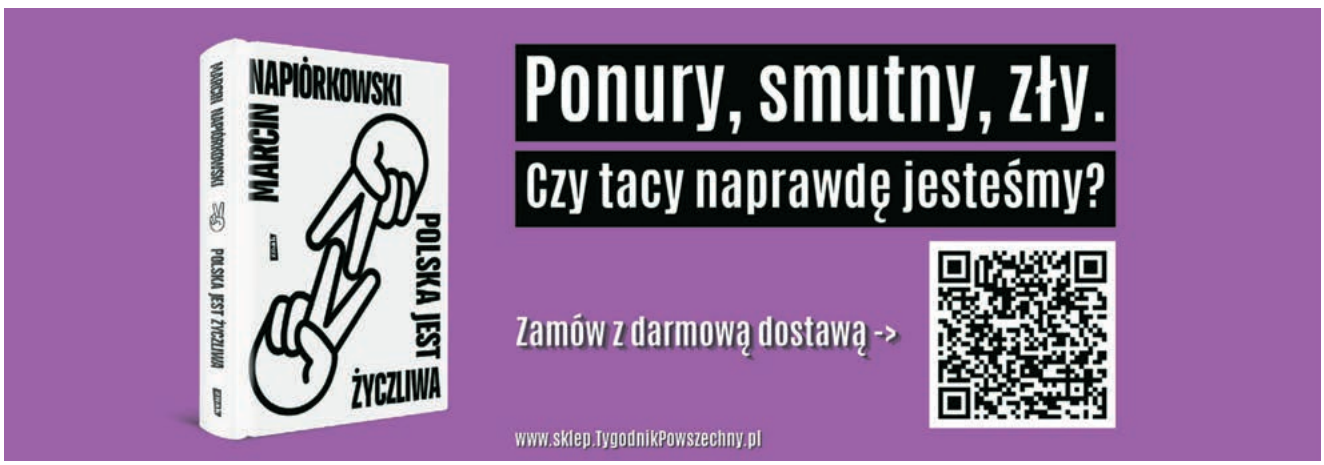



Człowiek, który ciągle chodzi

ANNA GOC

WYSTAWA | Z jakiegoś powodu chciał, by tamte czasy były zapamiętane inaczej, niż opowiadał je język władzy. I choć niektórzy pozowali, to jednak pozowali na własnych zasadach.

Pracownica przędzalni „Przyjaźń" w Zawierciu pochyla się nad maszyną i uśmiecha do siebie. Kobieta z zakładu przemysłowego na Górnym Śląsku, która trzyma małe urządzenie w jednej dłoni, a drugą uruchamia wajchę, też się uśmiecha, i też nie do nas. Podobnie jak dwóch mężczyzn na linii produkcyjnej Fiata 126p w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach, którzy stoją uśmiechnięci nad maską samochodu. A więc coś do nich mówił, rozbawiał ich celowo?

Inni są skupieni. Jak mężczyzna, który analizuje coś przed szafą sterowniczą w cementowni Rudniki i już prawie podnosi słuchawkę telefonu. Kobiety, które wpatrują się w ekrany w Zakładzie Urządzeń Komputerowych „Mera-Elzab" w Zabrzu. I mężczyzna, który obsługuje maszynę na budowie Kopalni „Pniówek" w Pawłowicach. A więc może wchodził do zakładów niezauważony?

Niektórzy jednak pozują. Jak załoga z Przedsiębiorstwa Materiałów Podsadzkowych Przemysłu Węglowego, sfotografowana podczas budowy Huty „Katowice". Kilku mężczyzn w kaskach ustawiło się na tle maszyn i próbują nie grzęznąć w ziemi. I jeszcze ta pracownica Olkuskiej Fabryki Naczyń Emaliowanych – jak ona na niego patrzy.

W spojrzeniach ludzi, których fotografował Józef Makal, odbija się i on, i jego praca. Także to, jak chciał, by byli zapamiętani.



Powyżej: powódź w okolicach Wodzisławia Śląskiego, lipiec 1966 r.
Na lewej stronie: przed defiladą, Plac Czerwony w Moskwie, lata 60. XX w.

Bez pozowania

Zaczął od ebonitowego Kodaka, który dostał na pierwszą komunię, a potem schował na strychu przed ludźmi, których sprowadziła wojna. Ktoś mu go ukradł, a on się nie zraził. Zanim jego zdjęcia zaczęły ukazywać się codziennie w „Dzienniku Zachodnim", publikował krótko w młodzieżowym tygodniku „Co dalej?" i w „Panoramie".

Bezimienni robotnicy przy robocie. Matka z dzieckiem niosącym zwinięty dywan przez katowicki rynek. Mężczyzna z zegarem pod pachą. Kobiety, które fotografował przy okazji, gdy schodził z piątego piętra katowickiego Domu Prasy, gdzie była redakcja, a potem zamieszczał, nie podpisując, w rubryce „Sympatyczna". Nadzy górnicy w łaźni, gdzie dotąd nie wchodził nikt poza nimi.

Zakłady pracy z rurami biegnącymi po ścianach i oknami u sufitu, dzięki którym wpada dzienne światło, i tak niemające szans z tym sztucznym generowanym przez dziesiątki lamp. Przemysłowy krajobraz wielkich kominów, do których dymu za bardzo się przyzwyczailiśmy. Apokaliptyczne piece, większe niż ci, którzy je obsługują; pocięte i porozrzucane na placu budowy przęsła. Bajzel roboty i zapach papierosów zapalanych pod kurtką.

Z jakiegoś powodu chciał, by tamte czasy były zapamiętane inaczej, niż opowiadał je język władzy. Nie było tu szarego PRL-u i przodowników pracy. Choć była ciężka robota i była bieda. I choć niektórzy pozowali, to jednak pozowali na własnych zasadach.

Jeśli dzieci pytają: „co to?" i „jak to działa", to Makal odpowiadał na te pytania z dziecięcą ciekawością. Widać, że nie wychodził z aparatem w teren, bo takie dostał zlecenie w redakcji, tylko dlatego, że nie potrafił wysiedzieć przy biurku, gdy wokół tyle się działo.

Od 28 maja w Muzeum Śląskim w Katowicach można oglądać wystawę „Józef Makal. Cztery dekady, jedno spojrzenie".

Decydujący moment

Być może nie byłoby tej wystawy, gdyby kilkanaście lat temu się nie spotkali. Kamil Myszkowski studiował wtedy dziennikarstwo, a w zauważonym na ulicy starszym człowieku, z długą brodą, w kapeluszu, białym garniturze i o lasce – rozpoznał Józefa Makala. Śląski Henri Cartier-Bresson – tak się wtedy o nim mówiło, bo podobnie jak paryski fotoreporter, ojciec fotoreportażu, i ten śląski potrafił uchwycić decydujący moment. I to niejeden.

Umówili się w Centrum Informacji Miejskiej w Sosnowcu, gdzie Makal miał w zwyczaju pijać kawę i rozmawiać z ludźmi, którzy szukali informacji o mieście. Przyszedł z reklamówką w kwiaty, z której wysypał zdjęcia. Wtedy już ↦

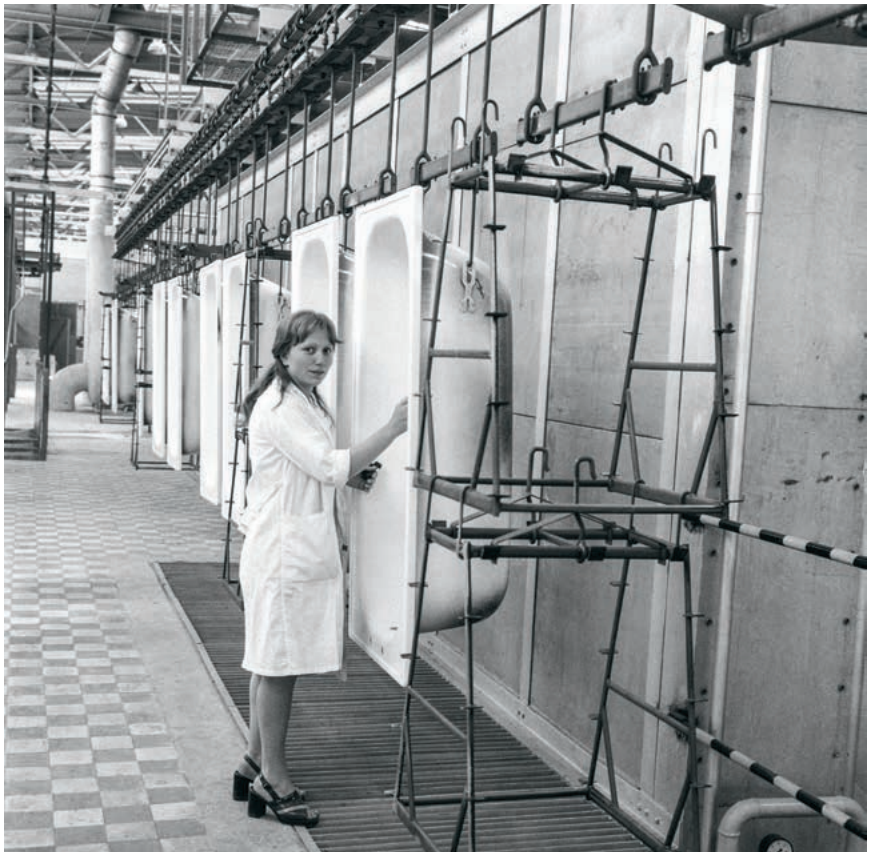

↦ prawie nie widział, więc przy każdym pytał, co na nim jest, żeby – po kilku wskazówkach – o nim opowiadać.

Z dr. Kamilem Myszkowskim z Instytutu Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego, pomysłodawcą i kuratorem wystawy, umawiamy się na kilka miesięcy przed wernisażem. Zjeżdżamy na poziom minus cztery w muzeum. Zajmujemy niewielki stolik w rogu hali ogromnego magazynu zbiorów.

Szacuje się, że Józef Makal zrobił od 2,5 do 3,5 mln zdjęć. – Swój dorobek, zawodowy i zdjęcia prywatne, przechowywał w redakcyjnej szafie. Na początku lat 90. przeszedł na emeryturę, a zdjęcia zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach – mówi Myszkowski. – Dzisiaj mamy 48 odbitek i 3646 negatywów i diapozytywów w zbiorach muzeum, które rodzina odnalazła przypadkowo kilka lat przed śmiercią Makala. A także zdjęcia z archiwum rodzinnego i te, które znajdują się w Pałacu Schoena Muzeum w Sosnowcu.



Trzy historie

Zaczynamy od odbitek.

Na pierwszej ludzie stoją przed domem, przed którym płynie wezbrana rzeka. Jedna z kobiet brodzi w wodzie. To powódź w okolicy Wodzisławia Śląskiego z lipca 1966 roku.

– Makal wsiadł do amfibii z żołnierzami, którzy płynęli z pomocą. Chwilę po tym, jak zrobił to zdjęcie, ich łódź zderzyła się ze słupem wysokiego napięcia, a Makal przewrócił się i rozbił głowę, nie wiadomo, czy stracił przytomność. Po odpłynięciu amfibii słup przewrócił się, a ci, którzy byli wtedy w wodzie, zginęli – opowiada Myszkowski.

Patrzymy na zdjęcie jeszcze raz. Tym razem głównie na kobietę, która stoi w wodzie. – O tym, że prąd raził śmiertelnie ludzi, Makal dowiedział się kolejnego dnia, gdy jako świadek został wezwany do prokuratury – mówi Myszkowski. – Zdjęcia nie można było opublikować w polskiej prasie, bo na pierwszym planie był krzyż. Dopiero gdy dostało nagrodę agencji TASS na wystawie „Intrepress-foto 66" w Moskwie, można je było pokazać i u nas.

Odwraca odbitkę na drugą stronę. – Zobacz, tu jest nawet informacja, gdzie Makal wysłał to zdjęcie. Jest pieczęć Katowickiego Towarzystwa Fotograficznego, którego był członkiem. Obok pieczątka z Buenos Aires i z Sydney. Więc w tych krajach fotografia mogła brać udział w konkursach lub być pokazywana na wystawach – opowiada.

Na drugiej odbitce Plac Czerwony. – Makal zrobił je w latach sześćdziesiątych w Moskwie. Na pierwszym planie chłopiec, który rozgrywa swoją grę małymi żołnierzykami. W tle prawdziwi żołnierze na tle Kremla, który rozgrywał sytuację polityczną bloku wschodniego – mówi. – Makal miał świadomość, że zdjęcia, które robi, są ważne: i historycznie, i artystycznie. I że potrafił uchwycić decydujący moment.

Ostatnie, zatytułowane „Jutro niedziela", ta fotografia chłopca, który zarzuca obiema rękami na plecy plecioną siatkę z butelkami. Pozuje? Chyba nie. Coś jednak przyciąga jego wzrok, bardziej od fotografa, który musiał podejść bardzo blisko, by zrobić mu zdjęcie. Brytyjskie wydawnictwo zamieściło to zdjęcie w wydaniu „Photography Year Book" w 1965 roku, gdzie zebrano najlepsze zdjęcia z tego roku z całego świata.

Pamiętasz takie Katowice?

Na wystawie można zobaczyć 250 zdjęć Józefa Makala, podzielonych na trzy tematy: człowiek, miasto, przemysł/praca.

– Spójrz, jaka to jest historia przemysłowych Katowic – pochyla się nad zdjęciami Myszkowski.

Makal fotografował Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie przez ponad czterdzieści lat. Po zestawieniu tych zdjęć widać, jak bardzo rejon się zmieniał i ile od niego oczekiwano.

Wybieramy najstarsze zdjęcia Katowic. Oglądamy dawne miasto, którego żadne z nas nie ma prawa pamiętać. Początek lat 60., widok na ulicę Staromiejską i znajdujący się przy Rynku dom handlowy Zenit, który wtedy był budowany. Na innym zdjęciu pierzeja od Rynku do Spodka w 1974 r., czyli obecna Aleja Korfantego, a wtedy ulica Armii Czerwonej.

– Rynek też się zmienił, zobacz, zniknęły niektóre budynki, nie ma już na przykład Pałacu Ślubów i tego domu handlowego – pokazuje Myszkowski. – A tu dom handlowy „Skarbek", jeszcze bez windy. Przejście pod Rondem Ziętka dzisiaj wygląda zupełnie inaczej, nie ma tam już pasażu ze sklepami. No i budynek historycznego dworca w Katowicach z charakterystyczną kładką, pamiętasz ją?

Gdy Myszkowski pracował nad wystawą, robił kwerendę w archiwalnych wydaniach „Dziennika Zachodniego", porównywał negatywy z wydrukowanymi zdjęciami, jak były kadrowane i adiustowane. Potem z niektórymi chodził po mieście, sprawdzał, jak przestrzenie, które Makal fotografował, się zmieniły.

– Identyfikacja niektórych miejsc, zwłaszcza kopalń, które się przebudowywały lub zostały zlikwidowane, jest prawie niemożliwa. Stąd tyle tu ludzi w „nieznanych zakładach pracy". Tym bardziej że Makal, jako fotoreporter „Dziennika Zachodniego", robił zdjęcia w całym regionie.



Powyżej: Leonid Breżniew na terenie budowy Huty „Katowice", lipiec 1974 r.
Na lewej stronie od góry:
w Olkuskiej Fabryce Naczyń Emaliowanych, lata 60.-70.; „Jutro niedziela", lata 60. XX w.

Fotografia na dwie ręce

Był wszędzie tam, gdzie coś się działo. W styczniu 1958 r. zjeżdżał z Władysławem Broniewskim i z górnikami do kopalni. – Trzeba pamiętać, że pod ziemią bywa i plus 40 stopni. Jest ciemno, ciasno, trudno o odejście. Zdjęcia są więc robione z bliska. Makal opowiadał, że Gomułka nie lubił brudnych twarzy, więc z fotografem zjeżdżał pod ziemię ktoś z ręcznikiem.

9 września 1967 r. fotografował wizytę de Gaulle'a. 7 czerwca 1972 r. przyjazd Fidela Castro do Katowic. Kubańczyk przebrał się od razu w górniczy mundur, który dostał w prezencie. W drodze z Katowic do Zabrza, Makal został z nim pomylony. „Pamiętam, miałem na sobie granatową koszulę z pagonami i jednakowe spodnie. Do tego jeszcze ciemna broda i czapeczka. Gdy wysiadałem z samochodu, ktoś krzyknął »O, Fidel!«, dziewczyny z kwiatami zaraz przybiegły mnie witać. Od razu to podłapałem i krzyknąłem »Salute señorina, saluto camarade!«" – opowiadał w rozmowie, którą przeprowadził z nim Myszkowski.

W lipcu 1974 r. fotografował delegację z Breżniewem. – Mamy tutaj Leonida Breżniewa, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia. Niestety do czasu wizyty Breżniewa nie udało się wybudować Huty „Katowice" , dlatego zabrali go na plac budowy. Postawili parkan i wręczyli Breżniewowi legitymację pierwszego pracownika Huty „Katowice" – opowiada Myszkowski. I zwraca uwagę na wymowny gest dziennikarza, który próbuje nagrać przemówienie i wciska w kadr rękę z mikrofonem. – I to zdjęcie na pewno nie mogłoby się ukazać w prasie – mówi. – Dlatego Makal zawsze powtarzał, że fotografuje na dwie ręce. Jedno zdjęcie robi dla gazety, drugie dla siebie, do archiwum, na lepsze czasy.

Na 25-lecie pracy Makala na pierwszej stronie „Dziennika Zachodniego" ukazał się o nim tekst. Na pytanie, kto to jest fotoreporter, odpowiedział: „To człowiek, który ciągle chodzi, wszystko widzi i ma dobry refleks". ©℗ ANNA GOC

Zdjęcia Józefa Makala pochodzą ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Faraon ekranu



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Filmowy gwiazdor, idol tłumów, kobieciarz i raczej kiepski ojciec nie tylko będzie musiał dać swoją twarz wojskowej dyktaturze. Zostaje wplątany w intrygę, w której stawką jest to, co kocha najbardziej.

Czy bycie aktorem może być – albo czy powinno być – neutralne politycznie? Odpowiedzi są zazwyczaj skrajne. Pierwsza, ta z wulgarnym rozwinięciem i przypisywana Kazimierzowi Dejmkowi, mówi po prostu, że „aktor jest od grania". Druga wiąże się z różnymi rodzajami aktywizmu uprawianymi przez ludzi kina i sceny – wszak znana twarz potrafi sprzedać wszystko, także szlachetne akcje czy idee. Ale, jak wiemy z różnych odsłon historii, również polskiej i nie tak dawnej, może stać się twarzą opresyjnego systemu.

„Orły republiki" to właśnie ten drugi przypadek, czyli opowieść o egipskim gwiazdorze, który dostał propozycję nie do odrzucenia: ma zagrać urzędującego dyktatora. I cóż z tego, że nie wygląda jak Abdel Fattah as-Sisi – dla uatrakcyjnienia wizerunku prezydenta to nawet lepiej. Film Tarika Saleha nazywa zatem problem po imieniu, będąc konkretnym i jawnym oskarżeniem politycznym, a zarazem historią trzymającą się kurczowo swoich konwencji. Na przykładzie współczesnego Egiptu, środkami charakterystycznymi dla politycznego thrillera, opowiada o niebezpiecznych związkach kina i władzy.

Postać gwiazdora o fikcyjnym nazwisku George El-Nabawi też nie została wzięta z wyobraźni. Scenariusz Saleha inspirowany był autentycznym przypadkiem znanego egipskiego aktora, który zagrał obecnego prezydenta w bałwochwalczym serialu. Mamy więc do czynienia z *political fiction* osadzoną w bardzo realnym kontekście. Filmowy George zdaje się zrazu całkowicie apolityczny, czerpiąc garściami ze swej uprzywilejowanej pozycji, jednak rychło przekona się, że bycie „faraonem ekranu" ma także swoją cenę. Idol tłumów, kobieciarz, obyczajowy liberał i raczej kiepski ojciec zbuntowanego nastolatka nie tylko będzie musiał dać swoją twarz wojskowej dyktaturze, rządzącej krajem od 2013 roku. Zostaje wplątany w intrygę, w której stawką jest to, co kocha najbardziej.

Szwedzki reżyser o egipskich korzeniach odtwarza tym samym dobrze znane mechanizmy manipulacji i osaczenia, z inwigilowaniem i szantażowaniem włącznie. W kraju panuje cenzura, pacyfikuje się studentów, rządzi turbonacjonalizm i militaryzm, władza wszędzie węszy spisek. Z początku El-Nabawi zdaje się martwić jedynie o swoją karierę i publiczny wizerunek, jakby granie w propagandowym gniocie było jakąś degradacją w porównaniu z kiczowatymi rolami, które grywa na co dzień. Ale kwestia smaku szybko przestaje być istotna. Mimo że żyje w związku z młodziutką aktorką, obracający się teraz w wysoko postawionych sferach rządowych George wplątuje się w erotyczną aferę z żoną ministra obrony.

Nad głową „faraona" zbierają się coraz ciemniejsze chmury, lecz będzie musiał odegrać swoją rolę aż do końca. W ten sposób Saleh, znany z sensacyjno-kryminalnego temperamentu filmowego, opowiada o konformizmie, jaki rodzi się zwykle tam, gdzie cel uświęca wszelkie środki. I gdzie trosce o własną karierę towarzyszy najzwyklejszy strach o najbliższych.

To oczywiste, że „Orły republiki", mówiony po arabsku szwedzki kandydat do Oscara, choć jest ostatnim ogniwem „trylogii kairskiej" Saleha, nie mógł być kręcony w prawdziwym miejscu akcji. I nie chodziło jedynie o antyrządową tematykę filmu. Zdjęcia, siłą rzeczy dość generyczne, powstawały głównie w Stambule, bowiem ojczyzna przodków postawiła reżyserowi szlaban, kiedy nakręcił tam „Morderstwo w hotelu Hilton" i w konwencji kryminału pokazywał głęboką korupcję egipskich elit. A złowieszczą postać sługusa systemu, doktora Mansoura, gra w nowym filmie Amr Waked, aktor od dawna przebywający na wygnaniu, skazany w Egipcie na osiem lat więzienia za rzekome sianie dezinformacji.

Z pewnością nie byłby tam również mile widziany Fares Fares, ulubiony aktor Saleha, znany też z seriali „Westworld" czy „Czarnobyl". Trzeba przyznać, że ów Szwed libańskiego pochodzenia wciela się w postać starzejącego się egipskiego bożyszcza z iście faraońską charyzmą, a zarazem nadaje jej „zmęczony", ludzki rys.

Na planie fikcyjnego filmu „Wola ludu" i w rządowych gabinetach toczy się nie tyle walka bohatera o swoją duszę, ile o podstawowe przetrwanie. George pozna więc ewidentne korzyści wynikające



MATERIAŁY PRASOWE

ORŁY REPUBLIKI
(„Eagles of the Republic”) – reż. Tarik Saleh. Prod. Dania/Francja/Szwecja 2025. Dystryb. Aurora Films. W kinach.

Tarik Saleh to szwedzki reżyser, producent i dziennikarz pochodzenia egipskiego. W 2005 r. zadebiutował jako współtwórca dokumentu „GITMO – Nowe prawa wojny”. Cztery lata później nakręcił „Metropię”, animowany film SF. Najbardziej znany jest z tzw. trylogii kairskiej, którą prócz „Orłów republiki” tworzą „Morderstwo w hotelu Hilton” (2017) i „Chłopiec z niebios” (2022).

Na zdjęciu: Fares Fares jako George El-Nabawi w filmie „Orły republiki”

z uległości (można komuś pomóc), jak i nieprzejrzystą naturę całego systemu, w którym sławny aktor ma być tylko statystą w dużo większej „produkcji”. Są momenty, kiedy w profesjonalno-pragmatycznym podejściu do rządowego zlecenia pojawiają się przebłyski nonkonformizmu – jak chociażby wtedy, gdy „strażnicy republiki” próbują kontrolować aktorstwo George’a i przestaje tu cokolwiek znaczyć jego gwiazdorski status. Bo przecież „aktor jest od grania...”.

Jednocześnie staje się to gwiazdorstwo dodatkowym brzemieniem, gdy bohater próbuje zaprzyjaźnić się ze swym synem i w rozmowie brzmi tak, jakby przemawiał tekstami ze swych pulpowych filmów. Tyle że psychologia została potraktowana tutaj od sztancy (Saleh to nie Farhadi) i staje się częścią mechanicznego konfliktu między profesjonalizmem a oportunizmem, poświęceniem i resztkami honoru. Takiemu aktorowi jak Fares należało się zdecydowanie więcej do zagrania aniżeli bycie interesującym „twarzowcem”.

Lecz jeśli nawet brakuje „Orłom” lotności czy drapieżności, to stylistycznie i politycznie starają się nie być kinem, w jakim dał się poznać główny bohater. Szkoda, że film co chwila zatrzymuje się w pół kroku czy raczej rozkroku między obrazem mocno zaangażowanym a trochę staromodną stylizacją na kino szpiegowskie. W takim ujęciu groza staje się co prawda bardziej uniwersalna, ale współczesne realia egipskie potraktowane zostały zdawkowo i schematycznie. W tym stosunek wojskowego reżymu do religii – główny bohater jest koptyjskim chrześcijaninem, co akurat nie stanowi problemu, ale władza wyraźnie kontroluje sfery religijno-obyczajowe i zwalcza radykalne Bractwo Muzułmańskie, czemu Saleh poświęcił swój poprzedni, znacznie gęstszy politycznie film, „Chłopiec z niebios”.

Na szczęście, balansując teraz między umownością a konkretem, potrafi być sprawnym opowiadaczem, w dodatku obdarzonym poczuciem humoru i to zarówno w wydaniu satyrycznym, jak i czysto absurdalnym. Kiedy na przykład okazuje się, że czasem bezpieczniej jest nie mieć znanej twarzy, a Szekspir tak naprawdę był... Arabem. ©

Lektor:
Węzeł

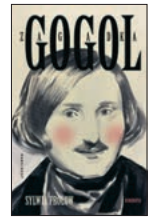

▪ *Sylwia Frołow,*
ZAGADKA GOGOL. BIOGRAFIA,
Marginesy,
Warszawa 2026, s. 448.

Pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę trwa już piąty rok. Trudno dziś zajmować się rosyjską kulturą, nie uwzględniając tego dramatycznego tła i pytań o ideowe źródła rosyjskiego imperializmu. Sylwia Frołow, biografka Feliksa Dzierżyńskiego i autorka pocztu postaci okołorewolucyjnych („Bolszewicy i apostołowie”) oraz książek o kobietach Czechowa i Dostojewskiego, wybierając kolejnego bohatera, trafiła w sam środek tarczy. Bo przecież Nikołaj Gogol/Hohol, wielki pisarz rosyjski i bezlitosny diagnosta XIX-wiecznego społeczeństwa rosyjskiego, ale też Ukraiothers (Małorosjanin?) w pełni świadom swojego pochodzenia, pozwala przyjrzeć się rosyjsko-ukraińskiemu węzłowi, który, jak się zdaje, wojna nieodwołalnie teraz przecina.

Dodam od razu, że autorka nie tylko przekopała się przez ogromną literaturę przedmiotu i namalowała plastyczny obraz carskiej Rosji, ale też przywołała sądy współczesnych pisarzy ukraińskich – Oksany Zabużko i Jurija Andruchowycza. Przede wszystkim jednak stworzyła frapujący portret twórcy pełnego sprzeczności, satyryka przejętego poczuciem grozy istnienia, realisty targanego ciągotami mistycznymi, pozostającego rzeczywiście psychologiczną (po trosze też psychiatryczną) zagadką. Odważne zadanie – portretować kogoś, kto tak bardzo był wrażliwy na punkcie własnego wizerunku.

Który Gogol jest prawdziwszy: ten, który tak bezwzględnie opisał swój kraj w „Rewizorze” i w pierwszej części „Martwych dusz”, czy ten, który zachwycił się „Domostrojem”, dość przerażającym i zdumiewająco szczegółowym religijnym przepisem na codzienne życie? Nienawidzący Gogola Wasilij Rozanow uważał, że to właśnie pod jego wpływem zrodziło się zło rosyjskie. „Od niego – utrzymywał – »rozpoczyna się w naszym społeczeństwie zatrata poczucia rzeczywistości, podobnie też od niego wywodzi się początek odrazy do niej«”. „Był przekonany – tłumaczy dalej Sylwia Frołow – że Gogol z anegdoty (»Rewizor« i »Martwe dusze« powstały z anegdoty) zbudował Rosję – i przyszło najgorsze: Rosja stała się anegdotą!”.

Przywołuje też autorka ukraińskiego pisarza emigracyjnego Jewhena Małaniuka (wydano u nas jego korespondencję z Jerzym Giedroyciem), który podobnie oceniał rolę Gogola/Hohola: „Położywszy podwaliny pod »wielką rosyjską literaturę«, Hohol zagasił najpierw słoneczną poezję Puszkina i jego plejady, wykoszlawił potwornie rozwój organiczny literatury rosyjskiej i zatruł ją trupim jadem swej martwej, przez państwowość rosyjską uśmierconej duszy”. Ukraiński koń trojański? Śmiała teza... ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Łączą nas pierogi



Nie przepadam jakoś nadzwyczajnie za ostrygami. Jeśli ktoś mi je postawi na stole, jednak nie odmówię i pięknie się ukłonię. Pokropię cytryną i wysiorbię, nawet postaram się rozróżnić niuanse smakowe różnych odmian. A potem zdecydowanie przyjemniejsza część programu, czyli białe wino. Przynależy do tego posiłku tak jak keczup jest niezbywalną częścią frytek. (Wolicie z majonezem? Udaję, że nie słyszałem, bo do wieczora nie wyszlibyśmy z tej dygresji, ale jeśli już chcecie koniecznie zrywać święty małżeński węzeł z keczupem, to spróbujcie posypać parmezanem i skropić oliwą, tylko nie mówcie potem gastrologowi z izby przyjęć, kto wam to poradził). Wino znad dolnej Loary, zwane muscadetem (powstaje ze szczepu Melon de Bourgogne, choć ani muszkatu, ani melona nie było w pobliżu), uchodzi słusznie za pewniak, ale ostatnio dwa razy popijałem dobrymi nie bardzo ciężkimi Grüner Veltlinerami znad Dunaju. I czułem się jak komisarz Maigret (z powieści Georges'a Simenona), który w jednej z najlepszych powieści cyklu zgadza się tłuc pociągiem kawał drogi do jakiejś portowej dziury aż za La Rochelle i podjąć nieciekawe śledztwo tylko dlatego, że zatęsknił za świeżymi ostrygami w knajpce podlanymi miejscowym białym.

Może to właśnie o to chodzi, o tę knajpkę, do której piegowaty rudzielec, młodszy syn pobliskiego hodowcy, przywozi co rano skrzynkę ostryg, pedałując na starym rowerze. Szefowa potem je poda na talerzu z raczej podłego fajansu razem z karafką i szklankami, i będzie można je zjeść bez tej nieznośnej, mdlącej mnie przyprawy, jaką jest wydumana egzotyka, psująca rzeczy najprostsze, które nie znoszą ceremonii. Trudno, nie urodziłem się nad żadnym z bogatych w skorupiaki mórz i pewne przyjemności po prostu nie będą mi dane.

Rozmarzyłem się sentymentalnie, czytając jadłospis bankietu na kilka tysięcy osób, jaki wydaje za parę tygodni w gaskońskim miasteczku organizacja Canon Français (czyli „Francuskie Działo" – w logo stylizowana armata) odpowiedzialna za gastropatriotyczne eventy, budzące raz po raz kontrowersje. Zarzuty są najcięższego kalibru – o szerzenie skrajnie prawicowej agendy czy wręcz softfaszyzm. Pomimo czysto biesiadnego charakteru tych wydarzeń. A może właśnie z ich powodu, jakby dla przypomnienia tego, co sobie nieraz tu opowiadamy, że wspólnota posiłku i zawartość talerza prawie nigdy nie są niewinne, wyprane ze znaczeń politycznych.

No więc na początek będą lokalne ostrygi, których tak zazdroszczę. Potem jednak znad morza przenosimy się do chlewika: reszta posiłku to kiełbasy, boczki i kiszki – Gaskonia słynie np. z rolowanego boczku suszonego i nacieranego czosnkiem – a na danie główne osiem godzin duszona karkówka. Z jakimiś ziemniaczkami, ale kto by zwracał uwagę na pomijalne dodatki. Do tego wino, dużo wina. Potem sery, ma się rozumieć, że również bardzo swojskie. W kraju, gdzie najnędzniejszy kawałek łąki, którą mogłaby oskubać chuda koza, już daje początek serowi o ściśle chronionej nazwie i tradycji sięgającej wioski Asteriksa, to łatwo. Potem miejscowy deser – coś na kształt karpatki z czekoladą, tyle że w tamtych warunkach nazwalibyśmy ją pirenejką...



ALEX MARTIN / AFP / EAST NEWS

I tak w podobnych konfiguracjach z niewielkimi wariantami – np. prosię z rożna zamiast pieczeni – to się odbywa w każdym z wielu regionów. „Armatnim" bankietom zarzuca się, że już sama wieprzowina w menu to akt wykluczenia i ksenofobii. Ktoś przytomnie kontruje, że trzy czwarte tradycyjnych potraw w każdym zakątku Europy, jeśli w ogóle zawiera mięso, to właśnie takie. Choćby dlatego, że jest tanie i łatwe w obróbce. I że organizatorzy po prostu maksymalizują zysk. No i trudno im mieć za złe, że znaleźli niszę – fantomową potrzebę wspólnotowego świętowania jak w dawnych wiejskich społecznościach – i pierwsi ją zmonetyzowali.

Mimo naprawdę wysokiej ceny jak za prostą wyżerkę – osiemdziesiąt euro – nigdy nie brakuje biesiadników. Czy też widzów. Albowiem ludzie kupują nie tylko jedzenie, lecz udział w spektaklu. Przekonywani przez organizatorów przed, w trakcie i po, że przy długich stołach materializuje się zwykła, dobra Francja normalnych ludzi. Temu służą różne pokazy – często rekonstrukcje historyczne – i nostalgiczny program muzyczny,



Bankiet zorganizowany przez Canon Français w miejscowości Montélimar, 8 maja 2026 r.

samych francuskich przebojów, wystarczająco starych, żeby znali je wszyscy. Marsylianka śpiewana na początek i na koniec. Skądinąd bojowa i agresywna, gdyby ktoś bez sentymentów chciał przeczytać jej zwrotki. No ale czytanie hymnu, jakby był zwykłym tekstem, to zajęcie dla samozwańczych psychoanalityków zbiorowej duszy. Albo cwanych operatorów na różnych giełdach wzajemnej nienawiści, których ostatnio mamy okazję oglądać u siebie.

Otóż właśnie. W naszych rozmaitych polskich – różnych, ale nie wchodźmy teraz w detale – tradycjach jest, owszem, trochę wieprzowiny, ale jednak mniej, bośmy wyrośli z większej biedy niż dawni Francuzi czy Niemcy. Ale jest za to jeden obyczaj, pięknie inkluzywny, który czeka na sprytnego inwestora, gotów urządzić w każdym powiecie wielkie żarcie pierogów. Za stówę od łebka, a niechby. Rozmaitych, ale jedne muszą być w każdym programie: ruskie. Z obowiązkowym krótkim wykładem, co znaczy ich nazwa, skąd pochodzą. Może to pomoże, byśmy się nie żarli z Ukraińcami. Jak się nie doda skwarków, to i wegetarianie się załapią.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Makaron aglio-olio, wersja pracochłonna

Siódmą dekadę życia niebawem zacznę, a nadal nie umiem lepić pierogów. Podobno to proste. Cóż, w kwestii prostego jedzenia wolę nadal zrobić makaron. A najlepiej go kupić, samemu zająć się zaś jakimś sosem. Dziś wam pokażę, jak nieco bardziej skomplikować jeden z najprostszych. Po co? Kluski wychodzą jeszcze bardziej oleiste, cudownie omaszczone, czosnek przenika w ich głąb. Podpatrzyłem to u mediolańskiego szefa Cesarego Battistiego, ufam mu – jeśli on coś kombinuje i utrudnia, to na pewno warto.

SKŁADNIKI na 2 osoby:
5 ząbków czosnku 150 g spaghetti 1 mała ostra papryczka ▪ natka pietruszki ▪ oliwa, jak najlepsza ▪ sól

Rozgniatamy ząbki czosnku, wyjmujemy zieloną „duszę”, jeśli takowa jest, wrzucamy do garnuszka na osolony wrzątek. Gotujemy, aż zmięknie – młody czerwcowy czosnek potrzebuje 5 minut, w zimie to pewnie będzie dłużej. Odcedzamy, wrzucamy do wysokiego naczynia z 50 ml wody, w której się gotował, i dodajemy 50 ml oliwy. Dodajemy jeszcze szczyptę soli i miksujemy na rzadki krem, który przelewamy do patelni i na wolnym ogniu dusimy w nim drobno posiekaną papryczkę. Równolegle obok w dużym garnku szykujemy wrzątek na makaron, gotujemy spaghetti, aż będą al dente, przerzucamy na patelnię i krótko łączymy go z sosem, posypując obficie natką (posiekaną nie bardzo drobno). Końcowy efekt może być dość „mokry”, sosu może się wydawać za dużo – ale to nic złego, można go potem wyczyścić chlebem. Jeśli macie zwyczaj tę potrawę jeść z parmezanem (istnieją ostre kontrowersje na ten temat), możecie mniej solić czosnek i wodę na makaron. Jeśli jednak zjecie bez – to pamiętajcie o soli, bo czosnek w trakcie gotowania robi się słodkawy. Ostatnio zamiast ostrej papryczki wrzuciłem na patelnię pieczoną słodką paprykę, a tę ostrą dodałem pod koniec w formie sproszkowanej. ©℗



GRINCH / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

PIĘKNO I PYCHA

JONATHAN WILSON, HISTORYK FUTBOLU:

Jeśli obejrzenie meczu może pomóc zapomnieć o problemach, wszystko w porządku. Zwłaszcza że piłka to też wielki fenomen kulturowy.

JAKUB KRUPA: Jestem kibicem, w sezonie klubowym nie odpuszczam żadnego meczu, ale w ogóle nie czuję ekscytacji mistrzostwami świata. I chyba nie jestem w tym sam.

JONATHAN WILSON: Tymi konkretnymi? Czy w ogóle mistrzostwami?

Tymi chyba szczególnie.

Ja wciąż uważam, że mundial to najlepsza rzecz na świecie. Ale przyznam, że akurat tegoroczny to pierwszy, do którego podchodzę z obawami. Kiedy szedłem na rozmowę wizową, jakaś część mojego mózgu mówiła: „Trudno, pewnie odrzucą mój wniosek, zdarza się. Pojadę do Meksyku i wrócę". Ale proces był świetny. Niezależnie od tego, jakie problemy trawią Stany Zjednoczone, ludzie z ambasady w Londynie nie są jednym z nich.

Musisz wiedzieć, że takie mistrzostwa są dla dziennikarza wykańczające. Mam za sobą 26 turniejów międzynarodowych: nauczyłem się w ich trakcie, że trzeba narzucić sobie pewien rygor. Regularnie ćwiczyć, coś przy okazji zwiedzić, nie pić codziennie, jeść w miarę zdrowo. Ale to będzie najdłuższy mundial w historii. Mistrzostwa Europy czy Puchar Narodów Afryki trwają niecały miesiąc. Można dać radę. Pięć tygodni to już ciężka sprawa; sześć – brzmi brutalnie.

To efekt rozszerzenia formatu do 48 drużyn.

Poprzedni format, z 32 drużynami, był idealny. Był jakiś element ryzyka i w eliminacjach, i w fazie grupowej, a w fazie pucharowej zostawało tylko 16 reprezentacji.

Teraz faza grupowa może się okropnie ciągnąć, a faza pucharowa z udziałem 32 drużyn oznacza wielkie ryzyko bez marginesu błędu. Jeszcze cztery lata temu w pierwszym meczu późniejszy mistrz, Argentyna, przegrała w grupie z Arabią Saudyjską – ale miała czas się poprawić. To samo Hiszpania ze Szwajcarią w 2010 r. Jeśli to się wydarzy w nowym modelu – odpadną. Ryzyko jest więc takie: najpierw będzie nuda, później nagle rzeźnia i nudna końcówka, w której zostaną jeden czy dwaj mocni faworyci. Będziemy musieli obejrzeć aż 72 mecze grupowe, żeby zawęzić grono z 48 do 32 zespołów.

Pierwsze trzy tygodnie będą się więc po prostu wlec. To strasznie dużo czasu, żeby pozbyć się z turnieju Curaçao i Haiti.

Dla mnie takie drużyny jak ci romantyczni debiutanci – Curaçao, Jordania, Uzbekistan, Wyspy Zielonego Przylądka – to jeden z nielicznych powodów, dla których potrafię się choć trochę ekscytować.

W poprzednim formacie też miałeś ich kilku. Musisz mieć aż kilkunastu?

Wiesz, o co mi chodzi: atmosfera wokół mundiali w Rosji czy w Katarze była zniechęcająca jeszcze zanim się zaczęły. Z jednej strony polityka, z drugiej strony bombastyczne zapowiedzi, że to będzie najlepszy, największy, najwspanialszy turniej, i jeszcze rozbuchana, wszechobecna komercja. Ale może to lustro dla naszego szalonego świata.

A pomyśl, że turniej w USA to miał być powrót do „normalnych" mistrzostw – po Katarze, Rosji, a nawet Brazylii w 2014 r. Tam też było sporo niezadowolenia z powodu wydawania pieniędzy, które powinny, zdaniem krytyków, trafić do szpitali czy szkół. W pewnym sensie podobnie było w RPA w 2010 r., kiedy podnoszono obawy dotyczące przestępczości albo tego, że mieszkańcy kraju inwestowali środki, których nie mieli, w coś, czego tak naprawdę nie potrzebowali.

Ale tutaj miało być inaczej: Meksyk już dwa razy był gospodarzem, Stany regularnie goszczą duże imprezy, a Kanada... Wiadomo: Kanada to Kanada, wszystko będzie w porządku.

To postać Trumpa sprawiła, że nic nie jest w porządku?

Nigdy wcześniej nie mieliśmy gospodarza mistrzostw, który na dwa tygodnie przed pierwszym gwizdkiem bombarduje jednego z uczestników. Jeśli USA i Iran skończą na drugich miejscach w swojej grupie – bardzo chcę, żeby tak się stało – mogą spotkać się w fazie pucharowej.

Dobrze, że Dania odpadła w eliminacjach, biorąc pod uwagę plany Trumpa dotyczące Grenlandii. Albo Wenezuela i Kuba.

To nie jest normalne.

Nigdy – w żadnych z 22 mistrzostw świata – nie mieliśmy gospodarza, którego rząd byłby tak otwarcie wrogi. Podejście zawsze było takie, żeby pokazać się innym: „Zobaczcie, jak u nas jest wspaniale, i powiedzcie światu, jacy jesteśmy cudowni".

COLIN POULTNEY / IMAGO SPORT / FORUM



Reprezentant Curaçao Tahith Chong w wyjazdowej koszulce swojej drużyny – jednej z najbardziej poszukiwanych przez kibiców tegorocznego mundialu – podczas meczu towarzyskiego ze Szkocją. Glasgow, 30 maja 2026 r.

W latach 30. XX w. Urugwaj i Włochy wręcz subsydiowały przyjazd drużyn na mistrzostwa. Nawet w 2018 r. bilet na mecz automatycznie dawał kibicom wizę na wjazd do Rosji. Tymczasem Stany nie zrobiły żadnych ustępstw. Cztery kraje – Haiti, Iran, Senegal, Wybrzeże Kości Słoniowej – są na czarnej liście wizowej. Piłkarzy i sztabów trenerskich ograniczenia nie dotyczą, ale już np. działaczy? Spodziewam się kłopotów.

Są też miękkie zakazy. Jeśli jesteś kibicem Ekwadoru – a to jest pewnie najlepszy zespół Ekwadoru w historii – i chcesz go zobaczyć na mundialu, to nawet jeśli złożyłeś wniosek o wizę w dniu, kiedy zakwalifikował się na turniej, jeszcze nie dostałeś się do urzędnika konsularnego. Trump zapowiadał przyspieszenie procedur, ale nie wygląda na to, by dotrzymał słowa.

Twórca idei mistrzostw świata Jules Rimet wierzył, że sport może zjednoczyć świat, i mówił w 1930 r. o turnieju jako okazji do wzmocnienia braterskich więzi między narodami. Tymczasem wiele krajów jest z niego efektywnie wykluczonych – i to nie ze względów sportowych.

A przecież nie o to w tym wszystkim chodzi.

Jedną ze wspaniałych rzeczy w mundialu jest to, że widzisz, jak kibice z całego świata mieszają się w najdziwniejszych miejscach. Pamiętam ulicę Nikołajską w Moskwie, która w 2018 r. wyglądała tak, jakby 32 kraje wysłały swoje delegacje, żeby wspólnie napić się piwa. Albo knajpę z pielmieniami w Niżnym Nowogrodzie, zawaloną kibicami z Peru, które nawet nie grało tam swoich meczów. Ciężko będzie o podobne sceny w USA.

To dość niepokojące, jeśli porównujemy mistrzostwa w Stanach z mistrzostwami w Rosji i myślimy: „O, tam to było dobrze”.

Nawet pomysły dynamicznego ustawiania cen biletów na tegoroczny mundial – jak w przypadku połączeń lotniczych – pokazują problem. Teoretycznie ma to sens rynkowy, że ustawiasz wysoką cenę, spodziewając się wysokiego popytu, ale w praktyce dyskryminuje to przybyszów. Jak mieszkasz w, powiedzmy, Bostonie, to możesz poczekać z zakupem biletu ↦

↦ do dnia przed turniejem, licząc, że wobec braku zainteresowania jakimś meczem ceny spadną do 10 dolarów. Ale nie zrobisz tego, jeśli jesteś kibicem z Uzbekistanu czy Kongo, bo musisz zaplanować całą podróż. Znowu: cały proces wygląda, jakby był zaprojektowany w celu wykluczenia obcokrajowców.

Bo to turniej dla jednej osoby: Donalda Trumpa.

I to też jest wyjątkowe. Nawet w przypadku Mussoliniego i mistrzostw w 1934 r. nie chodziło o promowanie Duce jako osoby, tylko faszyzmu i jego wizji Włoch. Nie mam zresztą poczucia, żeby Trump chciał promować jakąś konkretną wizję Stanów Zjednoczonych, bardziej chce być po prostu cesarzem w Koloseum.

Gdyby siedział z nami, pewnie powiedziałby, że to wyrażenie jego wizji „po pierwsze Ameryka", w której chodzi o sukces komercyjny i zarobienie pieniędzy.

Tylko co się stanie, jeśli Trump pójdzie na pierwszy mecz USA w Los Angeles i zostanie wybuczany? Jeśli spojrzysz na miasta-gospodarzy, bodaj osiem ma burmistrzów Demokratów, a trzy – niezależnych. Nie ma ani jednego Republikanina.

Kiedy Trump poszedł w listopadzie na mecz NFL w Waszyngtonie i został wybuczany, to później już nie wybrał się na Super Bowl. Co zrobi, jeśli na tych mistrzostwach spotka się z podobnym przyjęciem? W najlepszym wypadku uzna, że w takim razie to on ma ten turniej gdzieś. Ale może, będąc małostkowym i mściwym facetem, zrobi coś na niekorzyść turnieju? W najgorszym scenariuszu może aktywnie próbować szkodzić mundialowi, jeśli nagle uzna, że mu nie służy.

Sam widzisz, że trudno o tę dawną magię. Kiedy wspominam turnieje z lat 90., głównie pamiętam szczerą ekscytację, zbieranie naklejek i kart, wypełnianie drabinek turniejowych w zeszycie, odtwarzanie bramek na podwórku. Starzeję się, czy naprawdę coś się zmieniło?

Nie wiem. W przypadku kibica trudno kompletnie odłożyć opowieść o swoim dorastaniu na bok. Zastanawiam się, co jako dwudziestolatek myślałbym o mundialu w USA.

Angażowałbyś się jakoś i protestował? Czy po prostu poszedłbyś do pubu na kolejny mecz?

Nie protestowałbym; na pewno bym oglądał. Ale może przewagą turniejów z lat 80. i 90. było to, że niewiele o nich wiedzieliśmy.

Mówiłem kilka dni temu w BBC o mundialu w Meksyku z 1986 r. Z racji wieku pamiętam z niego dwie rzeczy: pierwsze prostokątne siatki na bramkach i prawego obrońcę Brazylii Josimara, który strzelił dwa piękne gole. Przez całe lato, jak ktoś na podwórku huknął z dystansu, to wszyscy krzyczeli „Josimaaar!". A przecież nie mieliśmy pojęcia, kto to jest. W reprezentacji zagrał tylko 15 meczów, nigdy nie był specjalnie dobry, a nagle mówił o nim cały świat po golach z Irlandią Północną i – no właśnie – z wami, z Polską.

Na mundialach powstają legendy?

Kiedyś na pewno powstawały.

A dzisiaj?

Dzisiaj na długie tygodnie przed turniejem czytamy w najdrobniejszych szczegółach o dylematach brazylijskiego selekcjonera z obsadą pozycji prawego obrońcy, a w podkastach omawia się absolutnie każdy szczegół jego życia. Zanim zagra pierwszy mecz, masz go po dziurki w nosie.

Sposób, w jaki patrzymy na mistrzostwa, wyspecjalizowanie mediów sprawiły, że straciliśmy sporo dawnego kolorytu. Może to zmienią te nowe drużyny, bo przyznaję, że składów Curaçao i Wysp Zielonego Przylądka dobrze nie znam.

Jeszcze.

Jeszcze. Kiedy jakiś prawy obrońca walnie dwa gole z trzydziestu metrów, to będę pierwszym, który powie: „ten jest dobry". Swoją drogą, na tym mundialu może zagrać siedmiu zawodników po czterdziestce – tylu, ile zagrało łącznie we wszystkich mistrzostwach do tej pory.

Nie każ mi ich wymieniać.

Gdybyś kojarzył Vozinhę, bramkarza Wysp Zielonego Przylądka z drugiej ligi portugalskiej, byłbym pod wrażeniem. Mam nadzieję, że będzie miał kilka świetnych interwencji.

To, jak konsumujemy mistrzostwa, rzeczywiście bardzo się zmieniło. W książce „Potęga i chwała" wspominasz o czasach, w których – przed erą telewizji – przychodziło się pod redakcje gazet, gdzie czytano z balkonów telegramy nadsyłane w trakcie meczów. Teraz masz wszystkie mecze wszystkich drużyn na jedno kliknięcie.

Szkoda, że to straciliśmy, prawda? Wyobraź sobie jakiś zacięty mecz, tysiące kibiców pod siedzibą redakcji w oczekiwaniu na kolejny telegram. Jak to robili? Czy odgrywali scenki? Jakoś akcentowali poszczególne zdania? Mówili beznamiętnie? Nie mamy żadnych nagrań: nie wiemy.

A może powinniśmy to znowu zrobić? Zakazać transmisji w telewizji, radiu, internecie i kazać wszystkim przychodzić pod nasze redakcje?

Śmiejesz się, ale nostalgii za „prawdziwą" piłką, za śledzeniem wyników w telegazecie, za tym, że „kiedyś to było", jest coraz więcej.

Świat wzajemnych powiązań jest dobry, poziom futbolu się podniósł, ale zgoda: konsekwencją globalizacji jest to, że niektóre rozgrywki, przede wszystkim Premier League, są coraz bogatsze, a inne – w Afryce, Ameryce Południowej, nawet we Włoszech – są cieniem samych siebie z przeszłości.

Telewizja wiele zmieniła. Pamiętam, że w 2008 r. byłem w Ghanie na Pucharze Narodów Afryki. Siedziałem w lokalnym barze i namawiałem ludzi, żeby następnego dnia przenieśli się dosłownie o kilkaset metrów na stadion, gdzie za jakieś 10 dolarów mogli zobaczyć Kamerun ze słynnym Samuelem Eto'o. Odpowiadali: „Nie, my nigdy nie chodzimy na mecze, oglądamy w telewizji". Oczywiście, mogli mieć wiele powodów – np. obawy o bezpieczeństwo, bo w 2001 r. po wybuchu paniki na stadionie w Akrze zginęło 120 osób. Faktem jest jednak, że w całym świecie futbol coraz częściej ogląda się tylko w zagranicznym wydaniu, przed ekranem, a nie na stadionie, więc lokalne ligi nie mogą się rozwinąć.

Są też kraje z silną kulturą kibicowania, jak Argentyna, gdzie jakość miejscowego futbolu jest słaba, bo dobrzy gracze wyjechali za chlebem i w klubach grają juniorzy albo weterani. Zabraliśmy im futbol i przesunęliśmy 10 tysięcy kilometrów dalej.

Przyznam jednak, że nie wiem, jak to rozwiązać bez resetu gospodarczego, którego wolałbym nie oglądać.

Kiedyś wiedzieliśmy mniej, więc mniej nam to przeszkadzało?

Na pewno istnieje poczucie rozczarowania, bo po USA spodziewalibyśmy się czegoś więcej. Ale przecież mówiliśmy też o problemach w Katarze czy w Rosji.



PIRANHA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA SQN

JONATHAN WILSON jest angielskim pisarzem i dziennikarzem sportowym. Autor wielu książek, po polsku ukazały się m.in. „Odwrócona piramida. Historia taktyki piłkarskiej" oraz właśnie wydana „Potęga i chwała. Nieznana historia mistrzostw świata".

Może wtedy łatwiej nam było przymknąć oko: w końcu to nie „Zachód", tam są inne standardy.

W Katarze, gdzie oglądaliśmy znakomity sportowo turniej, wiedzieliśmy, że stadiony są zbudowane kosztem krwi migrantów. To było okropne. Ale kiedyś, rzeczywiście, nie patrzyliśmy aż tak uważnie za kulisy. W brytyjskich relacjach z mundialu w 1970 r. próżno szukać informacji, że zwycięską reprezentację Brazylii wspierała dyktatura. Wszyscy mówią o „splamionym" sukcesie Argentyny, w której w 1978 r. rządziła junta. Zresztą w Meksyku, gdzie turniej rozegrano, też była dyktatura, a dwa lata wcześniej rząd tłumił protesty studentów.

A jednak my, zamiast o tym mówić, zachwycaliśmy się Pele, Jairzinho i dźwiękami samby.

Chronimy niewinność kibica, który chce w mistrzostwach widzieć tylko festiwal sportu.

Myślę, że to kompletnie zrozumiałe. Wszyscy mamy swoje problemy. Jeśli obejrzenie meczu może pomóc zapomnieć o nich choć na chwilę, wszystko w porządku.

Ale piłka nożna jest też wielkim fenomenem kulturowym, który tworzy dla nas uniwersalne punkty odniesienia, kody, które wszyscy rozumiemy. Wszyscy pamiętamy, jak Zidane dostał czerwoną kartkę za uderzenie Materazziego „z byka". Wszyscy zachwycamy się Messim, który dla naszego pokolenia jest najlepszym piłkarzem, jakiego widzieliśmy (transmisje meczów z udziałem Maradony były jeszcze rzadkością). I możemy o nim mówić w kategoriach piękna, geniuszu, docierania do granic możliwości gatunku ludzkiego. Messi jest odpowiedzią na pytanie, po co tu jesteśmy: żeby robić coś wyjątkowego, coś, co nas porusza.

I właśnie dlatego, że podobne historie tak z nami rezonują, źli ludzie i złe kraje chcą nimi manipulować i je wykorzystywać. Ale nie możemy przed tymi ludźmi i krajami kapitulować, mówiąc, że jak tak, to ja nie będę oglądał mundialu.

Nie powinienem więc czuć się winny, jeśli będę oglądał?

Kiedyś żyłem w klasztorze buddyjskim. Samookaleczenie to wedle zasad tej religii najgorsza forma krzywdy. Nie musisz sprawiać sobie przykrości z powodu tego, co złe u innych. Ciesz się piłką, potępiaj to, co złe – i tyle.

W przypadku tych mistrzostw dodatkowym problemem będzie konfrontacja z obcą europejskiemu widzowi amerykańską komercją: przerwami na wodę, czyli *de facto* na reklamy, albo koncertami muzycznymi po pierwszej połowie, niczym na Super Bowl.

Świat się zmienia. Pojawienie się sponsorów na angielskich koszulkach klubowych w latach 70. było kontrowersyjne. Piłka międzynarodowa pod tym względem wciąż się broni, bo nie ma reklam na koszulkach.

Jeszcze.

Pytasz, czy ten turniej może być punktem krytycznym? Nie sądzę, żeby ktokolwiek powiedział, że przestaje oglądać mistrzostwa z powodu samej komercjalizacji, ale to plus ceny biletów, plus szalone koszty transportu...

Plus Trump...

Tak, to wszystko się kumuluje.

Rytuały są dużą częścią przeżywania sportu. Ludzie kupują karnety na mecze swojego klubu, rok w rok, bo się nad tym nie zastanawiają. Chcą siedzieć koło tych samych ludzi, gadać o tym samym, potem pójść do tego samego pubu. I to jest zdrowe. Tak samo z piłką reprezentacyjną i jeżdżeniem za swoją kadrą. Jak stracisz takie przyzwyczajenia, tracisz fundament. Coś bardzo cennego.

A jak tracisz, to najczęściej na zawsze.

Wiele osób stara się w trakcie mistrzostw oglądać wszystkie mecze. Ale gdy masz takie pary jak Austria–Jordania czy Uzbekistan–Kongo o czwartej nad ranem, to możesz mieć pokusę, żeby odpuścić. A jak dopuścisz do zanikania tego rytuału, to potem zamiast meczu w sobotni wieczór część kibiców obejrzy jakiś serial, a po nim tylko sprawdzi wynik.

Tyle narzekania, że zastanawiam się, czy i Ciebie jeszcze coś w tych mistrzostwach ekscytuje.

Jasne. To wciąż mistrzostwa świata.

Po prostu?

No tak. Zaraz będę w Meksyku, po raz pierwszy w życiu. I nawet jeśli z początku te pary nie wydawały się ekscytujące, to teraz się cieszę. Weźmy np. mecz Tunezja–Japonia: Japończycy wyglądają naprawdę dobrze. Albo Uzbekistan–Kolumbia: nie widziałem uzbeckiego futbolu od 2000 r.

I co, znowu wpadniemy w to po same uszy?

No pewnie. Zawsze wpadamy.

© Rozmawiał JAKUB KRUPA

Jakub Krupa jest dziennikarzem „The Guardian" w Londynie.

TOMASZ

Stawiszyński: *Kultura potęgi*



Jednym z najważniejszych wątków „Magnifica humanitas", pierwszej encykliki Leona XIV, wydaje mi się polemika z tzw. realizmem. Świetnie wiadomo, do kogo się papież tutaj odnosi, choć żadne nazwisko oczywiście w tekście nie pada. Ale nawet gdyby padło, należałoby je potraktować wyłącznie jako emblemat, mianownik wielu aktywnych dziś postaci i zjawisk.

John Mearsheimer, amerykański politolog z Uniwersytetu w Chicago, jest rzeczonego „realizmu" najbardziej znanym teoretykiem. Ale tak naprawdę pod tą nazwą – w wydaniu Mearsheimera wzbogaconą jeszcze o przymiotnik „ofensywny" – ukrywa się idea stara jak sama ludzkość. Streścić da się ją następująco: wojna jest nie tylko źródłem i ojcem wszechrzeczy (jak ongiś zauważył Heraklit), lecz także przeznaczeniem i koniecznością. Była i będzie, nic tego nie zmieni, pokój to zaledwie dłuższy lub krótszy antrakt. Dlatego należy przyjąć wojenną rzeczywistość za układ domyślny, nieustannie ćwiczyć się w walce i uparcie dążyć do zwycięstwa. Polityka bowiem – czy szerzej: w ogóle jednostkowe i zbiorowe życie – jest ciągłym ścieraniem się i konfliktem, w którym wszelka racja, także moralna, znajduje się zawsze i tylko po stronie tego, kto wygrywa. Bez względu na zastosowane środki.

Ów „realizm" stał się istotnym budulcem „kultury potęgi", o jakiej traktuje znaczna część encykliki. Leon zwraca uwagę na zwyżkującą dziś w świecie tendencję: nieograniczone dążenie do władzy, dominacji i bogactwa. Znów, niby nic nowego, współcześnie jednak pełną parą pracują na jej rzecz nowoczesne technologie. W efekcie normalizuje się i rozpowszechnia specyficzna buchalteria, która jednostki i dylematy moralne redukuje do statystyki. Śmierć cywilów w konfliktach o zasoby; decyzja, czy bombardować albo otwierać ogień; rozstrzygnięcia, od których mogą zależeć losy milionów osób – wszystko to w realiach sztucznej inteligencji daje się policzyć, a następnie przedstawić w formie odpowiedniego bilansu. Takiego – co najważniejsze – pod którym nie podpisuje się żaden ludzki podmiot, lecz maszyna stwarzająca iluzję, że można dobro i zło, cierpienie i los przedstawić w formie słupków, tabelek i sald. „Tymczasem sąd moralny nie daje się sprowadzić do obliczeń; zakłada on sumienie, osobistą odpowiedzialność i uznanie drugiego człowieka za osobę. Dlatego nie wolno powierzać sztucznym systemom decyzji śmiercionośnych ani w ogóle nieodwracalnych".

No właśnie, „sąd moralny nie daje się sprowadzić do obliczeń". Nasuwa się pytanie: skąd papież to wie? Skąd czerpie uzasadnienie dla pojawiającego się kilka akapitów dalej *dictum* bezpośrednio wymierzonego w fatalizm „realizmu": „pokój nie jest naiwną nadzieją ani jedynie brakiem wojny: jest owocem – zawsze możliwym – sprawiedliwości i miłosierdzia"?

Naturalnie, nie ma na to empirycznych dowodów, nie da się tego wykazać w wywodzie, który na czysto racjonalnym poziomie można by przeciwstawić wywodowi konkurencyjnemu. Zresztą, byłoby to w (nomen omen) duchu owej konkurencji – uznać, że mamy tu do czynienia wyłącznie z kwestią do racjonalnego rozstrzygnięcia. Tymczasem nie sposób sformułować żadnych ostatecznych argumentów, dzięki którym wybór „cywilizacji miłości", a zatem opcji, którą Leon XIV przeciwstawia „kulturze potęgi", wypadnie na poziomie czystej pragmatyki bardziej opłacalnie. Ba, z perspektywy czystej pragmatyki może się on właśnie jawić całkiem absurdalnie i głupio. Porzucić dążenie do potęgi, odstąpić od przemocy, przejrzeć na wylot fantazję o własnej omnipotencji, być gotowym do poświęceń na rzecz innych, otaczać opieką i ochroną słabszych, wybaczać sobie i innym, budować świat oparty na współpracy i pokorze, nie zaś na współzawodnictwie i dominacji? Istotnie, nawet wypowiedzenie czegoś takiego na głos naraża w naszych czasach na śmieszność i szyderstwo. Tyle że, przekonuje Leon XIV, istnieje pewien niewidoczny gołym okiem a fundamentalny porządek rzeczy, zgodnie z którym – wbrew zaś „zwierzchnościom i mocom", wbrew algorytmom oraz ich buchalteriom i obliczeniom – ten właśnie wybór jest wyborem najwłaściwszym i najlepszym.

Rzecz w tym jednak – jak już wspomniałem na początku – że te wirtualne „zwierzchności i moce", coraz potężniejsze, coraz silniejsze, wytrwale pracują na rzecz skłonności „realistycznej". Z jednej strony wyjątkowo sprawnie obsługują ową skłonność, z drugiej wciąż stymulują jej niekontrolowany wzrost, a w przyszłości może nawet do jakiegoś stopnia przejmą nad nią kontrolę. „W takiej atmosferze – to znowu Leon XIV – nihilizm i pragmatyzm splatają się ze sobą i prowadzą do normalizacji najcięższych błędów: religijne ekstremizmy i fanatyzmy tożsamościowe sprzymierzają się z irracjonalnym ekonomizmem, podczas gdy polityka z łatwością ucieka się do dezinformacji, ośmieszania przeciwnika oraz systematycznego budowania lęków i resentymentów".

Jak skutecznie oprzeć się tym tendencjom? Papież naturalnie ma na to swoje recepty, ale niezależnie od tego, czy je przyjmujemy, czy nie, jedno wydaje się niewątpliwe – warunkiem *sine qua non* porzucenia „kultury potęgi" jest zrozumienie, że w niej tkwimy. I że sami ją nieustannie zasilamy, umiejętnie prowadzeni przez coraz bardziej autonomiczne maszyny. Zanim się więc całkiem zautonomizują, powinniśmy wprząc je w pracę na rzecz wartości stojących na antypodach owego nieszczęsnego „realizmu". ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

35. Festiwal Kultury
Żydowskiej w Krakowie
01.07–05.07.26

jewishfestival.pl

REKLAMA

Sha'ar

BRAMA GATE שער

35. Festiwal Kultury Żydowskiej jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa oraz ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Kraków
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
TAUBE PHILANTHROPIES
KORET FOUNDATION
NADAV FOUNDATION
The Kronhill Pletka Foundation
WODOCIĄGI Miasta Krakowa
LOT
Association Européenne du Musée de l'Histoire des Juifs de Pologne POLIN
ISRAEL Ministry of Foreign Affairs
Lucyna i Daniel Shefter
Moses Libitkzy
Eric Silberstein
Partnerem 35. FKŻ jest Województwo Małopolskie
MAŁOPOLSKA

REKLAMA

WODOCIĄGI
Miasta Krakowa

125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

W KRAKOWIE

DOBRA WODA

prosto z kranu



Zeskanuj kod QR
i dowiedz się, jaki SKARB
płynie z naszych kranów!

Znajdź nas na: